This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

+ *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.

+ *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.

+ *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.

+ *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at `http://books.google.com/`

Google

Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana byla na bibliotecznych pólkach, zanim zostala troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdążyly już wygasnąć i książka stala się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasly. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszlości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródlo cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając dlugą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczyci się wspólpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materialów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią wlasność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszlych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materialy, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
  Google Book Search to usluga przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
  Prosimy o niewysylanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tlumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materialów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
  Źnak wodny"Google w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ulatwiania znajdowania dodatkowych materialów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
  W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka zostala uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzielo to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiejkolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby staly się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ulatwia czytelnikom znajdowanie książek z calego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Caly tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem `http://books.google.com/`

LELAND STANFORD JUNIOR UNIVERSITY
ORGANIZED 1891
STANFORD UNIVERSITY LIBRA

LELAND STANFORD JUNIOR UNIVERSITY
ORGANIZED 1891
STANFORD UNIVERSITY LIBRARIES

II.

DZIATWA APOLLINA

WYDAWNICTWO KSIĘGARNI

GUBRYNOWICZA I SCHMIDTA.

	zlr.	ct.
Aer. Pierwszy romantyk, powieść	2	60
Biblioteka polska. Każdy tom brosz. 1 zlr. 80 ct., w opraw.	2	30
T. I. II. **Krasiński Z.** Pisma. Wydanie z przedmową Stanisł. hr. Tarnowskiego, 2 tomy. — III. — IV. **Mickiewicz Adam.** Dzieła. Wydanie zupełne przez dzieci autora dokonane, 4 tomy. — VII. — X. **Zaleski B.** Poezje. Wydanie przejrzane przez autora. — XI. **Pamiętniki Paska.** Wydanie nowe krytyczne, przejrzane przez dr. Woclowskiego. — XII. **Niemcewicz Jan.** Jan z Tęczyna. Powieść histor. — XIII. — XVI. **Słowacki Juliusz.** Dzieła. Wyd. przej. przez prof. dra. A. Małeckiego. — XVII. — XIX. **Z...ly** Assnyk Adam. Poezje, 3 tomy. — XX.—XXII. **Małecki A.** Życie i pisma Juliusza Słowackiego, wydanie drugie znacznie pomnożone, 3 tomy. — XXIII. **J. Wybicki.** Pamiętniki. — XXIV. — XXV. **Mickiewicz A.** Dzieła. — V. VI. — XVI. — XXVIII. **Mickiewicz A.** Korespondencja, 3 tomy. XXIX. — XXXI. **Kitowicz X.** Pamiętniki i pisma historyczne, 3 tomy. — XXXII. — XXXIII. **Kitowicz X.** Opis obyczajów i zwyczajów za panowania Augusta III., 2 tomy. XXXIV. — XXXVII. **Remanowski M.** Pisma. 4 tomy. —XXXVIII. — XXXIX. **Słowacki J.** Listy, 2 t., wydanie II. znacznie pomnożone. **Słowacki J.** Pisma pośmiertne, 3 tomy, wydanie II. znacznie pomnożone. — XLIII. — XLIV. **Krasiński.** Pisma. — XLVI. **Kraszewski J. I.** Poezye. — XLVI.—XLVII. **Lenartowicz T.** Pisma pośmiertne. 4. części Wydanie dr. W. Bruchnalski.go		
Abraham W. Dr. Organizacya Kościoła w Polsce do połowy XII. w. wydanie drugie znacznie powiększone	3	60
Biliński Dr. L. System ekonomii społecznej 2 tomy	10	—
Dzonikowski. Jan III. Sobieski i dwór jego, czyli Polska w XVII. w. 2 tomy . .	4	20
Feliński K. S. arcyb. Wiedza chrześciańska i bezbożna wobec zadań społecznych .	3	—
Dr. Antoni J. Opowiadania historyczne. Serya VI.; Iwan Podkowa; ks. Bazyli Ostrogski i zatarg z Kosińskim; S. Nalewajko; T. L. Grabianka i Stanisław August w Grodnie	3	40
— Opowiadania historyczne. Serya VII.: Zbrodnia kamieniecka; Beatrice; Zakładnicy lwowscy; Fatyma; Babka; Spuścizna po księciu Nassauskim; Spuścizna po Humieckich;	3	20
Głąbiński St. Dr. Pojęcie nauki skarbowej	1	60
— Wykład nauki skarbowej	5	—
Gubrynowicz Br. Dr. Kazimierz Brodziński. Przyczynek do biografii i charakterystyki	—	60
— Artykuł Brodzińskiego o Mickiewiczu	—	20
— Malarze na dworze Jana III. Szkic historyczny	—	40
— Piast Dantyszek. Kartka z twórczości J. Słowackiego	—	40
— Wincenty Reklewski. Szkic literacki	—	40
Koźmian An Ed. Listy od r. 1829 do r. 1864, 4 tomy	14	40
Koźmian St. Lysistrata, czyli wojna o pokój, komedya w czterech aktach, podług Aristofanesa	1	80
Krasiński Zygmunt. Listy, I—III. każdy tom	3	20
I. Listy do Konstantego Gaszyńskiego, z przedmową J. I. Kraszewskiego z portretem autora.		
II. Listy do Adama Sołtana, z przedmową J. I. Kraszewskiego		
III. Listy do J. Słowackiego, R. Załuskiego, E. Jaroszyńskiego, Kajetana, Andrzeja i Stanisł. Koźmianów, B. Trentowskiegp.		
Kubala L. Dr. Jerzy Ossoliński. 2 tomy	7	60
Liske X. Cudzoziemcy w Polsce. Podróże i pamiętniki	4	20
Listy Jana III. króla polskiego, pisane do królowej Kazimiry	2	80
Ludzie i wypadki z r. 1861—1865 obrazki z powstania 2 tomy zebrał i ułożył Pułkownik Struś	4	60
Łoziński Wład. Nowe opowiadania J. M. C. Pana Wite Narwoja	4	—
— Patrycyat i mieszczaństwo lwowskie z 107 rycinami. Wyd. I.	10	—
Małecki A. Studya heraldyczne. 2 tomy	6	—
— Gramatyka histor. porównawcza języka polskiego. 2 tomy	6	—
Rolle Michał. Z Przeszłości. Starostwo Barskie	2	60

STANISŁAW SCHNÜR-PEPŁOWSKI.

OBRAZY
Z PRZESZŁOŚCI
GALICYI I KRAKOWA
(1772—1858)

II.

Władysław Baldów

LWÓW
NAKŁADEM KSIĘGARNI
GUBRYNOWICZA I SCHMIDTA
1896.

DB459
S3
v.3

Z drukarni J. Czaińskiego w Gródku.

II.

DZIATWA APOLLINA.

Władysław Baldini

«Gród to zagadkowy» — pisał przed laty o Lwowie Bolesławita w swych Zagadkach — «i cały jeszcze w obietnicach. *Backfisch* stolic, mający wszystkie przymioty i szpetoty dorastających podlotków, którym nie wiadomo skrzydła, czy pazurki wyrosną. Można go kochać, kto się w nim urodził, ale zakochać na pierwszy widok niepodobna»... W podobny sposób wyraził się o Lwim grodzie już za naszych czasów autor powieści Jestem. Określiwszy Lwów mianem miasta, «w którem nic nikogo nie kompromituje i nic nie podnosi», porównał on gród nasz z Krakowem temi słowy: «Tam ludzie podobnych przekonań, wszystko jedno, czy tego samego, lub nie zawodu, wspierają się wzajemnie, może nawet często zbyt gorliwie. Zarzucano Krakowowi, że w tym zapale popierania swoich ludzi wytworzył mnóstwo wielkości niezasłużonych. Być może, ale to może mniejsza wada, niż ta, jaka stanowi cechę Lwowa, który nie podniósł nikogo, mnóstwo sił zmarnował, a te, które są, systematycznie obniża...».

Do powyższej charakterystyki Lwowa, skreślonej tak poważnemi pióry, pozwolę sobie dodać skromne spostrzeżenie, że u nas zawsze popłacała bardziej wielkość obca, aniżeli zdobyta na tutejszym gruncie, oraz, że każdy, przeciętny Lwowianin chętniej uzna zasługi, pracę, zdolności autora, uczonego, czy też artysty, jeżeli zyskały one już poprzednio poklask zagranicy. Objaw ten nie jest wynikiem pessymizmu naszej doby, chorobliwego przeczulenia zmysłu krytycznego wśród mieszkańców dzisiejszego Lwowa, lecz cechował nasze miasteczko i za

lat dawniejszych, choć od czasu do czasu rzadkie co prawda trafiały się wyjątki, iż umiano i tutaj uznać i ocenić prawdziwe zdolności i pracę, bez oglądania się i oczekiwania na sąd obcych. Zawsze jednak obcy pierwszeństwo mieli przed swoimi, zwłaszcza jeżeli przybywali nad brzegi Pełtwy poprzedzeni pewnym rozgłosem, czy też — jak dzisiaj się mówi — reklamą.

Mamy tu na myśli swoje i obce siły, pracujące w dziedzinie literatury i sztuki, czy też w pokrewnych im, wolnych zawodach. Dziatwa Apollina, z nielicznymi wyjątkami, nie mogła się uskarzać w Lwim grodzie z powodu nadmiaru wawrzynów i złota. Literatura i prasa, podległe podejrzliwej cenzurze, wegetowały raczej, niż żyły i rozwijały się u nas w pierwszej połowie bieżącego stólecia nader powolnie. Bardziej krzewiło się natomiast zamiłowanie do muzyki i spiewu, podtrzymywane przez czeską i niemiecką biurokracyę, w wolnych od kancelaryjnej pisaniny chwilach, zaś sztuki plastyczne przez całe lat dziesiątki były we Lwowie istnym kopciuszkiem.

Pisząc o literatach i publicystach dawnego Lwowa, o tych zwłaszcza, którzy dla rozmaitych powodów nie zostali uwzględnieni w znanem dziełku ś. p. Władysława Zawadzkiego p. t. Literatura w Galicyi, niepodobna nie poprzedzić owej wzmianki bardziej szczegółowem wspomnieniem o galicyjskiej cenzurze, zaprowadzonej u nas w styczniu 1776 roku.

Ustanowiona w owym czasie komisya cenzuralna nie istniała długo, gdyż w roku 1781 zwinięto ją we Lwowie, tworząc równocześnie we Wiedniu centralną komisyę cenzuralną dla wszystkich krajów dziedzicznych monarchii, podczas gdy w poszczególnych miastach prowincyonalnych istnieć miały tylko ekspozytury cenzuralne, reprezentowane pierwiastkowo przez jednego z radców gubernialnych. Dopiero w roku 1810 utworzono we Lwowie osobny urząd dla cenzury książek, zwący się w mowie oficyalnej: *Bücher-Revisions-Amt*, a złożony z cenzora, z dodanego mu do pomocy kancelisty oraz z jednego woźnego. Dla rewizyi książek żydowskich istniał osobny cenzor. Urząd cenzury pozostawał w bezpośrednim

związku z prezydyum gubernialnem i podlegały jego kontroli wszystkie książki, obrazy i dzieła sztuki, tudzież wydawnictwa ilustrowane, sprowadzane z zagranicy. Graniczne urzędy cłowe oddawały wszelkie przesyłki tego rodzaju wprost do cenzury i stosownie do postanowienia tej władzy, wydawano je adresatowi, albo też zwracano wysełającemu. Również nieograniczoną władzę posiadał cenzor wobec wszystkich wydawnictw krajowych. Rękopis każdej pracy, przeznaczonej do druku, musiał mu być poprzednio przedłożony do przejrzenia, podobnie jak egzemplarz drukowanego już dzieła, którego drugie wydanie zamierzano uskutecznić. Gazety i afisze, o ile nie zawierały ogłoszeń literackiej treści, podlegały jedynie policyjnej cenzurze. Natomiast sztychy i reprodukcye litograficzne, mapy, nuty, a nawet materye, ozdobione rysunkami, podpadały kontroli cenzora. Do jego wiadomości musiano również podawać spisy książek, znalezionych w masie spadkowej po osobach zmarłych, lub też sprzedawanych na publicznej licytacyi, zaś władzy cenzuralnej podlegały też bezwarunkowo wszystkie krajowe księgarnie i wypożyczalnie książek, tudzież składy przedmiotów artystycznych. Orzeczenia swego nie był obowiązany cenzor uzasadniać tak w razie przychylnej odpowiedzi, *(Imprimatur)*, lub też na wypadek odmowy, *(Non admittitur)*, która najczęściej stawała się udziałem autorów, niemiłych rządowi. Istniał wszakże jeszcze trzeci, odmowny sposób odpowiedzi, orzekający w tonie bardziej stanowczym odrzucenie raz na zawsze przedłożonego rękopisu. Formułka owa opiewała bardzo lakonicznie: *Typum non meretur* i dawała do zrozumienia nieszczęsnemu autorowi, iż najbardziej zasadnicze zmiany w tekście poczynione, nie zdołają wyjednać dla niego przychylnej decyzyi rządowej.

Z powodu dyktatury, dzierżonej przez c. k. Arystarchów pióra, słuszne uczynił spostrzeżenie bezimienny autor Uwag ogólnych nad literaturą w Galicyi, pisząc w roku 1842 co następuje: «Literatura galicyjska i cenzor mają się w prostym stosunku. Im lepszy był cenzor, im strawniejszy miał żołądek, im humor weselszy, im w szczęśliwszej chwili

pochwycił rękopis do ręki, tem też lepszą była literatura. Wpływały na nią różnie i związki cenzora z piszącym, listki, prośby, pochlebstwa, podarunki, przekupstwa i t. p. Takie to łożysko i brzegi ma strumyk oświaty tamtejszej. Historja literatury galicyjskiej jest oraz i biografią cenzora, świadectwem drobnych nieraz szczegółów jego domowego życia, jego humoru, gustu, i rozsądku. Cenzor galicyjski jest w urzędzie swoim wszechmocny; nie trzyma się on żadnych praw, ani przepisów, nie jest obowiązany usprawiedliwić swych dowolności. Na czole możnaby mu napisać słowa Ewangelii: «Co rozwiążecie, będzie rozwiązane». Jest on zarazem cenzorem i krytykiem. Wolno mu przekreśliwszy rękopis, napisać: «Nie warto drukować». A przecież na druk nie daje pieniędzy. Wolno mu z rękopisu porobić sobie zapałki do lulki, zarzucić go, lub oddać autorowi poszarpany, zatłuszczony i niezupełny, na dowód, jak mało na uwagę i poszanowanie zasługują prace umysłowe!...»

Że od osobistości cenzora bardzo wiele zależało, najlepszym dowodem treść pierwszej we Lwowie perjodycznej publikacyi literackiej, jaka ukazywała się w pierwszem półroczu pod tytułem Zbiór pism ciekawych, służący do poznania różnych narodów. Zeszytowe to wydawnictwo miesięczne, ozdobione kopersztychami, tworzyło niejako dodatek literacki do istniejącego w owym czasie Dziennika patryotycznych polityków i kosztowało rocznie 24 złp. Wydawcą był drukarz lwowski, Piller. Dziś Zbiór pism jest istnym białym krukiem nawet w bibliotekach publicznych i dla tego utrzymywano błędnie do tej pory, jakoby pierwszem wydawnictwem peryodycznem, niepolitycznej treści, we Lwowie był Pamiętnik lwowski, wydawany w roku 1816. Zarówno przeto ze względu na rzadkość bibliograficzną, jakoteż na treść tej publikacyi, zasłużyła ona choćby na krótkie omówienie na tem miejscu.

I tak zeszyt pierwszy, styczniowy Zbioru pism, zawierał przedewszystkiem «Opisanie i wyobrażenie telegrafu, czyli nowo wynalezionej machiny dalekopisney w Paryżu z ko-

persztychami, wyrażającemi machinę tę na Luwrze w spoczynku i jej biegu przez oczywistego świadka» W artykule tym znajdujemy opis telegrafu optycznego systemu inżyniera Chappe'a, który wytrzymawszy zwycięsko próby, czynione w lecie roku poprzedniego w obozie pod Meudon, budził senzacyę w całej Europie.

Załatwiwszy się wcale dokładnie z opisem najnowszego wynalazku, podaje redakcya Zbioru pism krótką historyę polską, którą w zeszycie styczniowym urywa na Jagiellonach, by w marcu zakończyć ten szkic, («Dzieje Polski krótko zebrane»), wzmianką o Unii Lubelskiej. Uzupełnia treść pierwszego zeszytu «Charakteristika narodu rossyjskiego», przekład z dziełka P. A. Svetons, esq., zawierającego opis podróży do Norwegii i Danii, odbytej w latach 1788—1791. Ta ostatnia rozprawka mieści się w dalszym ciągu i w zeszycie drugim, (lutowym), obok «Losu Jenewy, wystawionego na przykład Monarchom i magistratom», który to artykuł był solennem ostrzeżeniem państw i panujących wobec knowań Jakobinizmu, tworząc zarazem charakterystyczne pendant z umieszczoną w tymże zeszycie «Biografią Filipa Egalité, niegdyś książęcia Orleanu». O tonie owej biografii świadczył najdosadniej początek artykułu, rozpoczynający się od słów: «Najzłośliwszy z ludzi, zakał całej społeczności, sprawca wszystkich nieszczęść, wydarzonych w tym czasie, sławny książę Orleańskie, legł pod gwilotyną dnia 6 listopada 1793 r.»

Mniej zajmującym był zeszyt marcowy, w którym obok wspomnianego już artykuliku p. t. «Dzieje Polski», znajdujemy: «Opisanie ostatniego wybuchnienia Wezuwiusza pod dniem 15 czerwca 1794» — «Niektóre opisanie nad Indyą Wschodnią», — «Joannę Vaubernier Hrabinę du Barry», wreszcie wspomnienie o instalacyi dawnych władców Karyntyi na skale pod Kernburgiem.

Natomiast zeszyt kwietniowy jest wielce interesujący, nie tyle ze względu na umieszczoną w nim powiastkę p. t. «Zabawy pewnej familii emigrantów niemieckich», ile raczej z powodu artykułu, zatytułowanego: «Krótki rys politycznego stanu

Europy» a zawierającego zestawienie najważniejszych wypadków wojennych 1794 roku. Główną wszakże uwagę czytelnika więzi rozprawka p. t. «Rewolucya w Polszcze», streszczająca na siedmiu stronach, w sposób ściśle przedmiotowy, przebieg kościuszkowskiej insurekcyi. Klęskę maciejowicką przypisuje nieznany autor — zdradzie, pisząc te słowa: «Tymczasem po rozproszeniu pod Brześciem litewskim korpusu generała Sierakowskiego, Suwarów, sławny z zdobycia Izmaiłowa, posuwał się ku Warszawie. Kościuszko spieszy na przeszkodzenie mu złączenia się z komendą Fersena i w tej to wyprawie opuszczony od szczęścia, albo raczej zdradzony przez podłych wyrodków, dostał się w niewolę»...

Najsłabszym bezwzględnie jest zeszyt majowy, w którym obok «Krótkiego rysu politycznego stanu Europy», zawierającego głównie opis wewnętrznych dziejów państw europejskich w roku 1794 a dziwnie przypominającego rozprawy podobnej treści, zamieszczane w miesięczniku hamburskim Schiracha *Politisches Journal*, znajdujemy bardzo ciężki przekład opowiastki nieznanego autora p. t. «Błagania» osnutej na tle rycerskich przygód krzyżowców oraz «Uwagi nad Szkołą głuchoniemych», świeżo założoną w Paryżu.

Brak ten wynagradza sowicie zeszyt czerwcowy. I tu szybko przerzucamy kartki, na których mieszczą się: powiastka p. t. «Zachwycenie Las Casas» tudzież przekłady: «Uwagi nad ludnością krajów» i «Anekdotka o Synie Grenadyera pruskiego», lecz trudy poszukiwania wynagradzają nam sowicie wzmianki o współczesnym stanie Polski, zawarte w rozprawce zatytułowanej: «Dalszy ciąg rysu politycznego stanu Europy». — «Polska» — czytamy na str. 44 — «ten nieszczęśliwy kraj, jeszcze nie jest dotychczas pewny swego losu. Okropne ślady głodu, nędza powszechna, spustoszenie najpiękniejszych prowincyi i miast, upadek rękodzieł i ludności, tułanie się mieszkańców po krajach sąsiednich, szukających bezpieczeństwa i przytułku, są to skutki nieszczęśliwej przewagi. Roztropna pieczołowitość J. Bukshewdena ułagadza wprawdzie los biednych mieszkańców,

ale ta nie potrafi jednak zagoić ran, raz zadanych. Skutki nieszczęścia tego kraju zapewne uczuć się dadzą w znacznej części Europy; dotychczas był on spiżarnią zapasów wszelkich żywności, których dostarczał na zachód i południe, teraz zaś sam ich łaknie a niezwyczajna pastwa z żołędzi i z kory pokrzepiać musi zwątlone mieszkańca wielu prowincyi życie». — W dalszym ciągu artykułu znajdujemy wzmiankę o wyjeździe króla do Grodna i oddaleniu się z Warszawy posłów obcych mocarstw, o aresztowaniach, dokonanych w tem mieście, oraz o wywiezieniu patryotów w głąb Rosyi. Relacyę tę kończy następujący ustęp: «Obce potencye dotychczas mało się zdaje obchodzić los Polski. Turcya jedna okazuje z swych armowań i werbunków, że nie myśli zupełnie być obojętną na wzmocnienia się sąsiadki. Jakieżkolwiek będą następności, to pewna, że kraj ten zburzony w swem kwiecie, wtenczas, gdy rękodzieła, nauki i przemysł dochodziły stopnia zupełnej swej doskonałości i ścigał wyborem gustu zdawna w Europie oświecone polerowane narody, za wiele lat nie przyjdzie do siebie, a głębokie ciosy, które mu zadały niepokoje, za długi czas zaledwo się zagładzą».

O ekonomicznych klęskach Polski wspomina ponownie bezimienny autor artykułu, pisząc na stronie 65—68 co następuje: «Polska, na której zgubę wszystkie przeciwności bezprzestannie zdają się kojarzyć, utraciwszy w przeszłorocznej rewolucyi na pobojowiskach i w rzezi praskiej około 50.000 ludzi, znajduje się dziś opuszczona od 100.000 przynajmniej mieszkańca, który albo podatków zapłacić nie jest w stanie, abo też z głodu rzucać musi dom i majątek, ocalając swe życie. Uwolnił wprawdzie J. Buxhöwden od podymnego niektórych mieszkańców Warszawy, ale ta łaska tak jest ograniczona, iż znaczna część opuszcza swe domy, dlatego, iż nie może onej pozyskać. Przemysł i rękodzieła, dla których udoskonalenia panowie polscy własnym kosztem i znacznym nakładem sprowadzali ludzi z zagranicy i hojnie ich utrzymywali, upadły zarazem za wyjściem rzemieślników z kraju, którzy już swej pracy niemają

komu zbywać...» Kończąc swe wywody o Polsce wyraża się anonim w te słowa: «Do tego momentu żadna jeszcze potencya europejska nie oświadczyła się za Polską. Reis-efendi wprawdzie w Konstantynopolu oświadczył ministrom rosyjskiemu i pruskiemu, że Porta otomańska spodziewa się, że Polsce wolność i pierwsza egzystencya będzie przywrócona, lecz to tak słabo i obojętnie, iż mało pozostaje nadziei dotychczas, aby się chciało to mocarstwo mięszać do interesów tego narodu...»

Czerwcowy, najciekawszy zeszyt Zbioru pism był też ostatnim ze znanych nam numerów tej publikacyi, która prawdopodobnie w owym czasie upaść musiała dla braku czytelników, gdyż w drugiej połowie 1795 roku nie znajdujemy już w Dzienniku ogłoszeń o pojawianiu się dalszych zeszytów tego wydawnictwa. A jednak Zbiór pism ciekawych redagowany był, jak na owe czasy wcale umiejętnie i żywotnością spraw poruszanych przewyższał znacznie wydawany w dwadzieścia lat później Pamiętnik lwowski.

Można nawet stanowczo twierdzić, że artykuły tego rodzaju, jakie znajdują się na kartach Zbioru pism, po raz pierwszy i ostatni pojawiają się w publicystyce galicyjskiej w dobie przed rokiem czterdziestym i ósmym.

Niewątpliwie system rządowy był po rewolucyi Kościuszkowskiej o wiele przychylniejszy dla żywiołu polskiego, niż to miało miejsce w latach następnych, ale i urząd cenzora lwowskiego pełnił u schyłku ośmnastego wieku człowiek tak światły i popularny jak Wacław Hann, filolog, estetyk, poeta i profesor literatury w uniwersytecie tutejszym. Mianowany w dwudziestym roku życia lektorem, nauczył się rychło po polsku, żył z młodzieżą kordjalnie, zachęcając ją do pracy literackiej. Wykładał z przedziwną swadą i szybko posuwał się w urzędowej hierarchji. Mianowany w roku 1788 zwyczajnym profesorem, w roku następnym dziekanem, był w roku 1792 rektorem uniwersytetu. Niestety choroba, czy też życie niemoralne — jak chcą urzędowe źródła — zwichnęły tak świetnie rozpoczętą karyerę Hanna. Miasto Lwów w uznaniu zasług jego, położo-

nych około literatury, zamianowało wprawdzie Hanna w roku 1811 obywatelem honorowym, ale zaszczyt ten nie zapewnił mu chleba. Biedaczysko, pozbawiony pensyi, musiał byłych kolegów upraszać o wsparcie.

Odmienną, wręcz komiczną, lecz przynajmniej nie wrogo dla nas usposobioną osobistością, był następca jego w cenzorskim urzędzie, radca gubernialny, Bernhard. Był to człowiek umiarkowany, nie dyszący nienawiścią ku wszystkiemu, co polskie, acz nie wolny od dziwactw. Między innemi znienawidził wielce słówko niewinne: «nawiasem», domyślając się w niem jakiegoś ukrytego, niebezpiecznego dla rządu znaczenia. Ilekroć zobaczył w przedłożonym mu rękopisie owe słowo, gniewał się i rzucał, kreśląc je bez litości czerwonym ołówkiem. Nie przepuszczał również wyrażeń: Polska, Polacy, zastępując je słowy: kraj, ziomkowie. Kiedy ksiądz Siarczyński wydając swój «Obraz wieku panowania Zygmunta III», zamierzał dać dziełu temu tytuł «Sławni Polacy z wieku Zygmunta III», przekreślił Bernhard słowo Polacy, zastępując je ziomkami. Podobnie postąpił gdy w rękopisie, przeznaczonym do umieszczenia w Pszczole polskiej znalazła się strofka następująca:

Wdziewajcie bracia żupany.
Zapuszczaj wąsy Polaku,
Ten kto gromił bisurmany,
Nie wjeżdżał do Wiednia we fraku.

Systematyczny cenzor i tym razem nie odstąpił od zwykłej swej metody. Skreślił bowiem «Polaka», poprawił go na «ziomka», zaś Wiedeń zastąpił Paryżem. Oczywiście redaktor Pszczoły musiał się wyrzec umieszczenia tak poprawionego wiersza.

Szczęśliwszym był z swemi Dumami Polskiemi Tymon Zaborowski. Widząc bowiem, że Bernhard sprzeciwa się umieszczeniu tych poezyj w zamierzonem wydawnictwie Haliczanina, uciekł się poeta pod opiekuńcze skrzydła — kucharki cenzora, cieszącej się wielkimi względami swego pana. Prośba

ta pochlebiła ambicyi energicznej mistrzyni rądla i patelni, która wysłuchawszy zapewnień Zaborowskiego, iż utwory jego nie są wymierzone przeciw rządowi austryackiemu, lecz przeciw Turkom, pospieszyła do gabinetu swego pana i przyszłego małżonka.

— Co ty myślisz na starość zbisurmanić się? — zawołała groźnym tonem zaperzona niewiasta — i nie pozwalasz nic przeciw Turkom drukować? Możebyś chciał także harem założyć? *Wart, ihr Männer, ihr Türken!* — i wyszła trzasnąwszy drzwiami.

Przestraszony cenzor zgodził się na drukowanie Dum polskich...

Mniej szczęśliwym w stosunku z galicyjską cenzurą był świętej pamięci Ossoliński, twórca Zakładu tego nazwiska, którego dzieła, mimo wysokiego stanowiska urzędowego, zajmowanego przez autora, ścigało jakieś fatum złowrogie, opóźniające chwilę wydania tych prac w nieskończoność. O strapieniach, jakie z tego powodu przeszedł poczciwy ksiądz Siarczyński, zajmujący się wydawnictwem czwartego tomu Wiadomości historyczno-krytycznych Ossolińskiego, dowiadujemy się z «Dziennika urzędowych czynności księgozbioru narodowego we Lwowie», zachowanego w rękopisach tego instytutu. W dniu siedmnastym stycznia 1829 roku zapisuje w owym dyaryuszu ksiądz Siarczyński, iż już czwarty z kolei miesiąc upływa, jak oddał do cenzury dalszy ciąg Wiadomości krytycznych. Dopiero wszakże po dziesięciu tygodniach zawiadomiono wydawcę, iż z powodu ustępu o kacerzach, cenzor Bernhard oddał rękopis do cenzury kościelnej. Konsystorz, upatrzywszy w dziele Ossolińskiego ślady herezyi, zwrócił je wraz z swojemi uwagami urzędowi cenzuralnemu. Bernhard uznał za stosowne tym razem wystąpić w obronie naukowej spuścizny po Ossolińskim przeciw zbytniej gorliwości duchownych cenzorów. — «Dzieło to» — zauważył trafnie Bernhard — «nie będzie czytane od ludu wiejskiego, ale od ludzi uczonych. Sądzę więc, że rozprawy o wierze i wy-

kład błędnych mniemań innowierców zgorszyć nikogo nie mogą...» W obec sprzeczności zapatrywań cenzury duchownej i świeckiej, musiano jednak odesłać dzieło zakwestyonowane do nadwornej cenzury wiedeńskiej, gdzie przyznano słuszność zapatrywaniom Bernharda. — «Ponieważ jednak konsystorz» — pisze ks. Siarczyński w dniu 29 marca — «zdania swego nie odstępuje, przeto los dzieła niepewny...» Jakoż w połowie maja t. r. powędrował rękopis ponownie do Wiednia i odtąd przepadł po nim ślad wszelki aż do roku 1852, kiedyto pośmiertne dzieło Ossolińskiego w przeróbce cenzuralnej opuściło w końcu prasy drukarskie.

Po roku trzydziestym ucisk cenzury spotężniał znacznie. Po Winiwärterze, profesorze uniwersytetu, objęli obowiązki cenzora: bibliotekarz tego zakładu, Karol Köller, a następnie Ignacy Kankoffer, lecz policya nie poprzestając na kontroli przez nich wykonywanej, mięszała się nieustannie do spraw cenzuralnych. Celował pod tym względem nadzwyczajną gorliwością zastępca dyrektora policyi, radca Antoni br. Pauman, otaczając nieproszoną swą opiekę teatr polski, o którym narzucał artykuły redakcyi Gazety Lwowskiej. Pan baron spisywał swe wrażenia w języku niemieckim, zaś biedny Kamiński musiał przysłane do redakcyi elaboraty tłómaczyć na język polski i umieszczać w rubryce «Nowin». Pauman lubował się szczególniej w używaniu formuły: *Typum non meretur* i powołany został później do komitetu centralnej cenzury we Wiedniu.

Ciekawe wzmianki o prześladowaniu galicyjskiego pismiennictwa przez cenzurę zawiera korespondencya między Rościszewskim a Hanką w Pradze, ogłoszona w roku 1894, przez Jelinka. Z listów Rościszewskiego dowiadujemy się o podjętym przez bawiących we Lwowie: Kropińskiego, Goszczyńskiego, Zaleskiego i Olizarowskiego, zamiarze wydawania dziennika. Władza jednak odmówiła pozwolenia na publikacyę tego rodzaju a korzystając z odkrytego w dwa lata później spisku Zaliwskiego, jeszcze sroższych wobec prasy i literatury użyła represaliów. Księgarz lwowski Piller, za utrzymywanie na skła-

dzie książek zabronionych, skazany został we wrześniu 1834 roku na trzymiesięczne więzienie. W roku 1838 prześladowanie cenzuralne doszło do tego stopnia, iż redakcyi Rozmaitości zabroniono umieszczania prac autorów, którzy brali udział w powstaniu listopadowem. Zakaz ten dotyczył w pierwszym rzędzie Bielowskiego i Lucyana Siemieńskiego, których w ten sposób pozbawiono i tego szczupłego źródła dochodów. Cenzura wdawała się nawet w drobnostki, rażące śmiesznością. Gdy w roku 1836 Rościszewski ogłosił rozprawkę o wyrobie cukru burakowego w Czechach i zachęcał ziemian galicyjskich do naśladowania «naszych pobratymców», nie omieszkał cenzor wykreślić owego wyrażenia.

Napróżno udręczeni literaci starali się podejść swych prześladowców, wysełając rękopisy wprost do cenzury wiedeńskiej. Tak też postąpił w roku 1837 Bielowski, wysławszy rękopis drugiego tomu swej Ziewonii do Wiednia, a następnie do Pragi, gdzie wydawnictwo to opuściło prasy drukarskie. Mimo wszakże przychylnych orzeczeń Kopitara we Wiedniu i Szafarzyka w Pradze, policya lwowska zatrzymała nakład Ziewonii na rogatce miejskiej i spaliła takowy, nie uwzględniwszy wcale protestów Leszka hr. Borkowskiego jako nakładcy tej publikacyi.

Znacznie jeszcze ostrzejszą była cenzura teatralna, gdyż sztuki sceniczne podlegały prócz świeckiej, także cenzurze duchownej, którą wykonywał urzędnik Stanów galicyjskich, January Skarzyński z skrupulatnością, doprowadzającą do rozpaczy autorów, lubo Kamiński dzięki trzydziestoletniej praktyce teatralnej znakomite miewał pomysły w prowadzonej z cenzorami, podjazdowej walce. Wypadki marcowe 1848 roku wraz z innemi, dawnemi urządzeniami zniosły i cenzurę, której ostatnim przedstawicielem był długoletni w tem biurze kancelista, Jan Bryńkowski, człowiek podobno niezły, lecz wiedzący tyle o literaturze, co ślepy o kolorach. Wprawdzie ówczesny gubernator Galicyi, Franciszek hr. Stadyon, wbrew wyraźnemu brzmieniu patentu cesarskiego z dnia piętnastego marca, znoszącego cenzurę, usiłował przedłużyć istnienie tej władzy we

Lwowie i osobiście cenzurował pierwsze dwa numery świeżo powstałego Dziennika Narodowego, jednakowoż już w dniu dwudziestym szóstym marca pod naciskiem opinii publicznej, zrzec się musiał tego uzurpowanego prawa. Do listopada 1848 roku cenzura nie istniała w Galicyi, by z nastaniem reakcyjnych rządów w odmiennej odżyć postaci. Z jaką dowolnością postępowały w owym czasie władze wojskowo-polityczne wobec pracowników pióra, dowodził najlepiej szereg gwałtów, popełnianych przez pobór w rekruty wybitniejszych publicystów opozycyjnych. Obok znanych ogólnie faktów porwania do służby w karnych batalionach Jana Dobrzańskiego i Ignacego Kamińskiego, na wspomnienie też zasłużyło postąpienie władzy z znakomitym dziś powieściopisarzem, z Janem Zacharjasiewiczem.

Zacharjasiewicz zaliczał się — jak wiadomo — w roku 1848 do grona redaktorów Postępu, przeobrażonego następnie w Gazetę Powszechną. Po ogłoszeniu stanu oblężenia w całym kraju, zawieszono wszystkie dzienniki polityczne we Lwowie z wyjątkiem Gazety Lwowskiej. Wówczas to Zacharjasiewicz objął złożoną przez Szajnochę redakcyę Tygodnika Polskiego, znanego poprzednio w latach pod nazwą Dziennika mód paryskich i mimo ciężkich warunków cenzuralnych, wydawał to pismo do połowy lutego 1849 roku. W dniu 3 lutego t. r. zamieścił Zacharjasiewicz w Tygodniku wiersz pod tytułem «Machabeusze», opiewający jak następuje:

Święta krwią ojców i ciemięzcy zbrodnią
Wiaro narodu! — z pośród światów bryl
Wypłyń i świętą, męczeńską pochodnią
Rozpal w nas ogień już gasnących sił!
Na gruzach drogiej Ojczyzny i sławy
Dźwigamy grzechu i niewoli tram —
W koło nas miecze, w koło potop krwawy,
Przed nami droga do męczeńskich bram!

Z pól krwią przesiąkłych i zasłanych trupem,
Z chmurą pożarów, co rozniecił wróg,

Ty uderz w niebo płomienistym słupem,
Aby cię ujrzał sprawiedliwy Bóg;
I zabrzmij na świat trąbą Archanioła,
Niechaj rozpęknie grób męczeńskich ciał,
Wiaro narodu, niechaj grom twój zwoła
Zamarłych synów na Ojczyzny wał!

Twoim płomieniem pałał prorok święty,
Gdy lew rozżarty — padł u jego stóp —
Tobą zwalczony runie czart przeklęty,
Wstając do walki na niebieski strop —
Jeśli ten płomień serca nam zapali,
Ziemską męczarnią nie strwoży nas wróg,
Przed nami szatan i lew się powali,
Wyznając Boga u męczeńskich nóg.

My, bracia nasi i synowie nasi,
Śmiało patrzymy na katowski słup —
Wiary płomienia trwoga nam nie zgasi,
Bo taki ludu wybranego ślub:
Na stosach ogniów ziemskiego tyrana,
Weselny Bogu zanucimy śpiew —
Bo nam za męki — wieczność obiecana,
I wieczne niebo — za przelaną krew!

Tam — męczennicy za narodu wiarę,
Staniem ze skargą u niebieskich wrót
I złożym skargę i krwi naszej czarę
I rzekniem Bogu: Za Ciebie i lud!
A oko nasze łza już nie zaciemni,
Gdy w białe szaty odzieje nas Bóg;
Ztamtąd ujrzymy, jak w rodzinnej ziemi
Zwycięży wiara — a upadnie wróg!

Wiersz ten, podpisany inicyałem: I. C. Z., zwykle używanym przez Zacharjasiewicza, zyskał zatwierdzenie cenzury i w dwa tygodnie później wydawnictwo Tygodnika przestało istnieć dla braku abonentów.

Zacharjasiewicz, nie mając we Lwowie żadnego zajęcia, zamierzał miasto nasze opuścić i stosownie do obowiązujących wówczas przepisów udał się do urzędu policyjnygo po przepustkę.

Widok atoli młodego publicysty w biurze policyjnem po-

działał tak podniecająco na stróżów bezpieczeństwa, iż bez wszelkich formalności schowali go pod klucz, by po kilku tygodniach wyprawić więźnia pod silną eskortą do Theresienstadtu, gdzie kij kapralski w tak zwanych karnych kompaniach przyuczyć miał niesforne duchy do innego sposobu myślenia. W drodze Zacharjasiewicz zachorował obłożnie i wycieńczony do najwyższego stopnia przybył na miejsce przeznaczenia. Nikła postać schorzałego młodzieńca, a może też i ludzkość wojskowego lekarza, ocaliły go na razie od służby w szeregach. Zażądano jego papierów, z których się okazało, że przyczyną porwania i wysłania naszego autora do fortecy był właśnie ów wiersz, «Machabeusze», który wytrzymał przecie ogniową próbę cenzury.

Mimo to nie uwolniono Zacharjasiewicza, lecz trzymano go w twierdzy do roku 1853, w którym to czasie pozwolono mu powrócić do kraju, z równoczesnym zakazem pojawiania się we Lwowie pod jakimkolwiek pozorem. Osiadłemu w rodzinnem Radymnie, zaproponował właściciel sąsiedniego Surochowa, ś. p. Władysław hr. Badeni, by zajął się nauką jego syna, Kaźmierza, późniejszego namiestnika Galicyi i prezydenta ministrów. Zacharjasiewicz przyjął obowiązki mentorskie w domu hrabiego, gdzie przepędził rok cały. Z chwilą, gdy hrabstwo powracali do Lwowa, przybył wraz z nimi i nasz jubilat, którego nikt nie myślał już niepokoić z powodu zabronionego pobytu w mieście. Przeczekawszy czas jakiś, założył Zacharjasiewicz wraz z Dobrzańskim Nowiny, w których rozpoczął zawód powieściopisarski.

Tyle o cenzurze oraz o jej ofiarach, wśród których obok nazwisk, jaśniejących po dziś dzień świetnym blaskiem, nie brakło i skromnych pracownikow, trudzących się częstokroć o chłodzie i głodzie na jałowym zagonie literatury galicyjskiej — dziś zapomnianych zupełnie. I słusznie ktoś porównał okryte pyłem szafy bibliotek publicznych, w których, w sztywnym szeregu spoczywają nietknięte od lat wielu dzieła rzekomych wielkości — do cmentarzyska umysłowości danej epoki. — Jeżeli

jednak pisarz, czy poeta, w dziele swem zdołał poruszyć jedną, choćby jedyną myśl, nową i dobrą, jeżeli potrafił ją przeszczepić w serca i umysły swych czytelników, to cel utworu został przez niego osiągnięty, praca jego nie poszła na marne. Obok olbrzymów ducha, torujących piórem nowe dla ludzkości drogi, potrzebni są i skromni, cisi pracownicy w dziedzinie literatury i umiejętności, rozwijający szczegółowo rzucone przez mistrzów hasła, popularyzujący ich myśli w sposób przystępny dla najszerszych warstw społecznych. Wodzowie nie mogą istnieć bez żołnierzy. Lecz podczas, gdy historya uwiecznia na swych kartach czyny i zwycięztwa dowódców, to przypadek chyba wyprowadza na jaw nazwiska bojowników, walczących pod ich rozkazami. Jak na polu bitwy, tak i w dziedzinie piśmiennictwa pozostają oni bezimiennymi, zapomianymi. Przed rokiem trzydziestym bieżącego wieku nie było u nas ruchu literackiego we właściwem tego pojęcia znaczeniu. I nie mogło być inaczej, gdyż pomijając już trudności formalnej natury, młodzież galicyjska wynosiła z szkół publicznych jedynie dokładną znajomość języka niemieckiego i łaciny, a i po ukończeniu studyów nie zbywało jej na pokusach, by raczej poświęciła się literaturze niemieckiej niż polskiej. Zresztą literatura była w owych czasach, podobnie jak sztuki plastyczne, zbytkiem. Poświęcał się piśmiennictwu tylko ten, kto miał byt dostatni zapewniony albo też bawiono się piórem w chwilach wolnych od zawodowej pracy. Brak zbytu na wszelkiego rodzaju prace literackie, owa apatya umysłowa, jaka u nas zapanowała po wstrząśnieniach, wywołanych wojnami napoleońskiemi, wytworzyły na czas dłuższy dziwną martwotę moralną, z której ocknęła się Galicya dopiero po kilkunastoletnim letargu. O stworzeniu jakiegoś stałego punktu zbornego dla pracowników pióra nikt nie pomyślał, choć władza nie sprzeciwiała się tego rodzaju projektom. Wprawdzie z początkiem 1843 roku podniesiono we Lwowie myśl stworzenia Kasyna Literackiego i uzyskawszy pozwolenie rządowe, ogłoszono wpisy członków w księgarniach Milikowskiego i Winiarza, ale do urzeczywistnienia owego zamiaru

nie przyszło. Kasyno literackie, prócz utrzymywania czytelni, miało też urządzać tygodniowe zebrania towarzyskie.

O honoraryach autorskich nie marzył nawet żaden z piszących u nas. Szczęśliwym wybrańcem losu mógł się nazwać autor, którego utwor zamieściło bezpłatnie wydawnictwo Pamiętnika lwowskiego lub Pszczoły Polskiej. W przeciwnym razie musiał swą pracę drukować własnym nakładem, albo też szukać łaskawego mecenasa, któryby zdołał swym wpływem zjednać odpowiednią ilość płatnych przedpłacicieli. Nazwiska ich uwieczniano drukiem na końcu wydanej książki *ad aeternam rei memoriam.*

Nie dziw przeto, iż ilość dzieł, opuszczających w ciągu roku prasy galicyjskie, nie o wiele przewyższała cyfrę wydawnictw, jakie dziś Lwów w jednym miesiącu wytwarza, ukazanie się zaś zbiorowego wydania utworów jakiego pisarza, było sensacyjnym wypadkiem w tutejszym światku literackim.

To też nie małą wrzawę w latach 1817—1818 wywołało pojawienie się sześciotomowego wydania «Różnych dzieł» Walentego Gurskiego, pułkownika byłych wojsk polskich i dziedzica dóbr Szklary w rzeszowskiem. Pułkownik uprawiał rodzaj różne poezyi, pisywał bajki, powieści wierszowane i epigramaty, wśród których znajduje się wiele utworów, odznaczających się prawdziwym, choć niekiedy rubasznym humorem, jak świadczy wierszyk p. t. «O rewizyi»:

Ściśle podług rozkazów od rządu wydanych,
Wyszukując urzędnik dwóch ksiąg zakazanych,
Z których pierwszej był tytuł: «Rozum» a zaś wtórej:
«Dziewica Orleańska» — doniósł do cenzury,
Że w całym pewnym kraju bez stanów różnicy,
Nie znalazł rozumu, ani też dziewicy...

Nie mniej ciętym był jego epigramat, wymierzony przeciw komedyantom patryotyzmu, («Na Patryotę»):

W rzędzie cnót najświetniejszych jest miłość ojczyzny,
Czcigodny, kto znieść gotów śmierć dla niej, czy blizny,
Lecz ten, kto dla pieczeni, urzędu, czy mienia,
Chce ujść za patryotę, nie wart jest wspomnienia.

Nie wszystkie fraszki pana Gurskiego nadają się do powtórzenia na tem miejscu, gdyż żołnierskim zwyczajem zwał on rzeczy po nazwisku, bez względu na światowe konwenanse.

Pisał też pułkownik sztuki sceniczne, które grywał Bogusławski podczas swego pobytu we Lwowie, a następnie i na scenie warszawskiej. Tak więc ujrzały światło kinkietów komedye: «Rozwód w masce» i «Rycerz zakochany», odegrane we Lwowie w czerwcu 1797 r. i w kwietniu 1799 r., a «Tryumf cnoty» i «Areszt ślubu» dostały się na deski warszawskiego teatru w roku 1800. Ostatnią, sceniczną pracą Gurskiego była czteroaktowa komedya «Zemsta pięknej kobietki», przedstawiona w grudniu 1813 roku w tutejszym teatrze. Utwory te, niepozbawione humoru i wyróżniające się zręczną, jak na owe czasy, budową, cieszyły się niemałym sukcesem, gdyż i sam Bogusławski, tyle wybredny w ocenianiu oryginalnych utworów, osobiście pospieszył na wieś do autora, by mu pogratulować powodzenia. Tak przynajmniej głosił w Pamiętniku z roku 1817 anonimowy sprawozdawca, występując żarliwie w obronie autora, zaatakowanego dość ostro przez również bezimiennego recenzenta. Obaj ci krytycy zwiedli o Gurskiego bój wielce uporczywy, który i w r. 1818 zajął kilkanaście stronnic Pamiętnika, przepełnionych estetycznymi poglądami obu stron spornych. Już to krytyków nigdy nie brakło na klasycznych wybrzeżach niemodrej Pełtwy. Częstokroć było ich więcej, aniżeli autorów.

Mimoto Gurski nie wziął sobie do serca wycieczek złośliwych swych przeciwników, gdyż w dziesięć lat później, (w r. 1827), wydał we Lwowie spory zbiór «Nowych bajek i powieści», mieszczący w sobie między innemi wyborną satyrę, wymierzoną przeciw naszym bibliopolom. Niepodobna sobie odmówić przyjemności przytoczenia tej bajeczki, noszącej tytuł: «Księgarz i książki» a opiewającej, jak następuje:

Widząc książki, że księgarz tylko je szykuje,
Wlecze z miejsca na miejsce, to znowu wyjmuje
I na inną półkę kładnie:

Jedna drugą zagadnie:
Czemu przerzucasz nami ustawicznie,
Potem przedając publicznie,
Pieniądze chwytasz,
A sam nas nie czytasz?
Księgarz uśmiechnąwszy się, rzekł:
Co się masz pytać?
Oto lepiej sprzedawać książki, niźli czytać.

Jak więc widzimy, nieszczególne pan pułkownik miał wyobrażenie o książkowem wykształceniu lwowskich księgarzy... Żyłkę literacką po ojcu odziedziczyła też księżna Helena z Gurskich Ponińska, która zaślubiwszy dziedzica Czerwonogrodu, księcia Karola, słynęła — jak wiadomo — z niepospolitego wykształcenia. Zajmowała się z prawdziwem zamiłowaniem muzyką, malarstwem i wydała w języku francuskim powieść p. t. *Vande ou la Superstition*, która pomnożyła i tak już liczny zastęp nieprzyjaciół księżny. Nie oszczędzano jej nawet w paszkwilach... choć główne źródło niechęci, podtrzymywanej sztucznie przeciw osobie dostojnej autorki, tkwiło podobno w niskiej zawiści, iż córka jednowioskowego szlachcica została księżną! Księżna Helena była matką księcia Kaliksta.

Od salonowych intryżek wracając do literatury, nadmienić wypadnie, że równocześnie z Walentym Gurskim zadebiutował na pisarskiej arenie w roku 1817 Józef Kalasanty Pajgert, ojciec znakomitego poety Adama i dziad przedwcześnie zgasłego malarza, Władysława. Józef Kalasanty, dziedzic Sidorowa, był poetą z Bożej łaski, pisał co czuł i myślał nieuczenie, podobnie jak malował akwarelle, nie kształcąc się nigdy w malarstwie. Była to snać indywidualność nawskróś artystyczna, która rozwinęła się wybitniej w synu i wnuku. Józefa Pajgerta pierwociną poetycką były «Sielanki», skrytykowane nielitościwie przez Adama Chłędowskiego w Pamiętniku, zalecającego młodemu poecie studya gramatyczne... Pajgert nie znalazł równie gorliwych jak Gurski obrońców w prasie, ale też nie stracił fantazyi i chęci do rymowania. Utwory jego poetyckie obok bezpretensyonalności, cechuje szczerość uczucia, przejawiająca

się we wszystkich poezyach, poświęconych dzieciom lub żonie, wiele naturalności i niezwykła łatwość wierszowania. Poezya była dla niego wypoczynkiem po zajęciach ziemiańskich i do dzieł swych nie zdawał się Pajgert przywiązywać przesadnej wagi. — «Idźże książeczko moja w świat» — pisze poeta w przedmowie do swych «Bajek», wydanych we Lwowie w roku 1834 — «pobujaj sobie trochę, aż cię spotka los nam wszystkim wspólny, zapomnienie»... W książeczce tej rzewnością niekłamaną ujmuje czytelnika wiersz, napisany w dniu urodzin syna, Adama, kończący się następującą strofką:

I zawsze, zawsze ostatnim promykiem,
Pamiętaj, moją odwiedzić mogiłę,
Na tym promyku i w parze z wietrzykiem,
Wieści od syna przynoś mi miłe.

Tym razem omyliło poetę przeczucie, gdyż ukochanego syna wypadło mu przeżyć o rok cały. Ironia, zdawała się być obcą usposobieniu Pajgerta. Krytykom swym poświęcił jeden, jedyny dwuwiersz, niepozbawiony i w naszych stosunkach aktualności:

U nas takich krytyków nie mało.
Strzegą się możnych, słabych szarpią śmiało.

Poeta pozostawił stosunkowo dość znaczną spuściznę literacką, złożoną z kilkunastu tomików poezyi, w liczbie których obok balad, elegii i sielanek, figurują też listy humorystyczne, bajki i przekłady.

O ile skromność znamionowała całą działalność pisarską Pajgerta, który przeważną część swych prac wydał, pod pseudonimem Józefa Kalasantego z Sidorowa, o tyle głośnym był za życia, Albert hrabia Mier. Wpłynęły na to niezawodnie i stanowisko towarzyskie hrabiego i temperament jego dziwnie burzliwy. Mier odznaczał się niezwykłem wykształceniem a zarazem słynął z uszczypliwego dowcipu, który mu wielu przysporzył nieprzyjaciół. Pojedynków odbył, jak wiemy, co niemiara, lecz to nie zmniejszyło bynajmniej jego gotowości do zwady o byle drobnostkę. Pokłóciwszy się pewnego razu ze Starzeń-

skim, wyzwał go swoim zwyczajem, lecz zaspał oznaczoną godzinę. Starzeński przyjechał do mieszkania hrabiego i spiącego obudził, trącając go kolbą pistoletu. Mier porwał się co rychlej z łóżka, ubrał się pospiesznie i udawszy się z przeciwnikiem na miejsce spotkania, ugodził go celnym strzałem w prawe ramię.

Zapamiętały zwolennik klasycyzmu, pozostawał w zażyłych stosunkach z Trembeckim, który do niego z Warszawy wystosował w roku 1790 wierszowaną epistołę, rozpoczynającą się od słów:

Zazdrości naszej godne Twe chwile
Wieśniaku, który lepszym wyborem
W odległych włościach bawisz się mile
Z niwą, sadami, łąką i borem,
Tam wolen troski, w myślach swobodny,
Wdzięczniejszą rzeczy oglądasz postać,
Tam łatwo toczy dowcip Twój płodny
Rymy w pamięci mające zostać.

Nie pogodził się też Mier ze świtającą w poezyi erą romantyzmu. O Mickiewiczu wyrażał się z lekceważeniem, o Niemcewiczu mawiał, że beczy jak baran... «Wszyscy znają jego talent» — pisze o Mierze w swym pamiętniku Ksawery Prek — «ale wszyscy także wiedzą, jak rzadko mu się podobają cudze wiersze». W marcu 1829 roku bawił hrabia w Krakowie, gdzie miano przedstawiać przekład «Andromaki» jego pióra. Dziwnym zbiegiem okoliczności pojawił się równocześnie w Warszawie inny przekład tej tragedyi i «Kuryer» ogłosił wyjątki z tego tłómaczenia. Czytał je Wężyk, podczas gdy Mier z roziskrzonym wzrokiem, z kajetem w ręku, biegał po pokoju i co chwilę przerywał lekturę, porównując oba przekłady, «to unosząc się na końcach stóp» — słowa Preka — «to słodką przybierając fizyognomię, kiedy zdawał się być pewnym swego tryumfu, to znagła przysuwając się do czytelnika, nos, usta, brodę, ściągnione razem wspierał na jego twarzy. Często przybierał postawę aktora, noga naprzód, nawpół w tył przechylony, rękę wysoko podnosił, jakby się niebios miał dotykać»...

Nie mało się nabiedził hrabia na próbach, poprawiając aktorów, kłócąc się z dyrekcyą o kostyumy. Gniewał się, to znów częstował artystów czekoladą i karesował Szymkajłową, grającą tytułową rolę. Nadszedł wreszcie dzień przedstawienia, teatr był pełny i Mier, uśmiechnięty, uradowany, przybył do loży Arturów Potockich. «Patrzył w dół, w górę» — pisze Prek — «wszędzie wielce zadowolony. Wreszcie podniesiono kurtynę. Wówczas zdawało się, nic nie pozostało naszemu autorowi, jak oko i ucho. Wszystko szło bardzo dobrze, ale nieszczęściem Hermiona zapomniała słowa jednego. Mniejby to był kto zważał, lecz Mier, baczny na swoje rymy, wykrzykuje to słowo z loży i całą na siebie zwraca publiczność».

Prócz «Andromaki», tłómaczył Mier bajki Lafontaine'a i ustępy z «Jerozolimy wyzwolonej», lecz prace te pozostały w rękopisie. Wprawdzie w kwietniu 1832 roku donosiły Rozmaitości lwowskie, że Adam Kłodziński, późniejszy dyrektor Zakładu Ossolińskich, przygotowuje zbiorowe wydanie dzieł Miera, które miało się drukować w Wiedniu u ks. Mechitarzystów, jednakowoż z niewiadomych powodów zamiar ten nie przyszedł do skutku, Mier zaś w ciągu tegoż roku zmarł na cholerę. W zbiorze rękopisów Zakładu Ossolińskich znajduje się rękopis, zaofiarowany instytutowi w maju 1832 roku przez Adama Rościszewskiego jako autograf Miera. Tytuł tego zbiorku, liczącego kart sto trzydzieści i jeden, brzmi nieco drastycznie: «Wiersze swawolne dla rozrywki nie dla zgorszenia zebrane r. 1787». Są to w przeważnej części odpisy z wolnych wielce poezyi Trembeckiego i Węgierskiego. Czy jednak rękopis ów jest w rzeczy samej autografem tłómacza »Andromaki» — orzec stanowczo niepodobna.

Grona ziemian galicyjskich, poświęcających się tyle niewdzięcznemu w ówczesnych stosunkach piśmiennictwu, dopełnia wspomniany co dopiero Adam Junosza Rościszewski. Był to ciekawy okaz zamożnego szlachcica, oddanego całą duszą literaturze słowiańskiej, choć zdolności pisarskie nie szły niestety u niego w parze z dobremi chęciami i z zapałem, z ja-

kim poświęcał czas i pieniądze na utrzymywanie stosunków z uczonym światem w całej Słowiańszczyźnie, a w szczególności w Czechach. Pisał Rościszewski pomniejsze artykuliki, tłómaczył powiastki i poezye z czeskiego, a co główniejsza, zakupował wszystkie lepsze wydawnictwa polskie i wysyłał je do Muzeum Narodowego w Pradze. Oddział polski w tym instytucie jego głównie powstał ofiarnością, a korespondencya Rościszewskiego z bibliotekarzem praskiego Muzeum, Hanką, ogłoszona w r. 1894 w Dzienniku Poznańskim przez Edwarda Jelinka, zawiera wiele cennych szczegółów dla badacza literatury galicyjskiej przed rokiem czterdziestym ósmym. I słusznie skreślił Rościszewski w toku swej korespondencyi, (w grudniu 1841 r.), te słowa: «Listy moje będą kiedyś pamiętnikami czasu, w którym są pisane i przypomną wiele okoliczności drobnych i miejscowych, które do obrazu czasu i ludzi należeć będą»... W rzeczy samej dopiero monografia Jelinka przypomniała naszemu ogółowi postać biednego zapaleńca, który zamiłowanie swe do piśmiennictwa przepłacił ruiną całej swej egzystencyi. Rościszewski był panslawistą w najszlachetniejszem tego pojęcia znaczeniu. Z Kolarem, z Jordanem, tudzież z bawiącymi chwilowo w Galicyi Zappem i Koubkiem, pozostawał w nader żywej korespondencyi, interesując się wszystkiem, co się działo uwagi godnego w dziedzinie literatury. Zaliczał się też do rzędu licznych zresztą wielbicieli gubernatora Galicyi w roku trzydziestym, Augusta księcia Lobkowicza, jak świadczą słowa jego listu, pisanego do Hanki w sierpniu 1829 roku: «My Galicyanie, oderwani od ziomków naszych pod innymi rządami będących, rozdzielonych od nas granicami, jesteśmy na samym skraju i brzegu monarchii austryackiej. Całą nadzieją naszą jest zarządca krajowy, ks. gubernator Lobkowicz. On tylko może podnieść u nas rzeczy upadłe, w nim spodziewamy się znaleźć jako w członku, należącym do słowiańskiej rodziny, tego łaskawego i mocnego poplecznika, przedstawcę, co wyjaśnić może panującemu Monarsze rzeczy nasze tak, jak są rzeczywiście»... Sprzedawszy dziedziczny majątek Żurowice Dłu-

gie, przeniósł się Rościszewski do Lwowa. Był to człowiek gładki w towarzystwie, wykształcony, odznaczający się pewną ruchliwością umysłu, lecz pozbawiony rzeczywistej, twórczej zdolności, piszący stylem dziwnie ciemnym i szorstkim, które to wady występowały zarówno w jego pracach prozaicznych, jak w rymowanych. Jako próbkę przekładów Rościszewskiego, pozwolimy sobie przytoczyć sonet Sztulca, poświęcony Fredrze, a umieszczony w praskich Kwiatach w sierpniu 1837 roku. Utwor ten w tłómaczeniu Rościszewskiego opiewał jak następuje:

Nie każdego rodzinom błysła szczęsna gwiazda
I w dziecinne usteczka pszczoły miód złożyły
I trwałą zielonością lauru grób okryły,
Ani z feniksowego powstał każdy gniazda.

Los skąpy swego daru przez swoje wysiły,
Gdy mierni mkną tak szybko, jak pędzi w cwał jazda,
Ledwo ziemi w tysiąc lat wyższy geniusz raz da.
Aby górne dążenia wśród ludzi ożyły.

Fredro! Tobie w dzieciństwie wziąć od muz przypadło,
Za cacko szydną maskę i prawdy źwierciadło,
Byś stanąć kiedyś świetnie mógł na polskiej scenie.
Już wiele błędów zbitych śmiesznością przepadło,
Zazdrość, podstęp i skąpstwo na twój widok zbladło,
A Twemu dowcipowi świat oddał uczczenie!...

Wiersz ten, mający wartość jedynie bibliograficzną, nie szczególnie świadczy o czystości języka oraz o poetyckim polocie tłómacza, który na stare lata nie miał własnego kąta i skończył życie w dniu dwunastym grudnia 1844 roku w lwowskim szpitalu powszechnym.. Szyderstwo nierzadko ścigało biedaka za życia a i po śmierci jego podniosły się głosy, że tylko wygórowana ambicya była decydującym motywem ofiarności Rościszewskiego na cele literackie.

Zarzutu tego nikt nie śmiał powtórzyć o Antoninie Krechowieckiej, która brała dość żywy udział w lwowskim ruchu literackim, między rokiem 1817 a 1831. Mieszkając na wsi w Dubowcach, pod Mariampolem, zasilała Pamiętnik i Pszczołę,

pracami oryginalnemi i przekładami, lecz podpisywała się jedynie początkowemi literami swego imienia i nazwiska. Dlatego też J. Sowiński w swem dziełku O uczonych Polkach obok pochlebnych wzmianek o jej pracach, nie umiał podać właściwego miana autorki i dopiero niemiecka Mnemosyne poświęciła po jej zgonie, (w r. 1831), kilka słów wspomnienia działalności Krechowieckiej, wymieniając zarazem jej nazwisko. Krechowiecka, podpisująca się zazwyczaj: Ant... Kre... wystąpiła w roku 1817, zamieszczając w Pamiętniku artykuł: «O sposobie pozyskania szacunku mężczyzn». Mówi w nim nader trafnie o ubiorze i o zachowaniu się zarówno panien jak mężatek w towarzystwie i kończy swe wywody twierdzeniem: «W każdem położeniu, w każdym stanie szczęście znaleźć potrafimy, gdy w zgadzaniu się z wolą Opatrzności w wypełnianiu swoich obowiązków i w spokojności wiejskiego zacisza szukać go będziemy»... Podobną tendencyą odznacza się jej «List do przyjaciółki, wybierającej się za mąż», ogłoszony w Pamiętniku z r. 1818: «Szukaj szczęścia» — słowa Krechowieckiej — «w mężu, w dzieciach, w ukontentowaniu rodziców twoich. Szukaj go w domowych zatrudnieniach, w wyborze przyjaciół za radą męża, w czytaniu dzieł pożytecznych a najłatwiej je znajdziesz»... Prócz oryginalnych utworów, zamieszczała też Krechowiecka w Pamiętniku i w Pszczole, przekłady z Thomasa, z Saussure'a, z Sicarda i z Blancharda. Jedyną pracą Krechowieckiej, wydaną pod własnem nazwiskiem była powieść p. t. «Kazimierz i Jadwiga» czyli «Skutki dobrego wychowania», która we Lwowie u Pillera opuściła prasy drukarskie w roku 1827. Dochód z rozprzedaży tego dziełka przeznaczywszy na korzyść Sióstr Miłosierdria w Mariampolu, odwołuje się autorka w przedmowie, (p. t. Do Polek), do swych czytelniczek, wyrażając nadzieję, iż ze względu na cel wydawnictwa «przebaczą jej śmiałości w zawodzie literackim i płaszczem pobłażania błędy onego pokryją». Treść «Kazimierza i Jadwigi», dzieci owdowiałej przedwcześnie Maryi, dziedziczki z Sandomierskiego, ma za cel wykazanie, iż zarówno syn jak

córka w stanowczych chwilach życia powodować się winni radą i doświadczeniem kochającej matki. Tendencya prawdziwie moralna obok czystości języka i stylu, wolnego od wszelkiej przesady — zalety bardzo rzadkie u ówczesnych pisarzy galicyjskich — zdradzały w Krechowieckiej autorkę, która znaczne w dziedzinie literatury kobiecej mogłaby położyć zasługi, gdyby zgon przedwczesny nie był przerwał tyle pożytecznej jej działalności.

Wzmianka o przedwczesnej śmierci nasuwa nam pod pióro wspomnienie o dwóch młodzieńcach, rokujących niepospolite zdolności literackie, zgasłych w kwiecie a raczej w pierwszym rozkwicie życia. Mówimy o Albinie Niezabitowskim i o Klemensie Boguckim. Niezabitowski padł ofiarą skrytobójczego morderstwa we Lwowie, w maju 1831 roku, lecz w wydanym na rok przed zgonem poemacie p. t. «Puławy» (ogłoszonym w Haliczaninie), złożył dowody znacznego polotu fantazyi, oryginalności pomysłu i niezwykłego, jak u początkującego pisarza, wyrobienia formy. Podniosłym iście jest wstęp do tego poematu, rozpoczynający się od słów:

W krainie cudów, w krainie uroków,
Witaj zabytku chwały wielkiego narodu.
Wśród ćmiących byt nasz obłoków
Witaj nam gwiazdo zachodu.

Również szczupłą jest znana w druku spuścizna literacka po Klemensie Boguckim, słuchaczu praw na Uniwersytecie lwowskim, zgasłym w 1829 roku we Lwowie. Bogucki próbował swych sił w zakresie poezyi dramatycznej. Przekładał «Don Karlosa» i «Makbeta», lecz prace te zaginęły w rękopisach, Haliczanin, (w tomie drugim), ogłosił jego dumkę, zaprawną dziwnym u młodzieńczego poety życiowym pesymizmem:

Nie pragnę szczęścia, do życia nie dyszę,
Pocóż mam głupcom płoszyć sen niebieski,
Mole grobowe lepsi towarzysze
I dom zgodniejszy — cztery chłodne deski...

Jeżeli nie zdolnościami, to w każdym razie pracowito-

ścią wyróżniał się wśród grona pisarzy, że się tak wyrazimy, zawodowych, Stanisław Jaszowski, długoletni współpracownik Gazety Lwowskiej i Rozmaitości, zmarły w dniu dwunastym lutego 1842 roku a nie dość sprawiedliwie osądzony a raczej odsądzony od wszystkiego przez ś. p. Władysława Zawadzkiego w jego «Literaturze w Galicyi». Jaszowski był dziennikarzem z krwi i z kości, odczuwającym nader trafnie potrzeby duchowe czytającego ogółu, przerzucającym się z niezmierną łatwością z przedmiotu na przedmiot. Poezya, historya, krytyka i powieść były kolejno dziedzinami jego pracowitej działalności, nacechowanej zawsze chęcią służenia literaturze swojskiej. Nie szukać w dziełach jego głębokiej erudycyi, oryginalnych pomysłów, lecz zważyć należy, że pisał on w tym kierunku, jaki w danej chwili był poczytnym, że poruszał kwestye, interesujące ogół ówczesny. Gdy Niemcewicz i Bronikowski wystąpili z powieścią historyczną, tworzy i Jaszowski opowieści na tle dziejów i podań krajowych osnute: «Elżbieta Ostrogska», «Albert Bobowski», «Wąs Kotlarczyk», a mniej szczęśliwy w poezyi, («Zabawki rymotwórcze»), kreśli szkic o dziejach teatru polskiego, podaje wcale dokładne relacye o stanie współczesnej sceny lwowskiej i gromadzi materyały do obszerniejszej pracy historycznej, której już przed zgonem wykończyć nie zdołał, («Opisy i żywoty znakomitych mężów miasta Lwowa»). Czynnym był również Jaszowski jako wydawca. Za jego staraniem przyszło do skutku w roku 1837 dwutomowe wydawnictwo zbiorowe p. t. Słowianin, w którem nie zdołał wprawdzie skupić tyle prac pierwszorzędnej wartości, jak to się udało dokonać Bielowskiemu w Ziewonii, mimo to jednak dobór prac, składających ową publikacyę, nie usprawiedliwiał namiętnej krytyki, jaką umieścił jeden z lwowskich literatów w pismach poznańskich. W Słowianinie spotykamy się z utworami pióra Anny z Krakowa, Bronikowskiego, Goszczyńskiego, Kamińskiego i Olizarowskiego. Z mniej znanych figurują tu prace Karola Antoniewicza, Pozniaka, Turowskiego, Przyłęckiego i wielu innych. Już więc gołosłowne

wyliczenie nazwisk współpracowników Słowianina, przeobrażonego w dalszym ciągu wydawnictwa w Dniestrzankę, zdawałoby się wskazywać na to, że w przemyconych do Poznania filipikach nadpełtwiańskiego krytyka nie przedmiotowa ocena, lecz osobista animozya główną odgrywała rolę.

Co gorsza, wycieczki owe bezimiennego, tem bezwzględniejszego przeto w swych sądach pisarza, dały poniekąd początek pamfletom, pojawiającym się w latach następnych w ultraradykalnym Tygodniku literackim, wydawanym przez Woykowskiego w Poznaniu a zohydzającym wszystko i wszystkich, nie podzielających zasad anonima pod względem politycznym, czy też społecznym. Ta walka nieuczciwa, gdyż z zakrytą wiedziona przyłbicą, nie przyniosła ni pożytku literaturze, ni też zaszczytu autorowi «Uwag nad literaturą w Galicyi». Apostoł pseudo demokratycznych zasad, głoszący braterstwo, nie umiał budować, jeno niszczyć, nie wskazywał dróg nowych, nowych kierunków, jeno okrywał śmiesznością własne gniazdo, zniechęcał do pracy i tak już nieliczne w tym kraju grono piszących. I słuszną losu ironią ów satyryk zalicza się już od lat bardzo wielu do rzędu autorów najzupełniej — zapomnianych.

Od literatury przejść wypadnie do dziedziny tonów, w której ruch artystyczny Lwowa zaznaczył się stosunkowo najsilniej.

Do rozbudzenia muzykalności wśród Lwowian przyczynili się w pierwszym rzędzie — jak już wspomniano — Czesi i Niemcy, zajmujący tu w większej liczbie urzędy, z końcem ośmnastego i z początkiem bieżącego stulecia. Już około roku 1810 słyszymy o pierwszych produkcyach grona miłośników muzyki, odbywających się w salonach Höchtowskiego kasyna za inicyatywą Blahy, dyrektora urzędu taksalnego i Wittiga, prezydenta sądu szlacheckiego. Były to pierwsze zawiązki dzisiejszego Towarzystwa muzycznego, które dopiero w dwadzieścia pięć lat później uzyskało zatwierdzenie formalne ze strony rządu. Produkcye te powtarzane częściej i wobec szerszej publiczności musiały wśród niej wyrobić pewien smak i zamiło-

wanie do muzyki, podtrzymywane istnieniem stałej opery niemieckiej w miejskim teatrze. Dyrektorem jej był Elsner, tyle zasłużony później kierownik opery warszawskiej, której, pozyskany przez Bogusławskiego, służył do końca swego artystycznego zawodu. Bogusławski podczas czteroletniej gościny we Lwowie zapoznał też publiczność tutejszą z kompozycyami mistrzów włoskich: Cimarosy, Salierego, Paisiellego, z dziełami Mozarta, którego syn Amadeusz, przez długie lata przebywał we Lwowie, zasłużywszy się dobrze złożeniem w roku 1826 chóru pod wezwaniem świętej Cecylii, złożonego z miejscowych amatorów. Nie był przeto Lwów zacofanym pod względem muzykalnym i zajmował się żywo wszelkiemi ważniejszemi zdarzeniami w dziedzinie tonów i harmonii, wynagradzając sobie brak tej ostatniej w sferze codziennego życia. Łatwo więc można pojąć, z jaką ciekawością powitano wiadomość o przybyciu głośnej Angeliki Catalani, która w połowie lutego 1820 r. zawitała do Lwowa. Spiewaczka ta o europejskiej sławie, do niedawna ozdoba pierwszych scen światowych, rozpoczęła zawód artystyczny w bardzo młodym wieku, w czternastym roku życia. Nie dziw przeto, że w chwili przyjazdu do Lwowa, licząc dopiero lat trzydzieści i sześć, znalazła się Catalani już u schyłku swej spiewackiej karyery, acz olśniewała jeszcze słuchaczów znakomitą szkołą. Był to sopran, który za świetnych czasów artystki, zdumiewał wszystkich fenomenalną rozległością głosu, obejmującą trzy oktawy. Na równi z ogromem skali szły u Catalani: znakomite wyrobienie głosu, słynna jego giętkość, pozwalająca pokonywać artystce wszelkie trudności i pasaże karkołomne. Dlatego też popisową sztuczką spiewaczki, budzącą podziw zwłaszcza wśród szerszej publiczności, były waryacye Rodego, ułożone właściwie na skrzypce. Sprytna Włoszka umiała też rozmaitemi sztuczkami rozbudzić wśród publiczności lwowskiej żywe zajęcie się jej osobą. Najpierw więc rozpuszczono w mieście pogłoskę, że Catalani już jest we Lwowie, a co zawziętsi melomani zbijali na próżno bruki, przez cały dzień, chcąc się dowiedzieć o mieszkaniu *diwy*.

Później znów głoszono, że w podróży z Warszawy do Lwowa opadły artystkę wilki, które ona swym czarownym spiewem ułagodziła, czy też — jak głosili złośliwi — rozpędziła... Po tych dopiero wersyach dowiedzieli się Lwowianie o rzeczywistym przyjeździe Catalani, przybyłej rzekomo tylko dla odwiedzenia znajomych. Pierwsze domy arystokratyczne stały dla niej otworem, lubo spiewaczka nie odznaczała się wcale inteligencyą poza obrębem swej sztuki. W całej Europie słynną stała się jej rozmowa z Getem w Weimarze, gdy sędziwemu poecie pogratulowała w najlepszej wierze autorstwa parodyi «Cierpienia Wertera», granej na deskach pomniejszych teatrzyków paryskich... Mimo to unoszono się we Lwowie nad jej dowcipem, elegancyą, manierami. Dopiero po upływie kilku dni pojawiły się na rogach ulic ogłoszenia o koncercie Catalani, zapowiadanym na dzień siedmnasty lutego w przybudowanych do gmachu teatralnego salach redutowych. A jakkolwiek bilet wstępu kosztował dwanaście złotych, to jednak już na dwie godziny przed rozpoczęciem koncertu tłok w audytoryum panował niesłychany. Powitana gromem oklasków pojawiła się w końcu artystka na estradzie, by zbierać sowity aplauz, potęgujący się po każdym numerze programu. Lubo więc górne tony spiewaczki zdradzały już pewne znużenie głosu, nie przestawano na oślep, szaleć z zachwytu, który udzielił się nawet fachowym sprawozdawcom. Rozpisali się z samemi superlatywami o głosie i o szkole spiewaczki. Rozpływali się nawet nad aryą Guilelniego, *(Mio bene)*, figurującą wprawdzie w programie, lecz opuszczoną przez koncertantkę, a błąd ten przedostał się za pośrednictwem korespondencyi i do wiedeńskiej *Allgemeine Theater Zeitung*, zdającej obszerne relacye z lwowskich występów Catalani.

Po koncercie entuzyazm znawców i profanów przeszedł wszelkie możliwe granice. Najbliższy numer Rozmaitości ogłosił wiersz następujący:

Uśmiechły się wdzięki świata
Na głos boskiej Catalani,

Powszechność wieniec jej splata
Z przeznaczonych laurów dla niej.
Ale jej sylf jest w kłopocie,
Że wykradłszy z niebios tony,
Poświęcił ziemskiej istocie
Dźwięk tylko dla nich stworzony.
Stało się. Ty zaś bądź śmiała,
Spiewaj zdziwionym przez ciebie,
Coś pierwsza poznać nam dała
Jakie to spiewy są w niebie".

Oprócz tej rymowanej niedorzeczności, uwiecznionej drukiem, krążyła po mieście inna jeszcze oda na cześć Catalani ułożona, a prawiąca o statku i dobroci, o troskliwości matek i pobożności córek. «Były to płody staruszków. Młodzi nic nie pisali» — powiada anonim w «Liście Lwowianina do przyjaciela», ogłoszonym w Pszczole Polskiej... Drugi koncert Catalani, zapowiedziany na dzień dwudziesty trzeci lutego, odkładano trzykrotnie z powodu niedyspozycyi artystki — jak twierdzili jej zwolennicy, podczas gdy inni utrzymywali, że zwłoka ta nastąpiła z powodu trudności w wyprzedaży drogich biletów. Ostatecznie koncert przyszedł do skutku w dniu siódmym marca. Połowę dochodu przeznaczyła Catalani dla ubogich i sala, mieszcząca do tysiąca słuchaczów, przepełniła się po brzegi, podobnie jak na pierwszym występie spiewaczki. Nie obyło się i tym razem bez owacyj zbyt przesadnych, by mogły być szczeremi, ku końcowi zaś wieczoru zajaśniał w sali transparent, na którym obok napisu: *Alla Regina del Canto madame Catalani* widniały jeniusze, wieńczące artystkę. Jakkolwiek drugi koncert miał być zarazem ostatnim, to jednak w tydzień później spiewała Catalani po raz trzeci «na powszechne żądanie» i po cenach zniżonych, (1 bilet na salę kosztował dziesięć, na galeryę sześć złotych). Tym razem spiewaczka nie była przy głosie, więc też i słabszym był entuzyazm ograbionej z grosza publiczności. Starozakonni stronili od występów Catalani z powodu cen zbytnio wygórowanych a w kilka dni po trzecim koncercie artystka, zabrawszy do dziesięciu tysięcy złotych

gotowizny, udała się w dalszą wędrówkę artystyczną do Krzemieńca.

O wiele skromniejszym sukcesem tak moralnym, jak materyalnym, cieszyły się występy współzawodniczki Catalani, pani Campi, która w jesieni 1820 roku zjawiła się we Lwowie. Campi była Polką z rodu. Panieńskie jej nazwisko brzmiało: Mikłaszewicz a światło dzienne ujrzała w Lublinie. Mimo to nie przestrzegano wobec rodaczki zasad kurtoazyi, jakiemi rządzono się podczas występów jej poprzedniczki. Wprawdzie podczas gościnnych występów Campi w operze niemieckiej, gdzie spiewała w «Tankredzie» i w «Flecie czarnoksięskim», rozrzucano w amfiteatrze wiersze niemieckie, na cześć jej ułożone, lecz zarówno w scenicznych jej kreacyach jak i w produkcyach koncertowych dopatrywano się zbyt wiele sztuczności, upstrzeń samowolnych, niepotrzebnych dodatków. Napróżno spiewaczka kokietowała audytoryum spiewaniem niektórych utworów po polsku. Nie miała i połowę tego powodzenia, co włoska jej rywalka a jeden z miejscowych krytyków bryznął biedaczce w oczy zarzutem, iż należało jej przed laty conajmniej piętnastu wybrać się do Lwowa na występy.

Że jednak nie zawsze krytyka miejscowa mniej przychylną okazywała się dla swoich, dowodem było uznanie, towarzyszące stale Karolowi Lipińskiemu. Skrzypek ten rozgłośnej sławy nie był wprawdzie Lwowianinem z urodzenia, ale od dwudziestego roku życia przebywał w naszem mieście, dokąd też wracał corocznie z swych dalekich, artystycznych wycieczek, zanim przeniósł się na stały pobyt do Drezna. W latach 1810—1814 zajmował słynny potem wirtouz skromne stanowisko dyrygenta orkiestry przy ubożuchnej scenie polskiej we Lwowie i pracował też dla niej jako kompozytor. Z owych to czasów datują się kompozycye jego sceniczne, a mianowicie muzyka do jednoaktowego wodewilu Kamińskiego «Kłótnia przez zakład», oraz częściowa illustracya muzyczna tyle popularnej w swoim czasie opery czarodziejskiej, «Syrena z Dnie-

stru", lecz laury teatralne nie nęciły, zdaje się, Lipińskiego, którego jeszcze w roku 1833 wzywał anonimowy wieszcz, (Rościszewski?), do stworzenia opery wspólnie z — Mickiewiczem... Utwór ten, zatytułowany: Sonet dla Karola Lipińskiego i Mickiewicza, zaczynał się następującą apostrofą:

O wy muz narodowych sztuczni polubieńce,
Wybrani z między wielu, prawdziwie wzorowi,
Niech Was złączą przyjaźni jak laurowe wieńce,
Spojonemi siłami stwórzcie arcydzieło.
Świat słusznego podziwu jemu nie odmówi,
Że z dwóch jeniuszów początek swój wzięło...

Opuściwszy w roku 1814 teatr, oddał się Lipiński wyłącznie studyom muzycznym. Po trzyletniej pracy, jako wirtuoz skończony, puścił się w pierwszą podróż artystyczną do Włoch i w latach 1817—1829 zwiedził wszystkie niemal stolice europejskie, zbierając wszędzie oklaski i złoto. Corocznie jednak w porze letnich kontraktów powracał nasz artysta do Lwowa, by wystąpić z koncertem wobec licznego zjazdu obywatelstwa. Występy Lipińskiego należały niejako do stałego programu kontraktowych przyjemności i jaki taki hreczkosiej, który zresztą o muzyce nie zbyt jasne miewał pojęcie, spieszył na koncert sławnego ziomka z całym zapałem i przekonaniem, bo wiedział, że mu artysta przemówi do duszy, że poruszy w niej uspione na dnie najszlachetniejsze uczucia, przytłoczone szarą prozą życia. I spłakał się poczciwy szlachcic jak bóbr pod wpływem natchnionej gry mistrza, choć może nie wiedział do końca żywota, co oznaczają pojęcia stylu, intonacyi i kolorytu gry znakomitego wirtuoza, nad którymi unosili się znawcy. Bo też prostota stylu, prześliczna intonacya i malowniczość kolorytu przedstawiały najcelniejsze zalety gry Lipińskiego, o zachwycie zaś, jaki budził wśród słuchaczów, świadczy poniekąd udatny wierszyk Rafała Wężyka («Po koncercie Lipińskiego»), umieszczony w Rozmaitościach z roku 1824. Oto jak charakteryzował poeta osobistość naszego skrzypka:

Jeszcze go widzę, jak w skromnej postawie,
Stał w środku sali ze skrzypcami w ręku:
Wszyscy słuchacze w zachwyceniu prawie
Tłumili oddech, by nie przerwać dźwięku!

W latach 1829—1835 przemieszkiwał Lipiński stale we Lwowie, zkąd wyruszał na krótkie wycieczki do Warszawy i Poznania, poczem znów udał się w długą podróż artystyczną po Niemczech, Francyi i Anglii. W roku 1839 przeniósł się artysta wraz z rodziną do Drezna, gdzie otrzymał posadę nadwornego, królewskiego kapelmistrza. Od czasu do czasu dawał się jednak słyszeć we Lwowie, gdzie tylu szczerych liczył wielbicieli a wspomnieniem pobytu Lipińskiego w naszem mieście w roku 1844 był rzewny wierszyk, skreślony przez H. S. p. t. «Pozostań z nami». Przebijają się w tym drobiazgu, pietyzm prawdziwy, szczera miłość, jaką zdobył sobie artysta wśród galicyjskiego społeczeństwa. Nieznany bliżej poeta błaga Lipińskiego:

Pozostań z nami w rodzimej ziemicy
I wróć nam życie, coś nam dał za młodu.
My lata na cię czekali w tęsknicy,
Mistrzu muzyki, ozdobo narodu!...

Od artysty z Bożej łaski skok do kuglarza, bawiciela tłumów, może zbyt jest gwałtowny a jednak dozwolony we wspomnieniach z przeszłości, trudnych do ugrupowania w pewnym, pedantycznym porządku. Któż ze starszej generacyi Lwowian nie zapamiętał Boska, lub przynajmniej nie zasłyszał o zdumiewającej zręczności eskamotera, godnego sukcesora Cagliostrów i Pinettich? «Jakże tu nie wierzyć w wędrówkę dusz» — pisał Dziennik mód paryskich podczas pobytu Boska we Lwowie. — «Bosko pochodzi w prostej linii od Apoloniuszów z Tyany, Paracelsów, Cagliostrów. Dusza eskamoterska musiała długo się przeobrażać i przez różne przechodzić stopnie, zanim przyoblekła się w postać, którą świat zwie Bosko...» Słynny sztukmistrz gościł we Lwowie za dwoma nawrotami. Po raz pierwszy podziwiali go Lwowianie w roku 1827, lecz o ówczesnym jego pobycie w naszem mieście nie

posiadamy bliższych wiadomości. Po raz wtóry zjawił się u nas w lutym 1847 roku, powracając ze Wschodu i urządzając po drodze przedstawienia w Jassach, w Czerniowcach i w Stanisławowie. Przybywszy do Lwowa, popisywał się Bosko zrazu w domach prywatnych i dopiero po kilku dniach urządził przedstawienie dla szerszej publiczności w sali towarzystwa muzycznego. Był to już wówczas człek stary i bardzo otyły, co mu wszakże nie przeszkadzało w produkcyach. Kazał sobie słono płacić za wstęp, ale też salę urządził wspaniale i oświecił czterystu jarzącemi świecami. Jasno w niej było gdyby w dzień. Tem większy przeto podziw budziła wśród widzów zręczność, z jaką stary kuglarz rozrzucał stosy bukietów, wydobywanych nie z kapelusza lecz z dłoni niczem nie osłoniętej. Figurowały też w programie: ptak, nabity w pistolet i żywcem wystrzelony, ożywianie gołąbków, którym poprzednio sztukmistrz głowy ucinał, rozdarcie jednego królika na dwa małe, żyjące i tym podobne produkcye, uchodzące podówczas za szczyt magii salonowej. Dzisiejsza publiczność większość tych sztuczek zna niemal na pamięć, ale wówczas popisy Boska budziły senzacyę i czterokrotnie zapełniły mu salę.

Zaledwie odjechał Bosko, gdy w połowie kwietnia b. r. pojawił się we Lwowie Liszt, powracający z Rosyi. Jeżeli sławny kuglarz zajął i rozbawił żądne łatwej rozrywki tłumy, to Liszt poruszył i zachwycił wszystkich, którzy zdolni byli pojąć i zrozumieć tego wielkiego artystę, słusznie nazwanego przez Dzierzkowskiego typem najwyższej potęgi współczesnej muzyki. To też komiczne potroszę wrażenie sprawił artykuł Tygodnika Petersburskiego, przedrukowany przez pisma warszawskie i poznańskie, wymierzone przeciw Lisztowi, a wyrażający żal iż «w blasku złowieszczym tego strasznego komety zniknęła niepostrzeżona maleńka, ojczysta gwiazdka, wschodzący dopiero talent słowiański». Tą ojczystą gwiazdką na horyzoncie sztuki miał być niejaki Dymitrów-Swieczyn, rywalizujący wcale niefortunnie z Lisztem podczas bytności tego ostatniego w Kijowie... Liszt podbił i zjednał sobie serca wszystkich

nietylko jako nieprześcigniony mistrz tonów, ale jako człowiek pełen taktu towarzyskiego, umiejący się zawsze zastosować do otoczenia, w jakiem się znalazł. Dzięki tym zaletom, artysta był równie pożądaną i szanowaną osobistością na salonowych parkietach, gdzie za gościnne przyjęcie odpłacał się anegdotkami i *bons mots*, powtarzanemi z uniesieniem w kołach towarzyskich, jak i w gronie literacko-artystycznem, kędy dzięki oczytaniu i prawdziwie artystycznej swej indywidualności potrafił zawsze zająć otoczenie wypowiedzeniem myśli i poglądów zdrowych, zarówno o piśmiennictwie, jak o sztukach pięknych w ogólności. W czasie pobytu we Lwowie, Byron był ulubionym poetą mistrza, który w rozmowie o jego dziełach zwykł był się ożywiać, rzucając w toku pogadanki niejedno spostrzeżenie trafne, dobrze pomyślane o charakterze utworów, tak żywo zajmujących jego wyobraźnię. Z literatów lwowskich najściślej zaprzyjaźnił się z Wincentym Polem, a najswobodniej i najprzyjemniej zwykł był gawędzić w szczupłem kole znajomych, którzy go odwiedzali zazwyczaj o porannych godzinach, zanim jeszcze artysta zmuszonym był do odbywania żmudnych obowiązków salonowej pańszczyzny.

Już pierwszy koncert Liszta, w którego programie figurowały obok polonesa i mazurka Chopina melodye węgierskie, stał się widownią wspaniałego tryumfu, odniesionego przez tego «arcymistrza o postawie skromnej, o fantastycznej bladości twarzy i ruchach palców prawdziwie bajecznych» — jak go scharakteryzował sprawozdawca Gazety Lwowskiej. Od czasów Catalani nie zapamiętano we Lwowie podobnego natłoku publiczności. Podobnie jak pierwszy, tak też i dwa następne koncerty Liszta odbywały się w salach Towarzystwa muzycznego. W drugim koncercie wystąpiła obok niego bawiąca równocześnie w naszem mieście pianistka Zofia Bohrer i obronną ręką wyszła z trudnego tego zadania. Mimo tego zauważył Dziennik mód paryskich, «że jednego tylko Liszta słysząc, zapomina się zupełnie o instrumencie, na którym gra, bo to nie martwy gra fortepian, ale jego własne natchnienie mu-

zyczne...» Podobnie podniosłe wrażenie wywarło też *Ave Maria* Schuberta, odegrane przez mistrza na trzecim z rzędu koncercie. «Pojętnym i widomym stał się nam duch pobożności wyższej, świętej i natchnionej, który w każdej drżał nucie», pisze o tej produkcyi jeden z jej świadków. W dniu dwudziestym siódmym kwietnia podejmowano Liszta wieczorem w sali Zakładu narodowego imienia Ossolińskich, w której obok przedstawicieli wiedzy, literatury i sztuki, zebrało się dla jego uczczenia grono pań. Liszt zachowywał się skromnie, poważnie, zapytywał o wszystko, a dla pań był tylko uprzedzająco grzeczny bez zwykłej mu w salonie zalotności. A jakkolwiek na wieczorach prywatnych nie zwykł był nigdy grywać, to jednak w Ossolineum sam przystąpił do fortepianu, by zachwycić zebranie śliczną improwizacyą na temat mazurków Chopina. Wieczór ten, pamiętny dla tutejszej drużyny literatów i artystów, pozbawionej jakiegokolwiek stałego punktu zbornego, opisał barwnem piórem ś. p. Władysław Zawadzki w swej «Literaturze w Galicyi».

Raz tylko jedyny dał się Liszt słyszeć w teatrze skarbkowskim. Było to na koncercie, urządzonym w dniu drugim maja t. r. na rzecz ubogich miejscowych. Fortepian ustawiono na pomoście, pokrywającym orkiestrę, podczas gdy wyborowe towarzystwo Lwowa zajęło krzesła, pomieszczone na scenie. Sukces był kolosalny zarówno dla mistrza, przyjmowanego z niekłamanym entuzyazmem przez najszersze koła publiczności, jak dla biednych, których fundusze znaczny uzyskały zasiłek. Natomiast pustki niemal panowały na koncercie Lisztowskim, urządzonym na dochód i ze współudziałem młodziuchnego skrzypka, Feliksa Lipińskiego, brata Karola. Lipiński zaofiarował bowiem jedną ze swych kompozycyj Lisztowi, który uderzony talentem rozpoczynającego zawód artystyczny młodzieńca, sam się zaofiarował z gotowością wystąpienia na jego koncercie. Ale publiczność niedopisała tym razem, choć mistrz był prawdziwie natchnionym owego wieczora i świetną improwizacyą na polskie tematy narodowe zapisał się wieczyście

w pamięci słuchaczów. Uznając dobre chęci znakomitego gościa, wyprawili lwowscy artyści i literaci na cześć jego obiad składkowy w nieistniejącym już dziś ogródku hotelu Żorża. Bankiet odbył się w dniu siódmym maja i zgromadził około czterdzieści osób. Pierwszy toast na cześć Liszta wygłosił Adam hrabia Zamoyski w mowie wiązanej:

W Polsce był zwyczaj od wieka,
Nad mistrza cenić człowieka...
A więc dawnym obyczajem,
Z obu względów cześć ci dajem!

Gość odpowiedział toastem na cześć Chopina, który dla niego był tem w muzyce, czem Byron w poezyi. Z pomiędzy wszystkich muzyków nowej szkoły — mówił Liszt — najwięcej mam szacunku dla Chopina, jako dla człowieka i najwięcej uwielbienia dla talentu jego w muzyce. On pierwszy nowe, dotąd nieznane otworzył pole dla gry fortepianowej, której dzisiejsza potęga i objętość od niego nową swą epokę rachować będą. Nie tylko bowiem w mechanizmie fortepianowym nowych dokonał odkryć, zastosowanych następnie tak szczęśliwie przez Erarda, ale w grze samej, w technice klawiszowej nowe zupełnie odkrył kombinacye. A w tworzeniu dzieł muzycznych jest on dziś najpierwszy i najdzielniejszy, i czem jestem dzisiaj — kończył mistrz — czem się nad innych wzniosłem artystów, wszystko to winien jestem jego radom, uwagom i naukom!

Trudno zaiste o bardziej wymowny hołd, od tych słów uznania.

Nazajutrz odbył się ostatni koncert Liszta, który w nocy jedenastego maja opuścił Lwów po miesięcznym prawie pobycie, ruszając w dalszą drogę do Czerniowiec.

Obok wielkiego mistrza tonów niepodobna nie wspomnieć o artyście z przypadku, głośnym w swoim czasie w całej Europie a znanym również na lwowskim bruku jako jeden z typowych przedstawicieli lwowskiej *Bohemii*. Mowa tu o Stanisławie Szczepanowskim, znanym w swoim czasie gitarzyście.

Był on rodem z Krakowa i kilkunastoletnim wyrostkiem znalazł się w roku 1834 jako tułacz w Londynie. Bez znajomości języka i jakiegokolwiek zawodowego wykształcenia, byłby niezawodnie zginął z głodu i nędzy w tem olbrzymiem mieście, gdy na swe szczęście dowiedział się o odejściu parowca do Edynburga, który odbywając po raz pierwszy tę drogę, zaofiarował polskim wychodźcom bezpłatny przewóz. W Endyburgu zastał liczniejsze grono ziomków, którzy sami nie wiele mając zasobów, dzielili się sierocym chlebem z przyszłym artystą. W salonie barowej Walcker, przyjmującej gościnnie Polaków, odkryto przypadkowo zdolności muzykalne u Szczepanowskiego, który zasadzony do gitary, z taką werwą jął na niej wygrywać krakowiaki i obertasy, iż znajomi zaczęli go zachęcać do wyłącznego poświęcenia się temu instrumentowi. Ucząc się sam, udzielał Szczepanowski równocześnie lekcyj gry na gitarze, będącej wówczas ulubionym wśród płci pięknej instrumentem a w roku 1839 wystąpił po raz pierwszy z koncertem w Edynburgu. Powodzenie, jakiego doznał przy tym występie, skłoniło go do ruszenia w dalszą po świecie wędrówkę. W Londynie popisywał się publicznie u księżny Sutherland, w której salonach miał szczęście być przedstawionym królowej Wiktoryi i otrzymał od niej w darze kosztowną gitarę. W roku 1840 koncertował Szczepanowski u Herca w Paryżu a wybredna krytyka nadsekwańska wyrażała się o grze jego z niezwykłem uznaniem *(qui tient le sceptre de cet instrument)*. Bywał wszędzie, zarówno w salonach arystokratycznych, gdzie wyróżniał się sarmacką fantazyą, humorem i pewnością siebie, jak i wśród polskiego towarzystwa, obcując z Mickiewiczem, z Chopinem oraz z innemi najwybitniejszemi osobistościami tego grona. Ośmielony towarzyszącem mu stale powodzeniem, udał się do ojczyzny gitary, do Hiszpanii, gdzie doznał również entuzyastycznego przyjęcia. Na dworze królowej Krystyny, odszczególniony został tytułem pierwszego gitarzysty Jej Katolickiej i Apostolskiej Mości oraz wspaniałym pierścieniem brylantowym. Kolejno przebiegł nasz gitarzysta Niemcy, Włochy, Szwajcaryę, odnosząc wszędzie try-

umfy. W roku 1843 dał się słyszeć w Poznaniu i w Krakowie, zaś w roku 1848 w Warszawie i w Wilnie, gdzie Syrokomla poświęcił mu wierszyk, rozpoczynający się od słów:

Wiatr, co wieje po obszarze,
Deszcz przyodziać w polskie zgłoski,
Kto to zdoła, kto dokaże?
Nasz Stanisław Szczepanowski!

Dotarłszy szczęśliwie do Petersburga, ruszył następnie na Wschód, do księstw — jak mówiono wówczas — naddunajskich, do Turcyi, Małej Azyi, Egiptu. Zbierał wszędzie oklaski i złoto, które pełnemi garściami wyrzucał, nie myśląc o przyszłości. W Galicyi pojawił się po raz pierwszy około roku 1864, budząc początkowo wielki zachwyt, jakkolwiek gitara nie należała już wówczas do instrumentów salonowych i zaledwo gdzieś w zapadłych kątach kraju można się było z nią spotkać. Ale bo też cudów dokazywał Szczepanowski na tym niewdzięcznym instrumencie, wydobywając z swej gitary kaskady tonów, pełnych siły i uczucia. Grywał wyłącznie swoje kompozycye a równocześnie też próbował szczęścia na estradzie koncertowej jako wiolonczelista, z mniejszym co prawda sukcesem. Zachodząc w lata, nie chciał się artysta usunąć w domowe zacisze, choć otrzymywany od rodziny zasiłek mógłby mu wystarczyć na skromne utrzymanie. Nawyczka do cygańskiego życia ciągnęła go w świat, gdzie już nie chciano go słuchać z tem, co dawniej zajęciem i uznaniem. Zniechęcony począł w trunku szukać pociechy i w dniu szesnastym września 1877 roku zakończył burzliwy żywot nagłą śmiercią w trzeciorzędnym zajeździe przy ulicy Żółkiewskiej we Lwowie. A jednak Szczepanowski, choć w ostatnich latach życia złamany zawodami, przedstawiał typ wielce ciekawy i sympatyczny do pewnego stopnia. Cygan artystyczny w prawdziwem tego słowa znaczeniu, gotów był dzielić się ostatnim kawałkiem chleba z biedniejszymi od siebie a humor posiadał niewyczerpany podobnie jak fantazyę, przypominającą żywcem pomysły księcia Panie Kochanku. Opowieści Szczepanowskiego o przygodach, doświadczonych przez niego na ma-

dryckim dworze, były w istocie w swoim rodzaju klasyczne, choć cechy autentyczności nie posiadały zbyt wiele...

Świat kulis i szminki, podobnie jak koncertowa estrada, jest terenem nader wdzięcznym dla ekscentrycznych postaci, które w tej sferze czują się niejako w swym żywiole. Nie myślimy bynajmniej mącić pokoju wiekuistego bohaterom i heroin starego teatru miejskiego, przypominaniem historyi, w jakich i za lat dawnych teatralny ludek główną zwykł był odgrywać rolę. Z toni zapomnienia wydobyć pragniemy dwa jedynie epizody, tworzące pod każdym względem charakterystyczne kontrasty. Odrzucając przeto niepotrzebne wstępy opowiemy nagie fakta, które przemawiają za siebie dość wymownie, by potrzebowały jakichkolwiek komentarzy. Było to w roku 1840, za rządów tak zwanej socyety artystycznej, która pozbawiwszy władzy starego i znękanego kłopotami Kamińskiego, rządziła samowładnie w lwowskim teatrze. Socyetaryusze we własnym, dobrze zrozumianym interesie trzymali się za ręce i do grona swego niechętnie przypuszczali zdolniejszą młodzież płci obojga. Stawały się tymczasem z lat biegiem starszemi i tragiczne heroiny i naiwne podlotki, szlachetni bohaterowie i młodzieńczy — na scenie — amanci. Mimoto z nieufnością spoglądali władcy teatru na garnące się do sceny młodsze siły, w których dopatrywali się groźnych dla siebie współzawodników. Drażliwość ową, właściwość dość powszednią u starzejących się aktorów, że nie wspomniemy o aktorkach, zachodzących w lata, — potęgował jeszcze widok szybko rosnącej budowy gmachu skarbkowskiego, przypominający starszemu pokoleniu artystów koniec ich rządów w najbliższej już przyszłości. Wobec takich warunków atmosfera, panująca w starym teatrze miejskim, nie była wcale pogodną... Nie wiemy przeto, co było powodem, iż artystka warszawskiego teatru, Teresa Palczewska, grywająca obok Halpertowej pierwszorzędne role, zapragnęła w ową właśnie porę dać się poznać lwowskiej publiczności.

W maju 1840 r. zjechała Palczewska w mury Lwowa i wywarła nader dodatnie wrażenie, grywając zarówno role

popisowe w modnych podówczas melodramatach jak «Życie szulera», lub «Waryatka», oraz odtwarzając trudną postać Ofelii w «Hamlecie» lub Zofię w Fredrowskich «Przyjaciołach». Ofelia Palczewskiej wywołała nawet małą wojnę domową w szpaltach Gazety Lwowskiej. Gdy bowiem stały sprawozdawca pisma stawiał warszawską artystkę wyżej od ulubienicy Lwowian, Starzewskiej, wystąpił przeciw temu twierdzeniu wymowny «Kontraktowicz», (pseudonim Wacława Zaleskiego), stając w obronie sił miejscowych. Mniejsza wszakże o ową walkę, choć spory recenzentów krupią się zazwyczaj na skórze aktorskiej. Palczewska wystąpiła siedmiokrotnie na scenie lwowskiej z coraz to rosnącem powodzeniem a w godzinach, wolnych od prób i przedstawień, udzielała w swem mieszkaniu lekcyj tańców dorastającemu pokoleniu. Był to poboczny zarobek artystki, któremu się nikt nie dziwił w owych czasach, gdy honorarya aktorskie były mniej niż skromne, podobnie jak nie brano za złe Palczewskiej, iż grywając repertoar tragiczny, popisywała się w antraktach pewnego wieczora mazurem, odtańczonym solo. Była to niewinna reklama, dla nauczycielki tańca arcypotrzebna... Publiczność uczęszczała, mimo lata, bardzo licznie na występy Palczewskiej, pożegnała ją życzliwie i artystka w najlepszem usposobieniu opuszczała nasze miasto, gdy w tem niespodzianie zatrzymano ją przy wyjeździe na Grodeckiej rogatce, gdzie władza policyjna przez kilka godzin z rzędu przeglądała kufry Palczewskiej. Powodem rewizyi była denuncyacya, naturalnie bezimienna... Wprawdzie puszczono następnie artystkę bez żadnych trudności w dalszą podróż, ale wystraszona kobieta za żadną cenę nie chciała już powrócić do Lwowa, mimo nadzwyczaj korzystnych propozycyj, czynionych jej w latach następnych.

O ileż odmiennem było przyjęcie, jakiego doznała w naszem mieście przybyła w marcu roku następnego panna George. Słynna w początku bieżącego wieku aktorka tragiczna i najpiękniejsza kobieta we Francyi, chwilowa ulubienica pierwszego konsula, była już w owym czasie sędziwą kobietą, której

wzrost olbrzymi i zmarszczki na twarzy, widoczne mimo różu i bielidła, dziwne w rolach młodziuchnych amantek sprawiały wrażenie... Mimo to publiczność nasza, nie zważając na znaczne podwyższenie ceny wstępu, przepełniała teatr szczelnie na występach Francuzów. Nawet loże drugiego piętra przepłacano szalenie a szpalty miejscowych pism polskich i niemieckich brzmiały jednozgodnym hymnem zachwytu, przeciw któremu nikt nie ośmielił się zaprotestować, lękając się zarzutu złego smaku i braku znawstwa. Nie odbyło się i tym razem bez rymowanej pochwały dla wielkiej aktorki. Opiewała ona jak następuje:

Jak orkan miota morza wzdętemi falami,
Tak ty władniesz śmiertelnych i czuciem i łzami.
Ty trwogę, litość, smutek, budzisz na raz w duszy,
Rozpacz twa rozszalała szakale porwszy.
Ty słowu życie dajesz potężna mistrzyni,
Kto Cię pojąć nie zdoła, niech swe serce wini!

Na wzmiance o entuzyastycznych owacyach dla cudzoziemki, poruszającej «rozszalałe szakale», niepodobna urwać wspomnienia o działwie Apollina, które zbyt może doraźnym zdawaćby się mogło sądem w sprawie dwóch miar, jakiemi ludność Lwiego grodu oceniać zwykła i wynagradzać swoich a obcych. Że wszakże miasto nasze zdołało też uczcić prawdziwe zdolności i zasługi, tego dowodem było przyjęcie zgotowane w maju 1867 roku na cześć Kraszewskiego, który przybywał skutkiem zaproszenia tutejszej młodzieży uniwersyteckiej, celem ogłoszenia szeregu odczytów o Dancie na rzecz świeżo zawiązanej «Czytelni akademickiej». Unikając głośnych manifestacyj, przybył Kraszewski do Lwowa w dniu szóstym maja pociągiem porannym i zamieszkał w hotelu «Europejskim», podczas gdy tłumy publiczności, nie wiedząc zgoła o przyjeździe znakomitego pisarza, pospieszyły na jego spotkanie tegoż dnia wieczorem na dworzec kolejowy. Kraszewski w owym czasie lubo liczył pięćdziesiąty piąty rok życia, to przecież wyglądał o wiele młodziej. Niskiego wzrostu, pochylony nieco, włosy

miał jasne, bez żadnego śladu siwizny, wzrok pełen życia a całą jego postać znamionowały dziwna elastyczność ruchów, żywość prawie młodzieńcza. Odczyty jego odbywały się w sali ratuszowej a na wieczory rozrywano formalnie znakomitego autora. Artyści witali go w domu Adama Miłaszewskiego, dyrektora teatru, literaci u księgarza Wilda i u Kornela Ujejskiego, szersza zaś publiczność zgotowała mu serdeczną owacyę podczas uroczystego przedstawienia komedyi «Panie kochanku» w teatrze. Nie brakło wszakże i publicznych przyjęć na cześć Kraszewskiego. I tak świat literacki podejmował go w dniu czternastym maja obiadem, wyprawionym w domku szwajcarskim pojezuickiego ogrodu. Zebranie było bardzo liczne i obejmowało prawie wszystkich przebywających we Lwowie przedstawicieli literatury i sztuki. Panował w niem duch podniosły, godny wielkiego imienia i wielkiej zasługi tego, którego uczcić zamierzono. Przemówienia Małeckiego i Leszka Borkowskiego, improwizacye Pola i Kornela Ujejskiego, wywołały burzę oklasków. Odpowiadał im Kraszewski w sposób równie serdeczny jak podniosły, zagrzewając brać po piórze do statecznej, wytrwałej pracy: — «Niech trudem waszym — mówił — ożywi się zobojętniała społeczność. Niech się korzeni oświata, miłość języka naszego i literatury, niech wymianą myśli połączą się ziemie bratnie a jedność celu zwiąże współpracowników dłonie. Po przecierpianych klęskach tylu, wam dane podnieść co upadłe, ożywić co zamarłe, dźwignąć pogardzone, wrócić cenę temu co lekceważone...» Niemniej uroczysty charakter miała uczta pożegnalna, wyprawiona na cześć Kraszewskiego, w przeddzień jego odjazdu, przez mieszczaństwo lwowskie, które przez usta Rady miejskiej zamianowało go w dniu szesnastym maja honorowym obywatelem miasta. Był to pierwszy wypadek w dziejach Lwowa, iż w ten sposób uczczono zasługi litrackie, gdyż przed Kraszewskim figurowali w rzędzie honorowych obywateli miasta Lwowa jedynie mężowie stanu, dostojnicy kościoła i dygnitarze rządowi. W złotej księdze miejskiej widniały przed rokiem 1867 nazwiska: Agenora hr. Go-

łuchowskiego, księcia Leona Sapiehy, Franciszka Smolki i Ryszarda Belcredego, arcybiskupa Baranieckiego, biskupa Manasterskiego, zasłużonego burmistrza miasta Franciszka Kröbla, że nie wspomniemy całego szerego osobistości urzędowych, które z rozmaitych tytułów dostąpiły zaszczytów honorowego obywatelstwa w tem mieście.

Stosownie do przyjętego zwyczaju, pod oryginałem honorowego dyplomu, zachowanego w owej księdze, skreślił Kraszewski podczas uroczystości jubileuszowych w Krakowie następujące słowa: «Z uczuciem najgorętszej wdzięczności dla czcigodnych obywateli miasta Lwowa, którzy mnie zaszczycili przyjęciem do swego grona w chwili tułactwa, zapisuję na tej karcie imię moje wraz z życzeniem, aby ten stary gród nowem życiem odżywał, kwitnął pracą swoich dzieci i jako ognisko ogarnął kraj, którego jest stolicą. Kraków dnia 6. października 1879 r.»

W dwa lata po Kraszewskim, w dniu trzydziestym września 1869 roku, zaszczyt honorowego obywatelstwa miasta Lwowa dostał się w udziale Matejce, który również pozostawił w złotej księdze wielce charakterystyczną odpowiedź. — «Ofiarowane sobie obywatelstwo miasta Lwowa» — pisze mistrz Jan — «poczytuję za zaszczyt tem droższy, że pierwej nim własna siedziba rodzinna uznała mnie swym obywatelem, Lwów przyjął mnie między zasłużonych z przyznaniem miana obywatela. Staraniem mojem na przyszłość będzie, aby choć w części zaufaniu odpowiedzieć, a pamięć przyjęcia mnie w owych czasach nie odbiegnie mię nigdy. Owszem przekażę ją rodzinie mej, dzieciom moim».

Z hołdem, z jakim Lwów pospieszył w uznaniu zasług Matejki w rażącem pozostawały przeciwieństwie dziwna do pojęcia apatya oraz ignoracya, znamionujące mieszkańców tego grodu wobec malarstwa i rzeźby. Pod tym względem Warszawa, Kraków a nawet mniej ludny Poznań, wyprzedziły o wiele Lwigród, na który artyści do niedawna jeszcze spoglądali jako na wielce zacofane pod względem pojęć estetycznych miasteczko

Co prawda, nie sam Lwów, lecz i szeroki ogół mieszkańców tej prowincyi podzielał w swoim czasie uczucia obojętności dla utworów pędla i dłuta. I słusznie pisał w lipcu 1843 roku, bawiący na studyach w Wiedniu Jan Tysiewicz, artysta malarz te słowa: «Rzućmy okiem w przeszłe wieki, przejdźmy do pomieszkań zamożnych rodzin a przypatrzywszy się płodom ojczystym, przekonamy się, jak mało kraj nasz żywił zamiłowania dla sztuki w chwilach, gdy ta okryta najozdobniejszem kwieciem krzewiła się na sąsiednich gruntach. Liczne portrety najmożniejszych panów, prócz drogiej pamiątki dzieciom i skarbów historyi, nic nam we względzie sztuki nie ofiarują. W świeższych czasach znalazły sztuki więcej zamiłowania u nas a ztąd liczniejsi zwolennicy i dzielniejsze ich prace. Imiona ich mało znane, lub zupełnie obce dla wielu w ojczyźnie. A wielu szukając na obcej ziemi, gromadzi przywiane plewy z galeryi zagranicznych, przechrzczone imionami Rafaelów, Tycyanów, Coreggiów, Rubensów — skromne płody ojczyste, mogące nieraz być wzorem swym przechrzczonym braciom, bez wpływu imion obcych, będących u nas pieczęcią, zaprzeczającą uwagom krytyki a świętość nietykalną dziełu zapewniającą, rzadko w gronie tych błogosławionych, już raz jako podrzutki przez sztukę wyklętych i na stos przeznaczonych, pomieszczane bywają. Podobne zbiory smakowi narodowemu nieprzeliczone klęski przynoszą...»

W utyskiwaniach tych artysty wiele mieściło się gorzkiej prawdy. Zarówno we Lwowie, jak na prowincyi, trafiali się u nas od czasu do czasu amatorowie sztuki, którzy skupowali obrazy, tworząc u siebie zbiorki prywatne, lecz i ci znawcy nie przyczyniali się w niczem do popierania krajowych artystów, polując w przeważnej części na rzekome arcydzieła starych mistrzów, które im mniej sumienni antykwaryusze po śmiesznie niskich cenach sprzedawali. Nie potrzebujemy, zdaje się, dodawać, że nabywane z taką skwapliwością przez naiwnych mecenasów płótna były z reguły lichemi kopiami, którym sztucznie — niekiedy w kominie — nadawano pozór antyków. Tym

więc sposobem i lwowskie galerye prywatne, nie wyjmując zbiorów światłego radcy Wronowskiego, profesora Lambignona i Lauba, liczyły przerażliwą ilość wielce podejrzanych arcydzieł obok stosunkowo szczupłej liczby kompozycyi pracujących w kraju malarzy.

W obec takich stosunków, niewesołą była dola osiadłych we Lwowie artystów. Ogół przeciętny ludności hołdował jednomyślnie tej zasadzie, iż kto nie ma majątku, handlu i rękodzieła w ręku, lub też nie jest urzędnikiem, ten zasługuje na miano próżniaka, choćby dni i noce trawił na żmudnej pracy. Tak więc artysta malarz, niezrozumiany przez ogół, chcąc nie chcąc musiał się stawać rzemieślnikiem — dla chleba. Bez względu na kierunek swych twórczych zdolności, musiał malować tanie portrety, udzielać za bardzo niskiem wynagrodzeniem lekcyi rysunków, a w razie potrzeby nie gardzić i innego rodzaju zamówieniem. To też Józef Rajchan, protoplasta artystycznego rodu tegoż nazwiska, Sas z rodu, żołnierz kościuszkowski, uważać się mógł za wybrańca fortuny, gdy udało mu się na lwowskim bruku pozyskać sławę wybornego portrecisty, dzięki czemu nigdy nie mógł się użalać na brak roboty. Rajchan osiadł we Lwowie w roku 1798 i tu też w roku 1822 pracowitego dokonał żywota. Jego to pędzla był portret Wojciecha Bogusławskiego, znany po dziś dzień z litograficznych reprodukcyi. Mniej szczęśliwym był Antoni Lange, wyborny pejzażysta, którego prace dobrze spieniężali *Kunst-Händlery* na zagranicznych targach, zagarniając dla siebie wszelkie zyski. Lange był uczniem znanego w Wiedniu malarza krajobrazów, Schönbergera i pełen fantazyi przybył w roku 1810 na wybrzeża niemodrej Pełtwy. Smutna rzeczywistość rozwiała niebawem młodzieńcze marzenia artysty. Krajobrazom jego, osnutym na tematach z okolic Lwowa, przyznawano wielkie zalety kompozycyi, poprawność rysunku i koloryt łudzący. Z tem wszystkiem jednak, w braku odpowiednich nabywców, musiał biedaczysko za bezcen sprzedawać swe obrazy, podejmując się równocześnie dla zarobku malowania dekoracyi teatralnych. I malował dla lwow-

skiego teatru sale królewskie, lasy i «wolne okolice» przez całych lat trzydzieści, to jest do chwili zgonu, z początkiem roku 1844. Smutny los Langego podzielił też zdolny malarz, Engerth, który obok obrazów kościelnych, krajobrazów i portretów, wykonywał też na zamówienie — wystawy sklepowe. Wiele robi, kto musi... Stary Maszkowski, nauczyciel rysunków w szkole realnej, zapowiadający wiele przed laty w dziedzinie historycznego malarstwa, mimo studyów, odbytych we Włoszech, nie ziścił pokładanych w nim nadziei. Smutne okoliczności — jak twierdzono — i stosunki rodzinne i troski ojca i zwątlone zdrowie, zwichnęły jego karyerę artystyczną.

Tak przedstawiały się pierwszorzędne siły malarskie we Lwowie, nie wspominając o skromnych rzemieślnikach, wykonywujących z pomocą patronów jaskrawe malowidła dla wiejskich cerkiewek. To też niemałą sensacyę wywołała w czerwcu 1837 roku podana przez tutejsze Rozmaitości wiadomość o pierwszej we Lwowie wystawie obrazów, urządzanej «przez kilku przyjaciół ludzkości». Inicytatorem tej ekspozycyi był nauczyciel w tutejszym zakładzie głuchoniemych, Wilhelm Schultz, który przeznaczył dochód czysty z opłaty za wstęp wpływającej na cel utworzyć się mającego stypendyum dla ucznia tegoż instytutu, kształcącego się w malarstwie. Wystawa mieściła się w pięciu pokojach ratusza i obejmowała 631 przeróżnych oryginalnych kompozycyi i kopii, zgromadzonych z rozmaitych zbiorów prywatnych. Otwarcie wystawy nastąpiło w dniu ósmym czerwca i wstęp kosztował dwadzieścia krajcarów od osoby. Publicystyka polska nie zdobyła się przy tej sposobności na oryginalne sprawozdanie o wystawionych dziełach sztuki, lecz posiłkowała się artykułem bezimiennego autora, zamieszczonym w wychodzącej podówczas we Lwowie *Mnemosynie*, piśmie literackiem, redagowanem w języku niemieckim. Dzięki owemu anonimowi dowiadujemy się przynajmniej o nazwiskach dyletantek i artystów, których dzieła figurowały na wystawie ratuszowej, że nie wymienimy całego szeregu oryginalnych, czy też mniej lub więcej udatnie podrobionych Rubensów, Vandy-

ków, Dürrerów... Zdaje się, że w owym czasie w wyższem Towarzystwie lwowskiem kwitnęła moda malowania olejno. Takby przynajmniej wnosić należało ze wzmianki o paniach: Dulskiej, Humnickiej i Szeptyckiej, biorących udział w owej ekspozycyi. Z artystów zawodowych wystąpili z portretami: Knapp, Brodowski, Wojnakowski; Engerth wystawił swój «Nocleg zbójców», Karol Szwaikart dobre kopie z tematów mitologicznych, Jabłoński portret chłopaków, Lange swe krajobrazy, które cechowała szaroprzejrzysta atmosfera, właściwa wszystkim jego kompozycyom. Najwięcej wszakże widzów ściągały rodzajowe obrazki Aloizego Rajchana, syna Józefa a ucznia Verneta, osnute na tle życia ludowego we Włoszech. Koloryt i łagodność rysunku i harmonia barw budziły u znawców i nieznawców zachwyt i podziw dla młodego artysty, który wszakże ze względów materyalnych poszedł w ślady ojca i malował niemal wyłącznie portrety. Zwłaszcza panie lubiły się portretować u Rajchana. Każda na jego portrecie była ładną, lub co najmniej przystojną...

Wystawa obrazów w ratuszu trwała do dnia dwudziestego drugiego lipca t. r. i powiodła się nieźle pod względem materyalnym. Na rozbudzenie żywszego zamiłowania do sztuki malarskiej oraz na silniejsze poparcie sił miejscowych nie wpłynęła wszakże korzystnie owa ekspozycya, zwłaszcza wobec wchodzących w użycie tańszych o wiele od portretów daguerotypów.

Pierwsze daguerotypy francuskie pojawiły się w Wiedniu w lecie 1839 roku na wystawie wyrobów rękodzielniczych, urządzonej w salach Akademii sztuk pięknych. Były to oryginały paryskie, przesłane ówczesnemu kanclerzowi państwa, księciu Metternichowi, a przedstawiające wnętrzne pracowni rzeźbiarskiej, oraz wybrzeża Sekwany w Paryżu. «Nie są to rysy linjowe» — piszą współczesne Rozmaitości — «lecz czyste tynty, jakie natura przedstawia, które szczególniej w znacznem oddaleniu i przez powiększające szkło widziane, magiczne wrażenie sprawiają»...

U nas pierwszy zajmował się daguerotypią profesor historyi naturalnej przy wszechnicy tutejszej, Gleisner ,który na podstawie współczesnych opisów sam sobie zrobił odnośny przyrząd. Pierwszym atoli zawodowym daguerotypistą był we Lwowie Hipolit Augustyn Chołoniewski, zmarły w roku 1880 w Kołomyi. Była to osobistość w każdym razie niezwykła. Oficer austryackich huzarów, na wieść o wybuchu rewolucyi listopadowej, opuścił szeregi i sprzedawszy swą ojcowiznę w dawnym obwodzie żółkiewskim, uzbroił za uzyskane pieniądze oddział z siedmdziesięciu jeźdźców złożony, na których czele, nienagabywany przez nikogo, przerznął się przez całą Galicyę do Zamościa. Tam zaciągnął się do piątego pułku ułanów, a po bitwie pod Kałuszynem zamianowany podporucznikiem, pełnił później obowiązki adjutanta przy jenerale Zamoyskim, odznaczając się męstwem i walecznością. Po upadku powstania przebywał Chołoniewski we Francyi, w Hiszpanii i w Szwajcaryi, skąd powróciwszy w roku 1843 do Lwowa, począł zarabiać na utrzymanie daguerotypią i pierwsze swe prace wystawił w księgarni Milikowskiego. Współzawodnikiem jego był Józef Pohlman, chemik i rysownik, który prócz dokonywania zdjęć, trudnił się też udzielaniem lekcyj chcącym pracować w tym zawodzie. On też pierwszy wyrabiał we Lwowie daguerotypy kolorowane. Uczniem Pohlmana, którego pracownia istniała w domu przy ulicy Sykstuskiej l. 23, był Szarmancki. Roboty Szarmanckiego cieszyły się wielkim odbytem, choć każda odbitka portretu kosztowała znaczną na owe czasy kwotę 10 zł. m. k. Autor znanego pamiętnika o stosunkach galicyskich, Ksawery Prek, wyraża się o robotach Szarmanckiego, w te słowa: «Portret bardzo jest trafiony, ale jednak życia, jakie mają portrety malowane, nigdy nie zastąpi, ponieważ wyraz twarzy zawsze jest martwy. Mówią że lwowskie daguerotypy lepsze są, jak wiedeńskie». Zdaje się jednak, że ta ostatnia pochwała polegała na mylnej informacyi, gdyż w roku 1844 kronikarz Gazety lwowskiej, redagujący rubrykę Nowiny, skarżył się, iż z powodu łatwego zbytu daguerotypiści lwowscy pracowali

niedbale, nie wykończali swych wyrobów należycie, każąc sobie za nie płacić ceny wiedeńskie i paryskie. Wystawy nielicznych zresztą księgarni lwowskich, nie mogły pomieścić wykładanych na okaz daguerotypów, które niebawem znalazły się w innych handlach nawet w najbliższem sąsiedztwie fajek i cybuchów. Wyrobem daguerotypów trudnili się w roku 1844 właściciel apteki «pod Lwem» Józef Dobrowolski i rysownik a zarazem handlarz obrazów, Józef Wysłobocki, oraz znani nam zaledwo z nazwiska Ballak, Weltil, Nahlik. W jaki dziesiątek lat później daguerotyp ustąpić musiał miejsca fotografii. Fotografia, acz nie przewyższała zrazu daguerotypów dokładnością wykończenia, to jednak zwyciężyła stanowczo wynalazek Daguer'a — taniością, dzięki której portretowanie się nawet dla klas uboższych przestało być zbytkiem. W liczbie pierwszych fotografów lwowskich obok starego Chołoniewskiego, przekazała nam tradycya nazwiska: Ignacego Gołębiowskiego, zdolnego artysty dramatycznego, który scenę skarbkowską rzucił dla intratniejszego wówczas zawodu, Teodora Szajnoka i Józefa Edera. Żaden z tych zakładów nie przetrwał niestety do naszych czasów.

Powróćmy wszakże do stosunków lwowskiej kolonii malarskiej, wśród której w latach 1842—1843 nadzwyczajnym, acz chwilowym tylko cieszył się rozgłosem wspomniany już poprzednio, młody, bo niespełna lat trzydzieści liczący artysta, Jan Tysiewicz. Tysiewicz rodem ze Stanisławowa, zdradzał już w młodych latach nadzwyczajne zdolności jako rysownik i znalazłszy szczęśliwie hojnego mecenasa, kształcił się w Wiedniu. Pracował tam przez czas dłuższy pod kierunkiem starego Amerlinga i w roku 1842 zwrócił na siebie ogólną uwagę kompozycyą, przedstawiającą Maryę Magdalenę. Złośliwi utrzymywali, że kompozycya ta nie była oryginalną, lecz zapożyczoną z płótna jednego z holenderskich mistrzów. Mimoto jednak obraz dzięki świeżości kolorytu, oraz pewnym efektem świetlanym budził sensacyę. We Lwowie ukazała się «Marya Magdalena» w listopadzie 1842 roku i wystawiona w sklepie handlarza muzy-

kaliów oraz obrazów, Galińskiego, ściągała tłumy ciekawych. Korzystając z ogólnego zainteresowania, jakie ten obraz w mieście wywołał, nałożył artysta drobną opłatę za wstęp, po dziesięć krajcarów od osoby, z przeznaczeniem uzyskanego w tej drodze dochodu na cele dobroczynne. W przeciągu tygodnia zebrano w ten sposób 262 złr. 42 kr. a co ważniejsza, znalazł się nabywca obrazu, zamożny ziemianin Czarnecki, który zapłacił za «Magdalenę» nadzwyczajną na owe czasy kwotę pięciuset złr. m. k. Krytyka piała jednogłośne pochwały na cześć artysty. «W tym obrazie — pisała Gazeta Lwowska — niewiadomo czy podziwiać malarstwo, czy też unosić się nad rzeźbiarstwem.» Tysiewicz w następnych latach przeniósł się do Wiednia i do Monachium a później na czas dłuższy osiadł w Rzymie.

Zachęcony powodzeniem «Magdaleny», zakupił u Tysiewicza kopię tego obrazu niejaki Boznański, który w celach spekulacyjnych obwoził ją za granicami Galicyi. Słówko przy tej sposobności o Boznańskim, który zasłużył na wspomnienie choćby z tego powodu, iż pierwszy obrał sobie za zadanie obwożenie płócien polskiego pędzla za granicą. Była to w każdym razie figura wcale oryginalna. Rudy, brudny w ubiorze, był poetą, autorem dramatycznym i skrzypkiem w jednej osobie. Wieszał się przez czas dłuższy przy dworze sieniawskim a ożeniwszy się z wychowanką księżny-jenerałowej, z panną Strzemińską, posag jej stracił na dzierżawach. Pisma swe wydał w dwóch tomach we Lwowie. W dziełku tem, prócz listów wierszem i prozą, bajek i powieści, ballad i komedyi, mieściła się «Obrona rudych», dedykowana przez Boznańskiego autorowi «Ślubów Panieńskich», który, jak wiadomo, ryżym był za młodu. Owoż poeta osiadłszy na bruku, postanowił eksploatować obraz Tysiewicza i z zakupioną od artysty kopią ruszył w świat szeroki.

Pierwszym etapem w jego wędrówce była Warszawa. Boznański wystawił w syrenim grodzie «Magdalenę» jako dioramę w sztucznem oświetleniu i w zaciemnionym pokoju. Ramy osłaniał czarny aksamit, zaś sztuczna przegroda nie pozwalała

widzowi zbytnio przybliżać się do płótna. Natomiast mógł je podziwiać dowoli w zwierciadle, w którem dziewicze kształty pięknej pokutnicy, z tem większą występowały wyrazistością. Nie szczędził przy tem Boznański ustnej reklamy, którą kładł w uszy każdemu, kto go chciał słuchać. Głosił więc z całą pewnością, że za obraz ten zapłacił Tysiewiczowi dwa tysiące dukatów i tym podobne facecye. Słusznie więc zauważyła z tego powodu Gazeta Warszawska, pisząc w listopadzie 1843 roku, iż «taka kopia jest jednym z obrazów najawantażowniejszych do oszołomienia lubowników. Przyczynia się też wielce do tego pełna zbytecznych pochwał gadanina, zbyteczna dla prawdziwych znawców, a wprowadzająca tylko dyletantów w całkiem błędną opinię...» Z Warszawy podążył Boznański do Drezna i Lipska, gdzie znów ogłaszał, że «Magdalenę» nabył za dziesięć tysięcy talarów, jedynie dla tego, że odkrył w niej podobieństwo do swej zmarłej córki... Nie wszyscy, zdaje się, wierzyli owej bajeczce. Takby przynajmniej wnosić należało z słów lipskiego korespondenta do Stuttgardzkiego Morgenblattu. «Bądź co bądź» — czytano w tej korespondencyi — «cieszyć się nam należy, że dziwaczny ten Polak pozwolił skarb swój za mierną cenę oglądać...» Z Lipska odbyła «Magdalena» wędrówkę do Berlina i Poznania, gdzie nadzwyczajnym cieszyła się sukcesem. — «Na tem właśnie zależy tryumf malarza wystawiającego Magdalenę» — głosił korespondent z tego miasta w warszawskiej Gazecie teatralnej — «aby wystawiając całą zmysłowości rozkosz i ponętę, w mgnieniu oka, na tem samem płótnie zwyciężył ją siłą i szczytnością ducha»...

Po powrocie do Lwowa, wyjechał następnie Boznański z swym obrazem na wschód i dotarł podobno do Konstantynopola. Dalszych losów «Magdaleny» nie znamy. Dziś spoczywa ona w kątku galeryi Zakładu narodowego imienia Ossolińskich.

Rozwiedliśmy się szerzej o kolejach, jakie przechodziła kompozycya, czy też kopia Tysiewicza, gdyż był to pierwszy utwor pędzla polskiego, który zwrócił na siebie uwagę zagranicznych znawców.

Lwów dopiero w lat siedm po pierwszej próbie wystawy obrazów doczekał ponownej tego rodzaju ekspozycyi. W styczniu 1844 roku Julian Wysłobocki urządził wystawę obrazów w domu Bacha naprzeciw starego teatru, (dziś gmach szkoły przemy... wej). I tym razem palmę pierwszeństwa przyznawały zarówno krytyka jak publiczność kompozycyom Rajchana, który obok portretów Pola i muzyka Kesslera wystawił obraz większych rozmiarów, przedstawiający Proroctwo Symeona. Z powodu wystawionych krajobrazów nieżyjącego już podówczas Langa zamieścił sprawozdawca Nowin tę niewesołą uwagę: «O czemuż mu w życiu nie było tak lekko i swobodnie, jak lekkie, swobodne i czyste jest powietrze jego obrazów!»... Znalazły się na tej wystawie: prace Moraczyńskiego, Jachimowicza i Jabłońskiego. Maszkowski wystąpił z swym portretem Ossolińskiego, Galiński z widokiem świętojurskiego jarmarku. Nie brakło też robót amatorskich: hr. Karśnicki dał obraz olejny. Pajgert krajobrazy, Medwey akwarele a Pohlman wystawił świeżo wówczas wchodzące w życie daguerotypy.

Jeżeli jednak ekspozycya z roku 1844 była ściśle prywatnem przedsiębiorstwem Wysłobockiego, który po upływie miesiąca pospieszył wraz z swymi obrazami na kontrakty do Kijowa, to trzecia z rzędu wystawa lwowska, urządzona w czerwcu 1847 roku, miała i zakres o wiele obszerniejszy i znacznie większą doniosłość artystyczną. Inicyatywę w tej sprawie dał podobno ówczesny wiceprezydent gubernialny, Agenor hr. Gołuchowski, jako prezes instytutu ubogich, na którego dochód organizowano wystawę. Urządzeniem ekspozycyi zajmowali się: Dyonizy Babel, koncepista gubernialny, ksiądz Frank tudzież kupiec tutejszy Götinger, którzy nietylko postarali się o jak najliczniejszą kollekcyę dawnych utworów, umieszczając je osobno w górnych pokojach prawego skrzydła Zakładu Ossolińskich, lecz nadto po raz pierwszy urządzili salon lwowski w sali posiedzeń Zakładu, której ściany okryto szarą, jednostajną materyą. Oddział retrospektywny obejmował przeszło czterysta, salon trzysta płócien. Nadto organizatorowie wystawy

zakupili od lwowskich artystów piętnaście obrazów za cenę 1.120 zł. i przeznaczyli je jako wygrane na losy, które publiczność mogła nabywać po cenie 20. krajcarów. Wystawa, otwarta w dniu pierwszym czerwca t. r. główne budziła zainteresowanie ze względu na prace, pomieszczone w salonie, w liczbie których obok kompozycyi znanych już artystów: Rajchana, Maszkowskiego, Jabłońskiego i innych, znalazły się po raz pierwszy studya Szlegla, świeżo przybyłego do kraju z wędrówki po Wschodzie, własny portret Raczyńskiego i akwarelle Kossaka. Studya z natury Kornela Schlegla żywo przypominały starych malarzy włoskich, rokowano też Raczyńskiemu pomyślną przyszłość jako portreciście, lecz akwarelle sędziwego dziś Juliusza Kossaka zachwyciły wszystkich, zarówno swojskością tematu jak i prawdziwie artystycznem wykończeniem. — «Jeżeli się pan Kossak obznajomi z postacią ludzką, jak zna konia» — pisał o artyście Szczęsny Morawski w swych Uwagach nad wystawą obrazów — «i jeżeli porzuciwszy drobiazgowe robótki akwarelowe, weźmie się do techniki olejnej i nią swe pomysły wyrazi, może talent swój w nieskończoność rozwinąć. Ale na to trzeba wytrwałej pracy i akademii. Pierwsza od niego — druga od Boga i dobrych ludzi zależy». Obok prac samoistnych artystów: Bartusa, Łuczyńskiego, Schöpla, Tyrowicza i Płączyńskiego, zaprodukowano również pierwsze nieśmiałe próby Franciszka Tepy i Lundy, kształcących się w akademii wiedeńskiej, nie przepominając i o amatorskich robótkach pań: Szeptyckiej, Turkułłowej i Rayskiej tudzież panien: Sieleckiej, Schröterównej i Prochaskównej. Publiczność, mimo lata, dość licznie odwiedzała wystawę, a rozprzedażą losów zajmowały się uproszone panie. Do jednej z nadobnych protektorek ekspozycyi wystosował Babel w lipcu t. r. wiersz, kończący się temi słowy:

Bo nieraz słówko i życzliwa rada,
Więcej skutkuje i ludzkości nada,
Niżeli gruba przechwalaczy księga,
Albo zaborców niszcząca potęga

I orszak zbrojny w stotysięcy szabel.
Najniższy sługa.

Dyonizy Babel.

Trzecia ta wystawa trwała do końca lipca 1847 r. i przyniosła po odtrąceniu kosztów urządzenia oraz sumy, poświęconej na zakupno obrazów, przeznaczonych do rozlosowania, czysty dochód w sumie 619 zł. 36 ct. Sukces ten stosunkowo bardzo pomyślny, spowodował redakcyę Biblioteki Zakładu Ossolińskich do wystąpienia z projektem założenia Towarzystwa wzajemnej pomocy artystów, któreby czerpało swe dochody z wystaw, urządzanych w pewnych, stałych odstępach czasu, zaś Dzierzkowski w obszernym artykule, zamieszczonym w tymże miesięczniku, wskazywał na konieczną potrzebę zawiązania we Lwowie Towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych na wzór instytucyi tego rodzaju istniejących na Zachodzie. — Wiele wszakże wody jeszcze upłynąć musiało, zanim myśl, rzucona przez Dzierzkowskiego, stała się faktem dokonanym.

Niewesoła dola lwowskich malarzy była wszakże rajem w porównaniu z losem tutejszych mistrzów dłuta, skazanych na rzemieślniczą pracę, produkującą tanie pomniki cmentarne, jeżeli nie chcieli umierać z głodu. W ogóle rzeźbiarstwem trudnili się w starym Lwowie wyłącznie cudzoziemcy. Jednym z pierwszych, osiadłych w naszem mieście rzeźbiarzy był Hartman Wittwer, który przybył do Lwowa po rewindykacyi. Dzieła jego, jak to słusznie zauważył Julian Markowski w swym «Cmentarzu Łyczakowskim» — odznaczają się klasycznem stylem i subtelnością wykonania. Dłuta Wittwera jest między innemi pomnik Katarzyny Jabłonowskiej, ustawiony obok ołtarza Przemienienia Pańskiego w katedrze obrządku łacińskiego. Pomysłowością i techniką zbliżał się do niego przybyły po roku 1812 Antoni Schimser, uczeń akademii wiedeńskiej i paryskiej, naśladujący w swych pracach kierunek Canowy. Antoni Schimser, zmarł w roku 1836, zaś uczniami jego byli: brat młodszy, Jan Schimser, który od roku 1826 samoistnie pracował, tudzież Paweł Eutele. Rzeźbiarstwo było znać dziedzicznem zajęciem w ro-

dzinie Schimserów, gdyż sztuce tej poświęcili się również obaj synowie Jana: Jan, który utonął przypadkowo, kąpiąc się pod Stanisławowem w Bystrzycy, oraz Leopold Schimserowie. Ten ostatni, lubo ukończył studya akademickie w Wiedniu, zarzucił rychło artystyczną rzeźbę dla popłatniejszego kamieniarstwa. Z pracowni Leopolda Schimsera wyszedł cały szereg zdolnych rzeźbiarzy. Mniej szczęśliwym od Leopolda Schimsera, który na kamieniarstwie znacznej stosunkowo dorobił się fortuny, był wspomniany już poprzednio Eutele, sprowadzony przez Antoniego Schimsera z Niemiec około roku 1828 do Lwowa. Po śmierci swego mistrza objął on pracownię, w której był czynnym, dopóki starczyło mu sił do wytężającej w wysokim stopniu pracy, która wszakże nie zabezpieczyła mu chleba na stare lata. Eutele zmarł w ośmdziesiątym piątym roku życia jako prebendaryusz domu Łazarza. Był on jednym z ostatnich przedstawicieli dawnego kunsztu rzeźbiarskiego, który w osobie Cypryana Godebskiego, chwilową tylko odzyskał świetność. Budowa domu inwalidów sprowadziła około roku 1855 Godebskiego do Galicyi, dokąd też niebawem przybył zawezwany przez niego Abel Perier. Godebski po wykończeniu gmachu inwalidów powrócił nad Sekwanę, gdzie mu pomyślniejsze, aniżeli w ojczyźnie, uśmiechały się losy, podczas gdy Perier do śmierci pozostał we Lwowie. Właściwym wszakże twórcą młodszej, polskiej szkoły rzeźbiarskiej był Parys Filippi, osiadły we Lwowie od roku 1866. Jemu zawdzięcza wiedzę przeważna część młodszego pokolenia naszych rzeźbiarzy, która po Filippim odziedziczyła prawdziwe poczucie piękna i cześć dla sztuki, choć służyć jej przyszło częstokroć o chłodzie i o głodzie.

Na rzeźbiarzach kończy się właściwie przegląd ruchliwej i pełnej fantazyi dziatwy Apollina, która żyła i działała w murach starego Lwowa. Opowieść ta wszakże nie byłaby zupełną, gdyby przyszło pominąć milczeniem skromną, zasmoloną gromadkę sukcesorów kunsztu Guttenberga, bez której współdziałania rozwój nowoczesnej literatury i publicystyki należałby do rzędu fantastycznych baśni.

Oficyn typograficznych posiadał Lwów jeszcze do niedawna bardzo niewiele, ale i te, które były, wystarczyły w zupełności na bieżącą potrzebę, przynosząc swym właścicielom pokaźne zyski. Z chwilą rewindykacyi Galicyi istniały we Lwowie dwie drukarnie: Stauropigialna, będąca od roku 1586 własnością bractwa, założonego przy cerkwi wołoskiej i jezuicka. Kasata zakonu położyła rychły koniec egzystencyi tej ostatniej, zaś oficyna stauropigialna zatrudniała się do roku 1848 niemal wyłącznie drukami cerkiewnymi. Nowy rząd potrzebując do licznych ogłoszeń, formularzy oraz celem publikacyi książek szkolnych drukarni, urządzonej w sposób bardziej postępowy, sprowadził zaraz w pierwszym roku po zaborze Galicyi Antoniego Pillera, który też przybrał tytuł typografa gubernialnego Jego Cesarsko-Królewskiej Mości. Po rychłej śmierci Antoniego Pillera, (w r. 1781), utrzymywała drukarnię pozostała po nim wdowa, Józefina, której następcami byli: Tomasz, Jan, Piotr i Korneli Pillerowie. W tej to drukarni, prócz robót rządowych opuścił prasy pierwszy organ polityczny, w polskim wydawany języku p. t. Dziennik patryotycznych polityków, a Pillerowie przez kilkadziesiąt lat z rzędu nie znaleźli znaczniejszego współzawodnika na gruncie lwowskim, gdyż ani czynna w latach 1785—1794 drukarnia księgarza Pfaffa, ani też istniejąca od roku 1796 oficyna Wichmana nie zdołały sobie wywalczyć trwalszego bytu. Dopiero następca Wichmana, Józef Schnayder, nabywszy od niego drukarnię w roku 1808, jął współzawodniczyć z Pillerami, wydając u siebie dzieła Ignacego Czerwińskiego, i niemieckie pismo literackie p. t. Mnemosyne wreszcie Pszczołę Polską, redagowaną sumptem Wilda. Po śmierci Schnaydra w kwietniu 1853 r., inwentarz jego zakładu w części przynajmniej przeszedł na własność «drukarni krajowej», założonej przez Michała Porembę w roku 1847 a stanowiącej od roku 1887 własność Szczęsnego Bednarskiego, który w swych Materyałach do historyi o drukarniach w Polsce wiele cennych do dziejów naszej typografii zebrał wiadomości. Drukarnia Sznayderowska aż do roku 1872 mie-

ściła się w apartamentach pierwszopiętrowych arcybiskupiej kamienicy, (Rynek l. 9), pamiętnych zgonem króla Michała w listopadzie 1673 r. Dopiero infułat Zabłocki, jako zarządca tego gmachu, przeniósł drukarnię wraz z maszynami do oficyny.

Bardziej wszakże od Schnaydra groźnym dla faktycznego monopolu Pillerów współzawodnikiem była założona w listopadzie 1831 roku drukarnia, litografia i gisernia rządowa, która wykonywała wszelkie roboty dla władz publicznych. Mimo licznych zamówień, drukarnia ta będąca ziemią obiecaną dla zecerów, nie opłacała się i zwiniętą została w grudniu 1870 roku. Podobnie i drukarnia Zakładu narodowego im. Ossolińskich przez długie lata nie mogła się rozwinąć należycie z powodu prześladowań rządowych i dorywczej gospodarki często się zmieniających dzierżawców. Otwarta w roku 1832, zamkniętą została — jak wiadomo — już w czerwcu 1834 roku i dopiero z końcem 1847 roku udało się pozyskać kuratoryi Zakładu Ossolińskich pozwolenie rządowe na ponowne rozpoczęcie czynności drukarskich. Ale już po sześciu latach uznała za stosowne kuratorya wydzierżawić zakładową oficynę prywatnym przedsiębiorcom, którymi byli kolejno: Wojciech Maniecki, Aleksander Vogel i Edward Winiarz. Za czasów Manieckiego wytłoczono w tej drukarni pomnikowe dzieło, słownik Lindego. Najdłużej bo przez lat trzynaście, (1876—1889), utrzymał się przy dzierżawie tej oficyny ś. p. Edward Winiarz, który do zaniedbanego pod względem technicznym zakładu przeniósł własną drukarnię, założoną w roku 1848 przez brata jego, Adolfa. On to pierwszy zaczął we Lwowie drukować książki szkolne, tłoczone przedtem w Wiedniu, które to prawo wydzierżawiał od Zakładu Ossolińskich aż do roku 1889, to jest do chwili, gdy Zakład we własnym zarządzie zajął się rzeczonem wydawnictwem. Edward Winiarz, lubo pierwiastkowo był księgarzem, odegrał w dziejach tutejszej typografii wybitną rolę, gdyż oddawszy się drukarstwu, podejmował się znacznych niekiedy i ryzykownych nakładów, mimo ogólnego zastoju wydawniczego. Los mu się uśmiechnął dopiero pod koniec życia. Dostawa druków

rządowych oraz druk «Gazety Lwowskiej», powierzone Winiarzowi po zamknięciu drukarni rządowej postawiły go — jak to mówią na nogi — a wygrana za pomocą losu państwowego suma dwustu tysięcy złr. pomnożyła jeszcze jego fortunę w pocie czoła i uczciwie zarobioną. Ś. p. Winiarz słynął z prawości charakteru a stosunek jego, jako pryncypała, do współpracowników był iście patryarchalny.

Ostatnią, powstałą w pierwszej połowie bieżącego stólecia drukarnią we Lwowie była oficyna Franciszka Galińskiego, kupca i handlarza obrazów, istniejąca przez czas krótki w roku 1848.

Obecnie liczba drukarni we Lwowie wzrosła co najmniej w trójnasób, co zdawałoby się wskazywać na pomyślny rozwój literatury i prasy peryodycznej, dla których pracownicy kunsztu typograficznego są tem, czem szeregowy w wojsku regularnem. Mimo tej skromnej pozornie roli, dola drukarza z reguły jest pomyślniejszą pod względem materyalnym od tej, jaką sobie gotuje zazwyczaj dziwnie nieporadna i niewiele dbająca o jutro dziatwa Apollina.

III.

NASZE ZDROJOWISKA.

miejscu. Rozesłana we flaszkach nie sprawiała tego wrażenia. O godzinę drogi od tych pięciu źródeł, we wsi Langenau, istniały trzy źródła o podobnych własnościach leczniczych, lecz mniej posiadające gazu. Prawdopodobnie w dawniejszych czasach były one w użyciu a i za bytności Hacqueta brano z nich wodę do kąpieli, ponieważ we wsi chorzy łatwiejsze znaleźć mogli pomieszczenie. W roku 1790, gdy Hacquet po raz wtóry odwiedzał Bardyów, panował tam zjazd tak liczny, iż większość gości kąpielowych mieszkać musiała daleko od zdrojów w mieście. Wśród kuracyuszów przeważali Polacy.

W ogóle Bardyów sławę swą poza granicami krajów korony Świętego Szczepana, zawdzięczał Polakom. Cudowna niemal kuracya Tomasza Lisieckiego, dokonana w roku 1785, zapewniła wodom bardyowskim wziętość w całej Polsce, a zwłaszcza w Galicyi. Kto nie mógł jechać do Bardyowa, ten pił przynajmniej rozsełaną we flaszkach wodę, której butelka kosztowała we Lwowie trzydzieści i cztery krajcary.

Wycieczki latem do Trenczyna i Bardyowa weszły z końcem ośmnastego wieku w modę wśród arystokracyi galicyjskiej. W czerwcu i w lipcu formowały się we Lwowie całe karawany, złożone z kilkunastu pojazdów i z karet poczwórnych, wiozących wesołych gości za Karpaty. Gra i miłostki kwitnęły w najlepsze w Bardyowie, dokąd też zjeżdżali okoliczni magnaci węgierscy. «Bywaliśmy u nich na obiadach» —pisze w swych pamiętnikach szambelan Ochocki — «jeździliśmy o mil dwie, trzy, cztery, do nich na wieś, gdzie pałace równie były wspaniałe, jak cały tryb ich życia kosztowny i wystawny. W niektórych domach przy deserze dawano wino węgierskie tak gęste, jak galareta, które się łyżeczką jada. Nigdzie potem nic podobnego kosztować mi się nie trafiło; smak niewypowiedzianie rozkoszny»...

Od roku 1799 zjeżdżał rok rocznie do Bardyowa książę jenerał ziem podolskich, za którym, prócz licznego dworu, podążał niemniej okazały orszak przyjaciół i znajomych. Wyruszywszy z Sieniawy w maju, jechano na Łańcut, Pilzno, Duklę

rzemiennym dyszlem, wstępując do okolicznych dworów, w których książę gościł co najmniej przez dobę, choć zdarzały się i dłuższe przystanki. O godzinie jedenastej z południa wyruszała cała kawalkada w drogę, by już po przebyciu dwóch mil stanąć na obiad, po którym niebawem następował w najbliższem miasteczku lub we dworze nocleg. Jeżeli popas przypadł w domu obywatelskim, wówczas otoczenie książęce mieściło się po stodołach, szpichlerzach, a nawet po wiejskich chałupach. W miasteczkach rugowano żydów z karczem, ściany i podłogi zakrywano kobiercami i w tak zaimprowizowanych salonach żyło się według zwykłego trybu, przyjętego na dworze w Sieniawie lub w Puławach. Śniadanie, czytanie gazet, palenie fajki, gra w szachy i w karty odbywały się w oznaczonych godzinach. Przygotowalne domowych tych wygód wśród podróży było zadaniem marszałka dworu, jadącego przodem wraz z całym taborem furgonów i kozaków.

Wjazd do Bardyowa odbył się w roku 1799 z pewną solennością. Rodziny magnackie Czakich, Hallerów, Hadyków wyjechały naprzeciw księcia do granicy, zaś magistrat miejscowy witał go u bram Bardyowa. Książę Adam, obdarzony już w roku 1788 przez sejm tytułem magnata węgierskiego, wystąpił w bogatym stroju madiarskim i w tymże języku wygłosił odpowiedź na powitalne mowy. Uprzejmość ta chwyciła za serce gościnnych synów Arpada, którzy od tej chwili prześcigali się w grzeczności dla dostojnego gościa i jego towarzyszów, w liczbie których były osobistości tak znaczne, jak marszałek Ignacy Potocki, Jacek Fredro, Witosławscy, Giżyccy, Stadnicki, Dembowski, Dembiński i Borejko, polonus starej daty, który i głową wygoloną i strojem narodowym ogólną zwracał uwagę. Tęgi do kielicha i do szabli rychło mir zjednał sobie Borejko wśród Węgrów, którzy z niemałym podziwem słuchali opowieści o jego przygodzie pod Kulikowem. Oto jadąc na kontrakty do Lwowa, wypadł nasz szlachcic z sanek, które poszły w zatokę i całym zamachem uderzył głową w słup przydrożny. Kto inny byłby legł trupem na miejscu, gdy Bo-

rejko czaszką swą słup roztrzaskał w kawałki, sam wyszedłszy bez szwanku, krom nieznacznego otarcia skóry na czole!...

Przybycie księcia ściągnęło wielu gości do Bardyowa, który nie mógł żadną miarą pomieścić tak znacznej ilości przybyłych. Część książęcego orszaku znalazła mieszkania w mieście, a tymczasem spędzono robotników, którzy w ciągu kilku dni pobudowali na równinie koło zdrojów cały szereg baraków. Wybite wewnątrz dywanami i ustrojone odświętnie, starczyły one za chwilowe mieszkanie. W ten sam sposób powstała sala balowa, w której tańczono do upadłego z ognistemi Węgierkami.

Dzień świętej Anny obchodzono okazałą fetą, wyprawianą na cześć pani Hallerowej, jako solenizantki. W lasku jodłowym, oświetlonym rzęsiście, zaimprowizowano grecką świątynię z jej cyframi. Grzmiała cygańska muzyka do tańca, zaś przedstawienie teatralne pod gołem niebem i uczta dla honoracyorów dopełniły programu uroczystości, uwieńczonej spaleniem ogni sztucznych — wśród dnia jasnego... Książę jenerał bowiem żądał stanowczo, by zabawa ta odbyła się przy świetle słonecznem. — Pijecie wody — mówił — kąpiecie się, więc zaziębić się łatwo!

Widocznie książę pod względem zdrowotnym większym był skrupulatem od swego nadwornego eskulapa, znakomitego lekarza Goltza, utrzymującego z całą powagą, iż chcąc w Polsce być zdrowym, nie należy używać doktora i apteki, lecz dwa razy do roku porządnie się upić. Mianowicie: w maju wodą mineralną, a w październiku winem.

Wobec pogodnej, rozbawionej atmosfery Bardyowa, przykrym rozdźwiękiem był wypadek nagłego uwięzienia Ignacego Potockiego, który otrzymawszy wolność z rąk cara Pawła, zamieszkał w Galicyi, w Kurowie. W nocy oddział wojska otoczył zajmowane przez Potockiego w Bardyowie domostwo i aresztowanego odwieziono pod silną strażą do Krakowa. Przyczyną tak nagłego porwania marszałka była — jak się później okazało — przejęta przez władze austryackie korespondencya, znaleziona przy schwytanym na granicy Kochanowskim, posłanniku legio-

nistów polskich, przebywających we Włoszech. W listach tych była wzmianka o Potockim, więc na tej podstawie nastąpiło jego uwięzienie, trwające przez rok cały, zanim udało się Czartoryskiemu wyjednać dla przyjaciela wolność.

Bardyów podobał się widocznie księciu jenerałowi gdyż już w następnych latach pobudował tam pałacyk z oficynami. Za jego przykładem poszli inni. Stanął też budynek teatralny, w którym grywano po niemiecku. Lasek koło zdrojów urządzono na miejsce do przechadzek publicznych z utrzymanemi porządnie ścieżkami i ławkami. Goście kąpielowi używali też na wybornych owocach, dowożonych w znacznej ilości z okolicy. Zwłaszcza arbuzy sprowadzano na targ czterokonnemi brykami i pozbywano prawie za darmo.

Świetne czasy Bardyowa trwały aż do roku 1820. Zdrojowiska tamtejsze były punktem zbornym dla szlachty polskiej i węgierskiej, ściągając równocześnie kupców i artystów ze stron dalekich. Józef hr. Dessewffy w swych «Listach bardyowskich» opisuje barwnem piórem ruch, panujący w tej miejscowości w lecie 1816 roku. Od maja do końca sierpnia bawiło wówczas w Bardyowie przeszło czterysta rodzin, w liczbie których obok osób rzeczywiście chorych, nie brakło też gości, szukających rozrywki. Z Polski główny zastęp kuracyuszów ściągał się dopiero na drugą połowę lipca, to jest w czasie, gdy goście węgierscy zwykli już byli opuszczać zdrojowisko. Hr. Dessewffy zauważył, że towarzystwo polskie odznaczało się wyłącznością i nie łączyło się tak chętnie, jak w latach poprzednich, z Węgrami. Głównie panie starały się o zaznaczenie swej odrębności narodowościowej. Nie rozmawiały z sobą inaczej, jak tylko po polsku i nie taiły zdziwienia dowiedziawszy się, że wiele z dam, zaliczających się do arystokracyi węgierskiej, nie zna wcale mowy ojczystej. Dla naszych matek świadectwo Dessewfy'ego starczy za najwymowniejszą pochwałę.

Według relacyi hrabiego, Bardyów był w owym czasie miejscem kąpielowem o europejskiem znaczeniu; gościł tam między innymi także car Aleksander I. powracając z kongresu

w Lublanie. W trzecim dziesiątku lat obecnego wieku poczęły upadać zdrojowiska bardyowskie a wojna 1848—1849 roku zadała im cios napozór śmiertelny, z którego dopiero po roku sześćdziesiątym zdołały się podźwignąć.

Upadek chwilowy Bardyowa mógł tylko wyjść na korzyść niezbyt odległej, naszej Krynicy a jednak owa królowa zdrojowisk krajowych, ściągająca rok rocznie, w naszych czasach tysiące kuracyuszów i żądnych rozrywki gości, przed laty czterdziestu skazaną została na zagładę zupełną. Noszono się wówczas z myślą rozebrania walących się budynków kąpielowych i opuszczenia źródeł, które nieliczne tylko grono sprowadzały chorych, decydujących się na znoszenie wszelkich niewygód i braków w tej miejscowości.

Źródła krynickie oraz ich lecznicze własności, znane już były w połowie wieku ubiegłego. Uczony przyrodnik, jezuita, ksiądz Gabryel Rzączyński, w wydanem w Gdańsku, w roku 1745, dziele o skarbach przyrody Królestwa Polskiego, pierwszą o Krynicy zamieścił wzmiankę. Ale saskie czasy nie sprzyjały rozwojowi krajowego dobrobytu. Panowie nasi z księciem Adamem Czartoryskim na czele, zwykli byli szukać zdrowia i rozrywki u wód zagranicznych. Więc też i niezbyt odległy od Krynicy węgierski Bardyów cieszył się znacznym udziałem polskich gości i hojności księcia jenerała ziem podolskich wiele z swych ozdób zawdzięczał, podczas gdy wiadomość o leczniczych skutkach naszych źródeł krążyła jedynie w podaniach ludowych, przekazywanych z ust do ust. Jedną, wielce poetyczną legendę o pasterce i o kochanku jej, rannym rycerzu, cudownie uzdrowionym wodą krynicką, zapisał Władysław Bełza w swem dziełku o Krynicy, wydanem w roku 1893, jako w setną rocznicę oddania źródeł tamtejszych do użytku publicznego.

Wieś Krynica wraz z przyległą Muszyną tworzyła od końca czternastego wieku własność biskupstwa krakowskiego, zaś od roku 1782, po kasacie dóbr duchownych w Galicyi, przeszła na własność funduszu religijnego.

Inicyatywa utworzenia zdrojowiska w tem miejscu nie wyszła wszakże od krajowca lecz od cudzoziemca, którym był Styks von Saubergen, komisarz cyrkułu jasielskiego. Styks zauważywszy wartość leczniczą źródeł krynickich, pozostających w zupełnem zaniedbaniu, pierwszy podjął myśl utworzenia w tem miejscu zakładu kąpielowego. Przedewszystkiem począł więc traktować o nabycie gruntu, na którym się znajdowały oba źródła. Zadanie to nie było wcale łatwe, gdyż trzymorgowa ta przestrzeń była wspólną własnością czternastu gospodarzy, nie przeczuwających zgoła, jaką wartość dla cierpiącej ludzkości przedstawiała ta kwaśna — jak ją lud popularnie nazywał — woda. Takby przynajmniej wnosić należało z kontraktu kupna i sprzedaży, zawartego w dniu dwudziestym czwartym kwietnia 1793 roku, a stwierdzającego nabycie tego obszaru przez Styksa za cenę 240 złotych polskich. Nowy właściciel nie rozporządzał prawdopodobnie znaczniejszymi zasobami, więc też poprzestał na ogrodzeniu i ocembrowaniu źródeł, oraz na wybudowaniu w pobliżu drewnianego domku o trzech izbach. W następnych latach przystąpił do budowy dalszych ubikacyi, drugiego domu mieszkalnego i stajenki, ale zamiaru swego nie zdołał już przeprowadzić w całości, gdyż przeniesiono go do Biały. Z tego też powodu odprzedał swą posiadłość rządowi, który w czerwcu 1800 roku stał się jej właścicielem w zamian za cenę kupna stu pięćdziesięciu złotych m. k. I ta suma znać się wydała zbyt wygórowaną władzom skarbowym, gdyż potrzeba było aż osobnego memoryału ze strony ówczesnego zarządcy dóbr Muszyny, Ignacego Jahla, by przekonać zwierzchność o korzyści, płynącej z nabycia tych źródeł, choć rozbioru chemicznego tychże dokonał już w roku 1795 uczony Baltazar Hacquet, profesor historyi naturalnej na uniwersytecie lwowskim.

Nie wdając się w powtarzanie uczonych wywodów znakomitego przyrodnika, należy przytoczyć opis Krynicy, (zdrojowiska), skreślony przez niego. «O pięć mil od Sącza» — mówi Hacquet — «dochodzimy do doliny, w której znajdują

się źródła kwaśne. Najsilniejsze z nich bije w okolicy ruskiej wsi Krynicy, w wąwozie. Znalazłem źródło wielkości kwadratowego sążnia, ocembrowane drzewem, tryskające u podnóża góry, od strony wschodniej. W pobliżu nie było domu, ani też żadnego innego budynku. Pierwszą zatem naszą czynnością była budowa szałasu w tem miejscu, gdyż dla rozbioru wody musiałem zatrzymać się tutaj przez dwie doby»... Podczas chemicznych doświadczeń, czynionych przez Hacqueta z wodą krynicką przy pomocy siarczanu potażu, obecnych było kilku miejscowych chłopów, noszących wodę ze źródła. Ujrzawszy wodę, zabarwiającą się pod wpływem żelaza, to znów za dodaniem kwasu siarczanego odzyskującą przezroczystość, oddalili się prostaczkowie co rychlej, obrzucając naszego badacza nieufnem spojrzeniem. Zapewne uważali go za czarownika. Położenie Hacqueta było tem krytyczniejsze, że właśnie w owym czasie burza, szalejąca w owych stronach, wyrządziła włościanom, znaczne szkody wobec czego ciemny lud łacno mógł się porwać na jego osobę. Usiłował przeto biedny profesor w sposób jak najbardziej przystępny wytłómaczyć jedynemu pozostałemu przy nim chłopkowi proces przeobrażania się wody pod wpływem rozmaitych czynników chemicznych, dzięki czemu udało mu się wyjść bez szwanku z tej sprawy. Już wówczas doradzał Hacquet urządzenie w Krynicy zdrojowiska dla tych, którzyby chcieli pić wody na miejscu, a oraz założenia tamże huty szklanej, produkującej bańki i butelki dla transportowania wody służące, gdyż wożenie pustych butelek ze Lwowa do źródła i transport tychże po napełnieniu, podwyższały cenę wody do tego stopnia, iż taniej można było dostać wody bilińskiej z Czech.

Nie usłuchano wszakże dobrej rady Hacqueta, a nieliczni goście, którzy zaglądali latem do Krynicy, cisnąć się musieli w kurnych chatach włościańskich, opłacając po dwa dukaty tygodniowo za ów wielce niewygodny przytułek. Kąpiele urządzano w ten sposób, iż wodę, przyniesioną ze źródła, ogrzewano w wannie rozpalonymi do czerwoności kamieniami bez

oglądania się na termometr. O poradzie lekarskiej również nie było mowy i z owych to czasów datuje się opowieść o poczciwym hreczkosieju z pod Bochni, który mając wziąć sześćdziesiąt kąpieli, odbył tę kuracyę w ciągu dni sześciu, siedząc po dziesięć godzin w wannie. Oczywiście jadł i pił w wodzie. Spieszył się bowiem na żniwa do domu...

Dopiero badania naukowe Schultesa, znanego chemika krakowskiego, dokonane w październiku 1806 roku w Krynicy, zwróciły uwagę rządu na tę miejscowość. Zaczęto budować gościniec, łączący Krynicę z Nowym Sączem i z Duklą. Ustanowiono nawet lekarza zdrojowego, ale o jakichkolwiek znaczniejszych wkładach na stosowne urządzenie zakładu zdrojowego nie pomyślano wcale. Dopiero po roku 1810 poczęto krzątać się około uporządkowania Krynicy. Zaraz w pierwszym numerze założonej przez Krattera w kwietniu 1811 roku Gazety Lwowskiej, znajduje się obszerniejszy artykuł o źródłach w Krynicy. Jedno służyło do picia, drugie dostarczało wody do kąpieli. Wówczas też wybudowano groblę, osłaniającą oba źródła od częstych wylewów leśnego potoka, przerzynającego dolinę. Postawiono również trzypiątrowy dom gościnny, zajazd z salą na sto osób, tudzież trzy łazienki, z których każda liczyła dwadzieścia cztery kabiny. Dla zachęcenia do budowania się w tem miejscu rząd odstępował grunta pod domy bezpłatnie, lub za opłatą możliwie najniższego czynszu. Gubernator Galicyi, Piotr hr. Goess, człowiek szczerze pragnący ekonomicznego rozwoju kraju, zwiedził w roku 1811 Krynicę i zamierzył założyć tamże hutę szklanną. O intencyi podniesienia tego zdrojowiska świadczył «Artykuł rządowy» zamieszczony w Gazecie Lwowskiej we wrześniu tego roku a zbijający w sposób nader stanowczy zarzuty, rozgłaszane przeciw Krynicy przez lwowskiego lekarza Styszewskiego. Co prawda, poczciwy eskulap zbyt doraźne wydał orzeczenie, potępiające wody krynickie, gdyż użył w nich zaledwo dwu kąpieli, a następnie doznawszy dolegliwości żołądkowych, opuścił co rychlej tę miejscowość.

W roku 1812 Krynica poczęła już współzawodniczyć z Bardyowem. Źródło główne obmurowano, pokryto dachem i zabrano się do zalesienia góry, wznoszącej się nad zdrojami. Płatny przez rząd lekarz, Harland, otrzymał polecenie utrzymywania apteki, postarano się nadto o traktyernika i o ogrodnika, mającego urządzać przechadzki dla chorych. Przy dzierżawieniu budynków mieszkalnych, wyszynku napojów i restauracyi, pobierano zaledwo siódmy procent od sumy kosztów, wyłożonych przez rząd na odnośne budynki. W Krynicy mieściła się siedziba komisarza cyrkularnego i justycyaryusza, zaś w sierpniu 1811 roku bawiło w zakładzie sto sześćdziesiąt dwie rodziny, cyfra nader pokaźna na owe czasy.

Względna pomyślność i prawidłowy rozwój Krynicy trwały do roku 1830, poczem następuje długa, bo całe ćwierćwiecze trwająca doba jej upadku. Być może, utrudniony przyjazd kuracyuszów z Królestwa, a bardziej jeszcze fatalna gospodarka rządowa, polegająca na ciągłem wypuszczaniu w dzierżawę zakładu osobom mniej sumiennym, były powodem, iż w roku 1856 rząd nosił się z myślą zniesienia zdrojowiska, nie przynoszącego mu zgoła żadnych korzyści.

Uratowanie Krynicy od zagłady jest zasługą znakomitego lekarza i prezydenta miasta Krakowa, Józefa Dietla, który wysłany w październiku 1856 roku wespół z doktorem Brykiem i z architektem Kremerem dla zdania rządowi sprawy o stosunkach tego zdrojowiska, stanął energicznie w jego obronie. O systemie gospodarki tamtejszej najlepiej świadczyła okoliczność, iż rząd posiadał wprawdzie w Krynicy siedmnaście budynków na własność, ale pomieszczenie rozmaitych dykasteryj i mieszkania prywatne panów urzędników zajmowały tyle miejsca, iż dla gości pozostawało zaledwie pięćdziesiąt siedm pokoi i dwadzieścia ośm łazienek! Ponieważ w tym czasie gościło w Krynicy 537 osób, przeto przeważna część przybyłych szukać musiała przytułku w chatach chłopskich, gdzie prócz najokropniejszego wyzysku ze strony gospodarzy, znosić musiała tysiączne niedogodności.

Odważne, pełne męskiej godności wystąpienie Dietla, którego słusznie nazwano wskrzesicielem Krynicy, nietylko ocaliło tę miejscowość od zapomnienia, lecz nadto zapewniło jej pomyślne warunki rozwoju na przyszłość. W sformułowanym jasno programie wskazał Dietl na konieczne potrzeby zdrojowiska, którym w lat następnych szeregu starano się zadość uczynić, a oddanie gospodarki zakładowej pod bezpośredni zarząd tutejszych władz administracyjnych przyczyni się niezawodnie do dalszego wzrostu Krynicy, odwiedzanej z każdym rokiem corazto liczniej.

Po Krynicy drugie z kolei miejsce pod względem dawności oraz frekwencyi gości zajmuje Szczawnica.

Szczawnica, podobnie jak Krynica, znaną była już dawniej, gdyż o zdrojach tamtejszych spotyka się już wzmianki w wieku szesnastym, lecz umiejętne zbadanie ich leczniczych własności nastąpiło dopiero z końcem minionego stólecia. Tworząc część starostwa czorsztyńskiego, pozostawała Szczawnica w posiadaniu Zawiszów i Firlejów, zaś ostatnim jej posiadaczem był Józef Potocki, dożywotni dzierżyciel tegoż starostwa. Po jego zgonie rząd austryacki objął Szczawnicę, ale zdrowotne przymioty źródeł tamtejszych poszły w zapomnienie. Dopiero w roku 1824 dzierżawca propinacji, Jan Kuczera, zakupił grunt, na którym znajdowały się zdroje, oczyścił je i pobudował pierwsze domki dla kuracyuszów. W cztery lata później nabył od rządu dobra szczawnickie niejaki Podhajecki, który już w roku 1829 sprzedał takowe Szczepanowi i Józefie Szalayom. Ci też nabyli zdroje wraz z przyległym obszarem od Kuczery i poczynili pewne ulepszenia na korzyść gości.

Z owych też czasów istnieją dwie rękopiśmienne relacye, dotyczące Szczawnicy, a mianowicie pamiętniki Ksawerego Preka i Tadeusza Chochlika Wasilewskiego. Prek, gościł w Szczawnicy w ostatnich dniach lipca 1832 roku. Jechał nasz podróżnik do zdrojów szczawnickich na Jasło, Biecz, Nowy i Stary Sącz, poczem przeprawiwszy się promem przez Dunajec, na Jażowsko dotarł do Łącka, gdzie uwagę jego zwróciły wole,

szpecące ludność tamtejszą. «Szczawnica» — czytamy w dzienniku Preka — «nie przedstawia żadnych powabów. Składa się z wyżnej i niżnej Szczawnicy, a środkowa część zowie się Miodziuś. Rzeczka je przecina. Przeplatane są pagórkami, tamującemi łatwy przejazd i komunikacyę między przybyłymi gośćmi, którzy najwięcej po chłopskich chałupach mieszkają, bowiem domów, umyślnie zbudowanych dla pijących wody, nie ma, tylko dwa i trzeci mały...» «Źródło bardzo skuteczne, nie dawno odkryte jest na wzgórku, (Jana?) — co je różni od innych mineralnych, zwyczajnie znajdujących się w nizinach. Przykryte jest dachem dość obszernym; naokoło ławki. Jedna ulica topolowa, przytykająca do niego, druga o kilkanaście kroków niżej, składają całą przechadzkę».

Lato 1832 roku chłodne było i dżdżyste. Mimo to panie stroiły się w muśliny i w inne lekkie materye, nosząc kapelusze, zdobne według ówczesnej mody, w olbrzymie pióra. Wychodząc z swych pomieszkań w kurnych chatach, musiały się biedaczki zginać we dwoje. Napływ gości był tak znaczny, iż za żadną cenę nie można było dostać izby, choćby na końcu wsi. Tak więc rumuńska księżna Stourdza, która przybyła do Szczawnicy w poszóstnej landarze, nie znalazła mieszkania i po krótkim odpoczynku musiała wyjeżdżać. W czwartki i w niedziele odbywały się reuniony, które rozpoczynały się o godzinie siódmej, a kończyły się o dziesiątej. Choć salka, służąca do zebrań, była szczupła, podobnie, jak przyległe do niej sionka i bufet, mimoto bawiono się dobrze, osłoniwszy gołe ławki dywanami, a ściany puste zdobiły festony z choiny.

Tak opisuje Prek pierwszy swój pobyt w Szczawnicy, do której raz jeszcze w lat kilka później zawitał. Zanim jednak wspomniemy o ponownej jego bytności w tem zdrojowisku, pozwolimy sobie przytoczyć relacyę Wasilewskiego, goszczącego w Szczawnicy w lecie 1834 r.

Zmarły w r. 1850 w Jurkowicach konsyljarz gubernialny i wicemarszałek Stanów galicyjskich, Tadeusz Chochlik z Wasilewa Wasilewski, zaliczał się do grona najświatlejszych oby-

wateli galicyjskich i mimo licznych posług publicznych, rad bawił się piórem. Więc też w zbiorach rękopiśmiennych Zakładu narodowego imienia Ossolińskich zachował się — jak wiadomo — plik utworów zacnego marszałka, zawierający obok poezyi, powiastek, traktatów politycznych i społecznych, także dyaryusz podróży, odbytej przez niego w czerwcu i w lipcu 1834 roku do Szczawnicy. Jadąc na Gródek i Sądową Wisznię, zatrzymał się Wasilewski przez dni kilka w Przemyślu i o zamku tamtejszym pisze co następuje: «Zamek Kazimierza przed trzydziestu laty był jeszcze mieszkalny, dziś tylko gruzy sterczą, bo nie było ręki, coby go zachować chciała. W jednej części królewskiego gmachu przebywa teraz urzędnik potrzebny, ale którego nazwać przyzwoitość nie pozwala, co miasto z włóczących się psów oczyszcza. Ciała pobitych psów zajmują dziś miejsce, na którem niejeden mąż waleczny krew za ojczyznę i pana przelał!» Na Krasiczyn, Krosno i Grybów zajechał marszałek do Nowego Sącza, o której to miejscowości wyraża się w te słowa: «Założenie gościńca murowanego w bliskości Szczawnicy i Krynicy podniosło w kilku latach to miasto, w którem niedawno żaby skrzeczały w kałużach na rynku». Za Starym Sączem o milę kończył się gościniec murowany i po drugiej stronie Dunajca jechało się tak zwanami obłazami, drogą nieszeroką, wiodącą między skałą a przepaściami, niezbyt bezpieczną dla dużych pojazdów i nie oswojonych koni, ale wygodną dla góralskich wózków i koników tamtejszych. Szczawnica na pierwszy rzut oka nie wywarła i na Wasilewskim korzystnego wrażenia. «Położenie w parowie i mała rozległość gruntu» — pisze w swym dyaryuszu — «nie pozwalają wsi się rozszerzyć a ludność jest wielka. Na jednej roli siedzi kilka, do dziesięciu familji, a każda buduje chałupę i to obszerną, dlatego Szczawnice są tak ciasne, wzdłuż rzeki budowane, jak żadnego, żydowskiego nawet miasteczka nie widziałem».

Źródeł w owym czasie było pięć. Jedno służyło dla kuracyuszów miejscowych, z drugiego czerpano wodę, przeznaczoną na wysełkę; zaś pozostałych źródeł nie badano nawet che-

micznie. Wody szczawnickiej rozsełano rocznie 125.000 flaszek, zaś napełnianiem pustych butelek trudnił się dawny właściciel, pobierając po pół krajcara od sztuki. Trzech ludzi sporządzało bezustannie paki, potrzebne do przewozu flaszek, z tarcic, dostarczanych przez dworski tartak. Za flaszki płacił Szallay wodą. «Woda i goście» — słowa Wasilewskiego — «stanowią jego intratę». Za to o gospodarstwo rolne, ani o chów bydła nie dbał dwór wcale, wydzierżawiając pańszczyznę żydom, Zakład zdrojowy składały, podobnie jak w r. 1832, trzy domy, mieszczące w sobie, prócz restauracyi, piętnaście gościnnych pokoi. Jedyny, większy apartament istniał w domku, wzniesionym tuż obok wjazdu do wsi. Reszta gości mieszkała w chałupach chłopskich, w których obok izby istniał zazwyczaj alkierz, służący na pomieszczenie wanny. Od każdego gościa mieszkającego u chłopów, pobierał dwór dziesięć krajcarów dziennie. Wogóle Szallay nie pogardzał najmniejszym dochodem. Dziewczęta, podające wodę u źródła i wynagradzane przez gości drobnemi datkami, musiały za to służyć mu przez resztę roku bezpłatnie. Toż samo pobierał opłatę od dzieci wiejskich, zbierających w lecie maliny i grzyby — co w owych czasach było rzeczą niepraktykowaną. O ile wszakże wyrażał się Wasilewski w sposób ujemny o postępowaniu dziedzica z poddanymi, o tyle wymowne oddawał pochwały ludowi wiejskiemu w Szczawnicy, wśród którego kradzież była czemś nieznanem. Wszystkie mieszkania stały otworem, a rzeczy, zapomniane na wózku, zwracali górale z największą sumiennością. Zdarzyło się, że któryś z gości zapomniał w mieszkaniu łyżkę srebrną. Po trzech latach przybył ponownie do Szczawnicy, i oto dawni jego gospodarze odnieśli mu zgubę. Podobnych przykładów, świadczących o uczciwości ludu wiejskiego, przytacza podostatkiem pan marszałek.

Gdy w sierpniu 1841 r. przybył do Szczawnicy po raz wtóry Ksawery Prek, nie mógł nie zauważyć, że zdrojowisko to znacznie zmieniło się na korzyść. Rozszerzono spacery i plantacye. Powstały sale: restauracyjna i bilarowa, tudzież

dom dla gości, zwany «pod zamkiem». Chaty, w których kuracyusze mieszkali, poznaczono dla rozróżnienia godłami. W czwartki i w niedziele odbywały się bale, codziennie zaś odbywano gromadne przechadzki ku Miodziusiowi.

Dalszy, pomyślny rozwój zawdzięcza Szczawnica zarówno niezmordowanej pracy Józefa Szallaya, syna Szczepana, jakoteż poparciu dra Dietla, którego działalności przypisać należy, iż krajowe zdrojowiska zaludniły się tłumnie gośćmi, szukającymi dawniej ulgi w cierpieniach, lub zabawy, w zagranicznych zakładach. Józef Szallay umierając w maju 1876 roku, zapisał dobra Szczawnicę swym synom, zaś właściwe zdrojowisko oddał na własność Akademii Umiejętności w Krakowie, pod warunkiem oddawania połowy rocznego dochodu jego spadkobiercom. Warunek ten, niedogodny dla Akademii, uległ o tyle zmianie, iż w lutym 1880 roku Władysław i Tytus Szallayowie zrzekli się swych praw do połowy dochodów zakładowych w zamian za sumę 47.000 zł. Wynagrodzenie to wcale nie było wygórowane. Wprawdzie przed laty kupili Szallayowie od rządu całą Szczawnicę za sumę 22.000 złr., ale w roku 1882 za morg gruntu pod budowę w pobliżu zakładu płacono trzy tysiące zł. w. a. Z chwilą przejścia na własność Akademii, zakład posiadał siedmnaście budynków zaś zarządem zdrojowiska zajmował się osobny komitet, wybrany z ramienia tej najwyższej instytucyi naukowej. Ale uczona gospodarka nie wychodziła na korzyść zakładu, który w styczniu 1893 roku wydzierżawiono na lat ośmnaście prywatnemu przedsiębiorcy. Przyszłość okaże, o ile Szczawnica zyska na tej zmianie.

Obok Krynicy i Szczawnicy, leżących w zachodniej części kraju mniejszem rozgłosem, zwłaszcza w pierwszej połowie bieżącego wieku, cieszyły się zdrojowiska Galicyi wschodniej. Siarka, jod, brom, solanka, przedstawiają główne składniki leczniczych wód wschodnio-galicyjskich, które po części dziś jeszcze cieszą się znaczną frekwencyą kuracyuszów, po części zaś poszły już w zapomnienie z rozmaitych powodów. Lubień, Szkło, Niemirów, Konopkówka, Truskawiec, Iwonicz, Rymanów i Morszyn,

— oto nazwiska najgłówniejszych zdrojowisk w Galicyi wschodniej, które to miejscowości nie tylko dla lekarza i przyrodnika, ale i dla badacza stosunków przemysłowych i towarzyskich naszego kraju obfite do studyów przedstawiają pole. W zdrojowiskach dopiero co wymienionych, a przynajmniej w przeważnej ich części, koncentrowało się przez długie lata życie towarzyskie całego kraju, a liczne zjazdy gości kąpielowych nie pozostawały bez dodatniego, mataryalnego rezultatu dla ludności miejscowej, wzmagając jej zamożność, budząc wśród niej przemysł domowy. I z tego przeto względu, ekonomiczno-społecznego, zakłady nasze kąpielowe zasłużyły na obszerniejsze wspomnienie.

Książę wód siarczanych — jak nazwał Lubień zasłużony balneolog Zieleniewski — mimo niewielkiej odległości od Lwowa, mniej był znany i o wiele później uznany jako lecznicze zdrojowisko, aniżeli Szkło, obecnie tak nielicznie odwiedzane. A jednak miejscowość Lubień wielki, ma za sobą wiekową przeszłość historyczną, gdyż istniała już prawdopodobnie z początkiem wieku trzynastego, zaś od połowy piętnastego stólecia do końca wieku szesnastego była własnością Wilczków, możnej rodziny lwowskich patrycyuszów. Po Wilczkach dziedzicami Lubienia byli Humieccy, z rąk których miejscowość ta przeszła w ręce Jabłonowskich.

Odkrycie leczniczych właściwości źródeł tamtejszych nastąpiło dopiero po rewindykacyi Galicyi i to w drodze przypadkowej. Niejaki Serc, przemysłowiec, posiadacz stępy prochowej w Kutkorzu, poszukiwał w Lubieniu siarki, lecz gdy woda zaskórna zalała wykopane już studnie a odwrócenie jej zbyt wielkich wymagało kosztów, przeto urządzono w tem miejscu kąpiele siarczane. Tak przynajmniej tłómaczy powstanie Zakładu kąpielowego w Lubieniu aptekarz lwowski, Franciszek Karol Salamon w artykule, zamieszczonym w Rozmaitościach z 1823 roku. Nieco odmiennie przedstawia ową sprawę uczony Baltazar Hacquet, który w roku 1787 uczestniczył w pracach komisyi, wysłanej z ramienia rządowego do

Lubienia, celem zbadania, o ile założona tamże z pomocą skarbowych funduszów fabryka siarki mogła liczyć na powodzenie w przyszłości. I oto okazało się, że zarówno rząd, jak właścicielka Lubienia, Anna z Rzewuskich Humiecka, mieczniowa koronna, padli ofiarą oszustwa. Starozakonni bowiem poszukiwacze siarki wyjmowali z wody znaczne bryły tejże, które, jak się później okazało, mieli ukryte pod swemi bekieszami... W braku siarki, chciano produkować ałun z tamtejszej ziemi marglowej, przesiąkniętej kwasem siarczanym ale i ta próba nie udała się, gdyż w miejsce ałunu otrzymano selenit. Ten sam Hacquet, który obok wykładów historyi naturalnej trudnił się też praktyką lekarską, uznał źródła w Lubieniu jako wielce skuteczne w rozmaitych cierpieniach, gdyż jako zdrój zimny zawierały więcej gazu siarczyko-potasowego, aniżeli inne cieplice tego rodzaju. Nie omieszkał wszakże szanowny profesor przypiąć przy tej sposobności łatki lwowskim eskulapom. Zarzuca im mianowicie, że raczej szkodzą niż pomagają zdrojowiskom krajowym, wysyłając do nich chorych, którym owe wody nie są w stanie pomódz a zaszkodzić tem łatwiej mogą, że o lekarzach kąpielowych nie było wówczas i mowy. Twierdził również zgryźliwy Hacquet, że nasi lekarze rozmyślnie wysyłali ciężko chorych z miasta, byle się ich pozbyć. Mimo tych złośliwych uwag, zakład kąpielowy w Lubieniu cieszył się z roku na rok corazto większą frekwencyą gości, którzy pierwotnie musieli się mieścić w chatach wiejskich, dokąd też dowożono im wodę na kąpiel potrzebną.

W lecie 1803 zjechała do Lubienia księżna jenerałowa ziem podolskich, w otoczeniu licznego dworu płci obojga. Istniały już wówczas przy źródle łazienki i ogródek, ale mieszkać musiała księżna w karczmie, stojącej na drugim końcu wsi naprzeciw cerkwi. Zajęto przeto cały ten budynek dla księżny, której towarzyszyły nieodstępnie panie Matuszewiczowa i Dembowska. Ze stajni za pomocą dywanów utworzono salon, w którym odbywały się objady, wieczory a nawet bale. Reszta towarzystwa umieściła się po chatach wieśniaczych, wysypiając

się na sianie, obywając się bez stolików i stołków. Autor relacyi o pobycie księżny w Lubieniu, Leon Dembowski, pisze w swym dzienniku, co następuje:

«Cały dzień odzywały się albo dzwony cerkiewne, albo głos sąsiadki naszej, pani Dydyńskiej, w ruladach na wszystkie gamy. Ta pani istotnie dobrze spiewała a muzykę lubiła namiętnie. Nie była już wtedy pierwszej młodości, chuda, czarniawa i ospowata, ładną tylko miała kibić. Jak w towarzystwach nieuchronną było rzeczą słuchać mnóstwa aryj i aryetek, które się z jej gardła, jak z rogu obfitości sypały, tak u siebie ciągłe odbywając studya, uszy nasze nielitościwie dręczyła»...

Prócz pani Dydyńskiej gościły w owym czasie w Lubieniu jeszcze dwie inne, niezwykłe osobistości: pan Grabianka i senator Iliński. Grabianka, sfrancuziały niemal zupełnie, przytem swedenborgista i illuminat, odznaczał się prawdziwie gaskońską ruchliwością, mówił dużo, używając mistycznych przenośni a w dodatku co parę słów zwykł był powtarzać: jak się zowiesz? Otóż przysłowie owe słało się pewnego dnia przy książęcym obiedzie powodem zabawnej sceny. Grabianka, będąc wielkim zwolennikiem burgundzkiego wina, kazał je sobie podać usługującemu przy stole kozakowi. Miasto jednak powiedzieć, czego sobie życzy, zaczął od zwykłego: «jak się zowiesz?»

Kozak sprytny, czy namówiony przez kogoś, udał z głupia franta i skłoniwszy się w pas Grabiance, odparł z należytym respektem:

— Wasyl, jaśnie panie!

A że pytający nie grzeszył cierpliwością, więc prosta ta odpowiedź wprowadziła go w pasyę i powtarzał nieustannie swoje: jak się zowiesz? by tę samą z ust kozaka usłyszeć odpowiedź. Wśród ogólnego śmiechu, Wasyl umknął w końcu za drzwi i zaperzony Grabianka, ochłonąwszy, wypowiedział po chwili, że mu chodziło o wino..

Oryginałem też nielada był senator Iliński, człowiek wielkich zasług obywatelskich, ale też i próżny aż do śmieszności.

Dziedzic Romanowa prowadził wówczas jeszcze życie nader wystawne, trzymał nadwornych aktorów i orkiestrę, lubił się bawić i zaimponować swą fortuną choćby magnatom. Niktby nie przypuścił, patrząc na wykwintnego senatora, że człowiek ten na stare lata zostanie pełnym przesady bigotem, by w «Parafiańszczyźnie» Leszka Borkowskiego figurować pod mianem «starego brewiarza»... Owóż Iliński podczas pobytu w Lubieniu postanowił sutym festynem obchodzić własne imieniny i w ogrodzie obok łazienek urządził huczną zabawę. Pod namiotami podawano gościom ciasta, chłodniki, lody. Muzyka przygrywała bezustannie a gdy zmrok zapadł, zapłonął cały ogród mnóstwem świateł kolorowych i przeźroczów, przedstawiających herby solenizanta, ordery, jakimi był zaszczycony i tym podobne emblematy. Brak rzeczywistych drzew w ogródku, świeżo założonym, zastąpiły malowane na płótnie dęby i świerki, rzęsiście oświetlone. Punktem kulminacyjnym festynu, *siurpryzą* — jak wówczas mówiono — było przedstawienie teatralne, osnute na znanym epizodzie z życia Ilińskiego, zwiastującego carowi Pawłowi śmierć jego matki i proszącego o wolność dla polskich więźniów. Sam Iliński w paradnym, szambelańskim mundurze przedstawiał siebie na scenie. W następnej odsłonie ujrzano znów cara Pawła, odwiedzającego Kościuszkę i Ignacego Potockiego, który również znajdował się w gronie zaproszonych gości.

W naszych czasach widowisko tego rodzaju musiałoby wywołać złośliwe komentarze, wymierzone przeciw osobie inicyatora przedstawienia, ale ojcowie nasi byli o wiele pobłażliwszymi pod tym względem.

W następnych latach Lubień znacznie się podniósł. Obok łazienek powstały tak zwane pańskie domy, zawierające apartamenty, złożone z dwóch i z trzech pokoi wraz z osobną kuchnią. Oddzielne mieszkania i łazienki przeznaczone były dla starozakonnych. W roku 1824 bawiło w Lubieniu 490 osób, następnego lata 482, w roku 1826: 513 osób. W tym to czasie za mieszkanie, złożone z trzech do pięciu pokoi, płacono od ośmiu do dwunastu złotych tygodniowo. Obiad z pięciu po-

traw złożony kosztował przy *table d'hote* czterdzieści ośm krajcarów; za kąpiel płacono krajcarów dwanaście. Wspomniany już poprzednio Salamon, któremu zawdzięczamy rzeczone szczegóły, wymieniał pięć źródeł, istniejących w Lubieniu, lecz korzystano tylko z jednego zdroju, dostarczającego na godzinę 21.000 litrów wody.

Po roku 1830 bawiono się hucznie w Lubieniu. Zjazdy gości bywały bardzo liczne. Przeważnie zjeżdżało do tamtejszych kąpiel ziemiaństwo galicyjskie. Herbaty proszone i bale następowały jedne po drugich. Słynna z urody Józefowa Jabłonowska z Rawy ruskiej, i Kopestyńska spełniały rolę gospodyń, dziedzic zaś Lubienia, Ludwik Jabłonowski, podejmował z wielkopańską fantazyą całe towarzystwo w swym pałacu. Kwitnęła tam wówczas gruba gra. Przy dyabełku stosy złota i srebra przewalały się po zielonych stolikach.

Wypadki lat następnych nie sprzyjały życiu towarzyskiemu, opustoszał przeto i gwarny Lubień, dotknięty klęską pożaru w kwietniu 1835 r. Dawne wzięcie przywrócił mu dopiero Konstanty br. Brunicki, który w roku 1848, nabywszy te dobra, energicznie zabrał się do odnowienia i upiększenia zakładu kąpielowego. Zbudował nowe łazienki, zaopatrzył je wannami porcelanowemi, które wówczas uważano za ostatni wyraz komfortu, ogród i przechadzki ozdabiał, sadząc drzewa i kwiaty. Zabiegi te, poparte uprzedzającą grzecznością obojga Brunickich wobec przybywających gości, poczęły znów ściągać liczniejsze grono kuracyuszów, zjeżdżających nieraz ze stron dalekich własnymi powozami, z pościelą i z tłumokami. Obok chorych nie brakło też młodzieży, żądnej zabawy i zawiązywania znajomości, z czego kojarzyły się w Lubieniu liczne małżeństwa w myśl starego przysłowia, każącego: «kraść daleko a blisko się żenić»...

Szczególniej liczny zjazd panował w Lubieniu w lecie 1860 roku a główną osobistością, koło której kupiło się życie tamtejsze, był Wincenty Pol, tworzący wówczas właśnie «Pacholę hetmańskie». Poeta smutny był i rozżalony z powodu

ataków, wymierzonych przeciw niemu w pewnej części prasy galicyjskiej. Więc też za inicyatywą Konstantego Brunickiego urządzono w wielkiej sali zakładowej ucztę na cześć Pola. U wspólnego stołu zasiadło wiele najpoważniejszych osobistości, dając wyraz we wznoszonych przez nie toastach uszanowaniu i uznaniu zasług wieszcza, położonych na niwie narodowej. Odpowiedział im Pol wspaniałą improwizacyą, zaczynającą się od słów:

Jestem sam sobie a i wam bezpieczny,
Bom się prawd trzymał: Krzyża, szabli, pługa...

by następnie rozrzewniony aż do łez, oświadczyć zebranym:

Rany nie bolą, lecz łzy takie bolą!

Niemniej serdeczną była odpowiedź poety, dana akademikom, przybyłym do Lubienia dla złożenia hołdu jego działalności. — W całem mojem życiu jednej tylko trzymałem się partyi — mówił do młodzieży — to jest narodowej a gdy pewnego razu ktoś w towarzystwie odezwał się z lekceważeniem o religii, zawołał Pol w uniesieniu: Bez Boga nie byłbym Polakiem!

Mimo podeszłego wieku, lubił spiewak «Pieśni Janusza» otaczać się młodzieżą i na jej czele urządził w dniu dwudziestym czwartym czerwca t. r. świętojańską sobótkę. Wśród lasu tańczono wesoło przy dźwiękach muzyki a w przerwach między tańcami młodzież znosiła suche gałęzie i o zmierzchu zapaliła stos nagromadzony, by skakać na wyścigi przez strzelające ku górze płomienie. Tańce i składkowa wieczerza, spożyta na murawie, zakończyły dzień ten pamiętny, o którym zawdzięczamy wiadomość T. Ubyszowi, autorowi artykułu «Wspomnienia z Lubienia».

Wspomnieniami tyle sympatycznemi nie może poszczycić się Szkło, o którem kasztelan Kuropatnicki w swej «Geografii Galicyi i Lodomeryi» wyraził się w te słowa: «Wieś papiernią i wodami mineralnemi sławna, przy których najporządniejsze w całej Galicyi są łaźnie»... Szkło pod mianem Cieplic jaworowskich znane już

było naszym przodkom w odległych wiekach. Rozpisywali się o tamtejszych źródłach siarczanych i Wojciech Oczko w roku 1578 i Erazm Sykst w r. 1617, mieszkańcy zaś, zapytywani o sposób odkrycia owych zdrojów, przypisywali ich wynalezienie — szkapom parszywym... Jan III. przesiadujący często w ulubionym swym Jaworowie, zalecał użycie kąpieli w Szkle swej najdroższej Marysience, chcąc jej w roku 1668 odradzić wyjazd do wód francuskich. Nie przeszkodziło to wszakże nadwornemu lekarzowi króla Jana, O'Conorowi, w skreśleniu baśni o zapadłem w tem miejscu pod ziemię mieście i tym podobnych dziwach. Za Sasów Szkło poszło w zapomnienie i dopiero w pierwszych latach bieżącego wieku rząd austryacki zajął się wskrzeszeniem tego zakładu, budując na gruntach, należących do Nowego Jarzowa łazienki, restauracyę i dom mieszkalny o piętnastu pokojach. Ładny ogród wraz z kaplicą i aleja lipowa, wiodąca do gościńca, stanowiły ozdobę tego zakładu, dostępnego dla osób prywatnych, podczas gdy stare łazienki przeznaczono dla chorych żołnierzy. Była to długa szopa, w której rzędem ustawiono drewniane wanny. W czerwcu 1811 roku leczyło się w Szkle dwustu żołnierzy, na których dochód odegrano w teatrze lwowskim w dniu 22 t. m. przedstawienie składane, złożone z sztuki polskiej, niemieckiej i z baletu. Mimo niekorzystnej dla teatru pory, reprezentacya ta przyniosła 1789 złotych reńskich dochodu. W owym też czasie dzierżawcą zakładu kąpielowego był niejaki Smutny, który za mieszkanie, wikt i kąpiele pobierał od gości po dwa złote reńskie dziennie. Celem zwykłych spacerów tamtejszych kuracyuszów była Pillerowska papiernia. Później wzrost i rozwój Lubienia i chwilowy rozkwit Niemirowa spowodowały upadek Szkła, uczęszczanego za naszych czasów bardzo słabo.

Powodzenie kąpieli siarczanych w Niemirowie było — jak to już wspomniano — chwilowe i dziś miejscowość ta poszła niemal zupełnie w zapomnienie. Niemirów, zawdzięczający swe powstanie Andrzejowi Fredrze, był w roku 1672 warownem miasteczkiem. Posiadał wały i bramy, od południa

zaś broniły osadę: jezioro, oraz zamek na jego wybrzeżu wzniesiony. W roku następnym, (dnia 10 października 1673 roku), Sobieski w lasach Niemirowskich rozbił hordę tatarską, uchodzącą z jasyrem pod wodzą Dżambetgereja i ocalił z niewoli pogańskiej przeszło dwanaście tysięcy kobiet i dzieci. Lecznicze własności źródeł niemirowskich, leżących opodal od miasteczka, wśród lasu szpilkowego, znane były podobno okolicznemu ludowi, lecz o ich użytkowaniu w kraju nikt nie pomyślał. Przynajmniej Kuropatnicki nic nie wie o źródłach w Niemirowie, zapisując w swej «Geografii,» wydanej — jak wiadomo w r. 1786 — iż jest to «miasto J. W. hrabi Stadnickiego, który z przewybornych przymiotów, cnót i talentów damą, J. W. hrabianką Krasicką w małżeńskiem pożyciu dożywotnie miłe przepędza momenta»... Rozgłos swój zawdzięczał Niemirów Ignacemu Hilaremu hr. Moszyńskiemu, dziedzicowi tych dóbr, który w latach 1815—1817 zbudował trzy budynki mieszkalne wraz z łazienkami, osobne domostwo z wannami dla żydów, oraz salę do zabaw tanecznych i przedstawień teatralnych służącą. Prócz tego powstały w roku 1824 trzy pawilony, mieszczące pokoje mieszkalne na górze, oraz łazienki na dole, budynek zawierający sześć kuchni z osobnymi wchodami, tudzież pomniejsze zabudowania, służące na restauracyę, wozownie i stajnie dla koni. Co lata zjeżdżał do Niemirowa hr. Moszyński wraz z nadwornymi aktorami i z orkiestrą, uprzyjemniając pobyt kąpielowych gości częstemi zabawami. Park wspaniały, starannie utrzymany, okalał łazienki niemirowskie, w których bawiło czasem po dwieście i więcej osób. Pożar, który dwukrotnie w latach 1835 i 1865 zniszczył miasteczko, oraz sprzedaż Niemirowa w obce ręce, spowodowały upadek zakładu tamtejszego. Wśród gęstwiny leśnej i zarosłych od dawna chodników parku widnieją dziś resztki budynków kąpielowych, służące nielicznym starozakonnym, przybywającym tamże na kuracyę.

Smutny los Niemirowa podziela też Konopkówka, jedyny zakład kąpielowy, (siarczany), wśród bogatego Podola galicyj-

skiego. Miejscowość ta, leżąca o ćwierć mili od Mikuliniec, znaną była ze zdrowotności swej wody już w wieku siedmnastym, ale powstanie w tem miejscu zakładu kąpielowego było dziełem Jana barona Konopki, który stworzył osadę swego nazwiska, z sprowadzonych w tym celu kolonistów niemieckich. Już w roku 1826 liczyła Konopkówka sześćdziesiąt domów mieszkalnych, w których przyjezdni mogli znaleść schronienie, a w krótkim czasie w rynku pobudował Konopka cztery zajazdy oraz główny zakładowy budynek o stu pokojach z pompatycznym napisem: Konopkówka *vobis et posteritati*. Kryte chodniki wiodły z mieszkania do łazienek a o wspaniałem urządzeniu całości zakładu rozpisuje się z nadzwyczajnemi pochwałami bezimienny autor artykułu p. t. «Trzy dni w Konopkówce», zamieszczonego w Rozmaitościach z roku 1835. Zachwyca się ów turysta i okazałym wjazdem i chodnikiem, który swymi rozmiarami przypomniał mu ulicę Długą we Lwowie (dziś Teatralną). Niemniejszy podziw wzbudził w nim ogród, w którym dwa stawy łączyła rzeka. Nie brakło oczywiście w Konopkówce restauracyi, cukierni, sklepów a nawet omnibusu, utrzymującego stałą komunikacyę z pobliskim Tarnopolem. Właśnie w czasie pobytu naszego anonima w zakładzie, odbył się wspaniały bal w sali, dużej «jak step» i rzęsiście oświetlonej. W oknach widniały przezrocza z napisem: Konopkówka *vobis grata*. Przy dźwiękach muzyki wojskowej tańczono aż do rana. «Przecudne były stroje. Przecudne kobiety tańczyły jak gracye, przewijały się jak zefiry». Po północy podano wieczerzę na sto dwadzieścia osób, poczem znów hasano do rana. Że «Trzy dni w Konopkówce» nie były przyjacielską — innej wówczas nieznano — reklamą, dowodem cyfra gości, bawiących w lecie 1832 r. w tamtejszym zakładzie. Wynosiła ona 4228 osób płci obojga.

Był to okres największej pomyślności Konopkówki, która według zapisków Ignacego hr. Komorowskiego stała się punktem zbornym dla rozbitków z listopadowej rewolucyi, szukających schronienia w Galicyi.

Po śmierci Jana Konopki i dzieło jego poszło w ruinę, Wydzierżawienie zakładu żydom na lat trzydzieści, zadało mu cios śmiertelny.

Najmłodszym ze zdrojów siarczanych jest i obok Lubienia najwięcej warunków pomyślnego rozwoju na przyszłość zdaje się posiadać Truskawiec, którego woda znaną była już z końcem ośmnastego wieku z swych leczniczych zalet. Badał ją nawet znany przyrodnik lwowski, Baltazar Hacquet, lecz rezultatu dokonanej przez niego analizy, nie ogłosił publicznie. Tak więc korzystał z źródeł truskawieckich jeno lud okoliczny i dopiero około roku 1820 podżupek z Stebnika, Hecker, poszukując w Truskawcu galmanu, czy też siarki, natrafił na zapomniane źródło, które wybuchło z taką siłą, że górnicy ledwo uszli z życiem. Pierwsze łazienki pobudowano obok karczmy w roku 1827. O budynku mieszkalnym dla gości pomyślano dopiero w roku 1836 na wniosek zarządcy tych dóbr, — Truskawiec był własnością rządową — Józefa Micewskiego, który wielkie położył zasługi około urządzenia tego zdrojowiska z większą dogodnością dla chorych, zmuszonych do przemieszkiwania w chatach wiejskich. Namiestnik hr. Gołuchowski wielce dbał o podniesienie Truskawca, lecz nabycie tych dóbr w roku 1870 przez spółkę starozakonnych przedsiębiorców i dziesięcioletnie jej rządy, omal, iż nie przywiodły zakładu do ostatecznej zagłady. Dopiero odkupienie Truskawca przez grono obywatelskie z księciem Adamem Sapiehą na czele, w roku 1880 i znaczne wkłady, poczynione przez nowych właścicieli, postawiły kąpiele tamtejsze na stopie, odpowiedniej współczesnym wymaganiom, rokując mu trwalsze powodzenie na przyszłość.

Wśród gór sanockich i lasów, do niedawna niedostępnych, leży Iwonicz, którego wody jodowo-bromowe znane były podobno już w piętnastym i w szesnastym wieku, ściągając liczne zastępy chorych, głównie z węgierskiej strony przybywających. Znał je i uczony lekarz przemyski Sechini, który w swej «Cenzurze wody iwonickiej», chwaląc skuteczność tamtejszych zdro-

jów, ubolewał tylko nad brakiem dostatecznej ilości wody, któraby wystarczyła dla większej liczby chorych. Na nowiu — zdaniem uczonego doktora — przybywało wody w iwonickim źródle, zwanem Bełkotką. Ze zdrojem tym, z którego uchodzące gazy płoną błękitnem światłem, łączy tradycya ludowa poetyczne podanie o piorunie, uwięzionym w nim za karę. Tej też Bełkotce poświęcił Wincenty Pol prześliczny wiersz, zaczynający się od słów:

W cieniu tych lasów coś tam szemrze słodko,
Dziś, jak przed laty, witasz nas Bełkotko!

Wracając do dawnych dziejów Iwonicza, zwanego też Iwońcem, lub Iwończem, nadmienić należy, iż zdrojowisko owe, znane naszym praojcom pod nazwą »Cudownej góry» poszło w zupełne zapomnienie. W ubiegłem stóleciu Iwonicz był własnością Ossolińskich, lecz dopiero następcom ich, Załuskim, zawdzięczał wskrzeszenie swej dawnej świetności. Karol Załuski, marszałek Upicki, postradawszy w r. 1831 przez konfiskatę znaczne dobra na Żmudzi, przybył po kilkoletniej tułaczce do Galicyi i objąwszy zaniedbaną tę posiadłość, z całą energią zabrał się do jej podniesienia. W latach 1837 do 1845 zbudował budynki mieszkalne, łazienki, wyrównał z wielkim trudem dzikie parowy, zamieniając je na miejsce publicznej przechadzki i starał się, o ile możności, o rozbudzenie w Iwoniczu życia towarzyskiego. A że sanocka szlachta chciała i umiała się bawić, przeto zjeżdżała się tłumnie do wód tamtejszych na letni pobyt, albo też ściągała się co tygodnia na bale, urządzane przez dziedziców Iwonicza. W roku 1844 zjazd był nader liczny. Obowiązki lekarza pełnił Józef Pol, brat Wincentego, a pobyt w zakładzie wraz z mieszkaniem, utrzymaniem i kąpielą kosztował zaledwo trzydzieści sześć złotych miesięcznie. Nie dziw przeto, że mieszkań w Iwoniczu zabrakło, podobnie jak obok rzeczywiście chorych nie brakło wesołej młodzieży, która przy odgłosie czeskiej kapeli hasała bez wytchnienia do dnia białego. Dzieło, rozpoczęte przez Karola Załuskiego, podjęła w dalszym ciągu po jego śmierci w roku 1845 pozostała

wdowa, Amelia z książąt Ogińskich. Pani ta, córka głośnego podskarbiego litewskiego, księcia Michała, wzrosła w dostatkach. Otoczona zbytkiem, znosiła wraz z mężem późniejsze przykrości tułactwa, a osiedliwszy się w Iwoniczu, pomagała mu wytrwale w zajęciach gospodarskich, znajdując zarazem dość czasu na wykształcenie dziewięciorga dzieci, jakiemi ich związek został pobłogosławiony. Owdowiawszy, przyjęła na swe barki cały ciężar zarządu dóbr i zakładu zdrojowego, a praca jej wydała obfite plony. Liczba gości kąpielowych stale wzrastała, lubo podróż do Iwonicza kołami, drogami górskiemi, połączoną była z wieloma trudnościami, nieznanemi dzisiejszym kuracyuszom. Około roku 1855 rozgłos o skuteczności wód iwonickich przedostał się i za granicę. Lekarz paryski, Konstanty James, w ogłoszonem w tym czasie dziele postawił wyżej zdroje iwonickie nad zdrojowiska podobnej wartości, istniejące w Toskanii, w Sabaudyi i w Bawaryi, a jakkolwiek na cudzoziemskich przybyszów kąpiele galicyjskie liczyć obecnie nie mogą, to jednak rosnący z każdym rokiem napływ krajowych gości zapewnić im może pomyślny rozwój.

Iwonicz nie stracił swej wziętości nawet w ostatnich lat dziesiątkach, gdy w najbliższem jego sąsiedztwie w Rymanowie, odkryto źródła, zawierające też same składniki i również skuteczne. Od roku 1878, to jest od chwili naukowego zbadania źródeł rymanowskich, zakład tamtejszy dźwiga się nader szybko, mimo rozmaitych klęsk elementarnych jakie miejscowość tę nawiedziły w latach ostatnich. I tu, podobnie jak w Iwoniczu duchem opiekuńczym, wróżką dobroczynną okolicy, ongi własności Siepińskich i Stadnickich, stała się kobieta, Anna z Działyńskich Potocka. Wcześnie owdowiawszy, poświęciła się tylko rodzinie swej i ludności Rymanowa, dzieląc się wdowim groszem z ubogimi, wspierając miejscowy przemysł domowy, opiekując się wakacyjną kolonią dziatwy lwowskiej która w tem miejscu od lat szeregu zwykła znajdować gościnne przyjęcie.

Mniej szczęśliwym — jak dotychczas — od obu tych gór-

skich zdrojowisk jest Morszyn, ongi warzelnia soli, pod Stryjem położony. Zakład ten, posiadający kąpiele solankowe i borowinowe, stworzył ś. p. Bonifacy Stiller, kupiec lwowski, handlujący bronią i przyborami myśliwskimi, który nabywszy Morszyn, utopił w nim wiele pracy i ciężko zarobionych pieniędzy. Mimo zapobiegliwości Stillera i reklamy, jaką dla zakładu tego głosił ś. p. Jan Lam, leczący się w swoim czasie w Morszynie, miejscowość ta nie zdołała sobie jeszcze wyrobić większej wziętości wśród publiczności polskiej, uczęszczającej do wód krajowych. Stiller umierając, pragnął ocalić od zapomnienia ulubione swe dzieło i od roku 1884, w myśl uczynionego przez niego zapisu, właścicielem Morszyna jest Towarzystwo lekarzy galicyjskich. Zdaje się, że prócz innych przyczyn, krótkość sezonu kąpielowego w tym zakładzie, spowodowana ostrym klimatem tamtejszym, tworzy główną przeszkodę pomyślnego rozwoju Morszyna.

Przebiegłszy po krótce dzieje naszych zdrojowisk, niepodobna nie zauważyć, że losy ich do pewnego stopnia wspólnym podlegają kolejom. Powstałe z inicyatywy prywatnej, zależą one w zupełności od energii i gospodarności każdoczesnych właścicieli. Podnoszą się, wzrastają, to znów upadają, lub w zupełną idą ruinę, a starozakonna ludność występując tamże, czy to w roli gospodarza, czy też gościa, zwykła wywierać wpływ wielce ujemny na losy zdrojowisk krajowych... Smutne to a jednak prawdziwe.

IV.

CRACOVIANA.

Stary Kraków zapadł się! — pisał przed laty jeden z skrzętnych kronikarzy tego grodu, ukrywający się pod literami I. L. a bolejący nad upadkiem, zanikiem, dawnego krakowskiego obyczaju, dawnych tradycyi i pamiątek, przypominających niezbyt odległą a tak mało znaną, zapomnianą dobę udzielności podwawelskiego grodu, noszącego w aktach i na pieczęciach miano: wolnego, niepodległego i ściśle neutralnego miasta Krakowa.

W polityce europejskiej rzeczpospolita krakowska nie odegrała wybitniejszej roli w ciągu trzydziestoletniego istnienia. Natomiast w granicach swego terytoryum używał republikański Kraków, czwarte pod względem obszaru po Szwajcaryi, wyspach Jońskich i Hamburgu, zajmujący stanowisko, wszelkich swobód i przywilejów udzielnego organizmu państwowego. W liczbie tych przywilejów własne sądownictwo i miniaturowa armia, nazwana milicyą, najgłówniejszą odegrywały rolę.

Zacznijmy od sądownictwa, które na zasadzie konstytucyi z roku 1815 zastrzeżoną miało niezależność.

Istniały przeto sądy pierwszej i drugiej instancyi. W pierwszej instancyi prezes i trzej radcy, w drugiej prezes i czterej radcy byli stałymi, dożywotnio mianowanymi urzędnikami innych zaś sędziów, pełniących czasowo swe obowiązki, wybierały gminy w liczbie, stosownej do potrzeby. Sądy te wyrokowały w wszelkich sprawach, bez różnicy ich natury, lub stanu osób. W razie dwóch zgodnych wyroków nie było dalszej apelacyi. Jeżeli jednak wyroki dwóch pierwszych instancyi wy-

padły sprzecznie, lub jeżeli uniwersytet po zbadaniu aktów procesowych uznał, że orzeczenie trybunału naruszało zasady prawne, albo istotną formę procedury, tak w procesach cywilnych, jakoteż karnych, głoszących karę śmierci, czy też niesławy — wówczas wracała sprawa ponownie do sądu apelacyjnego. Tym razem jednak w trybunale wyrokującym zasiadali wszyscy sędziowie pokoju, urzędujący w miastach rzeczypospolitej, oraz czterej mężowie, powołani w równej połowie przez obie strony sporne. Wyrok w pierwszej instancyi zapadał w obecności siedmiu sędziów. Postępowanie było ustne, zaś w sprawach o zbrodnie kryminalne zalecała konstytucya wprowadzenie sądów przysięgłych.

Wspomniano powyżej o sędziach pokoju. Była to godność, pochodząca z wyboru. Jeden sędzia pokoju przypadał na sześć tysięcy ludności. Urzędował on przez trzy lata i prócz obowiązków pojednawcy, czuwał z urzędu nad sprawami małoletnich, tudzież nad procesami, dotyczącymi funduszów publicznych. Musiał przeto sędzia pokoju być prawnikiem z zawodu, posiadać stopień doktorski, pozyskany na jednej z wszechnic krajowych, a prócz praktyki sądowej i adwokackiej, wymagano od niego tytułu własności nieruchomej, przedstawiającej wartość conajmniej ośmiu tysięcy złotych. Ukończony trzydziesty rok życia był również nieodzownym warunkiem do osiągnięcia tego urzędu. Sędzia apelacyjny lub prezydent którejkolwiek instancyi sądowej musiał posiadać te same warunki co sędzia pokoju, a nadto pełnić choćby przez dwa lata jego obowiązki i raz przynajmniej piastować mandat poselski.

Urzędowano oczywiście w języku polskim.

Organizacya jednak sądownictwa przez całe trzydziestolecie istnienia rzeczypospolitej nie przedstawiała się w formie ustalonej, gdyż konstytucya z roku 1815 dopuszczała istnienie licznych wyjątków na korzyść urzędników z czasów księstwa warszawskiego, oraz dla funkcyonaryuszów, mianowanych przez mocarstwa opiekuńcze, zaś komitet, wyznaczony do ułożenia stałych zasad organizacyi sądowej, nie doprowadził swych prac

do końca. Obowiązywała przeto w tym względzie ustawa tymczasowa, narzucona przez komisarzy opiekuńczych dworów.

Ogółem liczono siedm władz sądowych w rzeczypospolitej. Prócz sędziów pokoju urzędowały: karny sąd wojskowy, złożony z audytora oraz z podrzędnego personalu i sąd policyjny, orzekający w pierwszej instancyi o przekroczeniach policyjnych. Drugą i ostatnią instancyą dla spraw tej kategoryi był departament policyjny w senacie, zaś oprócz sądów krajowych pierwszej i drugiej instancyi, zbierał się w wypadkach szczególniejszej wagi najwyższy trybunał karny. Zasiadali w nim trzej sędziowie, przysłani przez dwory opiekuńcze, oraz dwaj sędziowie apelacyjni, miejscowi. Przewodniczył trybunałowi jeden z obcych sędziów.

Jeżeli jednak brak jednolitości dawał się odczuwać już w organizacyi sądownictwa krajowego, to tem większa różnorodność panowała pod względem ustaw, obowiązujących w rzeczypospolitej. W sprawach cywilnych obowiązywały: kodeks napoleoński i francuska procedura, podczas gdy w zakresie sądownictwa karnego posługiwano się kodeksem austryackim z roku 1803. Kodeks francuski obowiązywał również w sprawach handlowych. Wprawdzie już w styczniu 1816 roku zwołano celem ujednostajnienia zasad prawnych nadzwyczajny sejm prawodawczy, ale komisya z łona tej izby wybrana, dla braku instrukcyi i wytknięcia kierunku przyszłej jej działalności, nie zabrała się wcale do pracy. Ponownie więc w marcu 1818 roku zwołano sejm prawodawczy, który po dwumiesięcznych obradach ułożył pierwsze zasady do ustaw rzeczypospolitej. Rezultatem owych prac sejmowych były później ogłoszone ustawy o ustaleniu własności nieruchomej, o egzekucyi sądowej, o postępowaniu w sądach pokoju, wreszcie o opiece

O działalności sądów krakowskich dość ujemnie wyraża się Rudolf Kämpf, właściciel domu handlowego w Krakowie, oraz autor ogłoszonego w Lipsku w roku 1844 dziełka p. t.: *„Krakau und ein Blick über seine Grenzen“*. «Słyszałem często sławiących wymiar sprawiedliwości w Krakowie i również

często ganiących sądownictwo tamtejsze» — pisze Kämpf w swej rozprawie. — «Obowiązująca ustawa dopuszcza mnóstwo wybiegów i kawałów; jeżeli się ktoś nie umie wobec nich zabezpieczyć i nie zastosuje przysłowia: *You must fight the devil with his own weapons*, wówczas przegrywa bez wyjątku najsłuszniejszą sprawę. Zwłaszcza cudzoziemcy wychodzą najgorzej na procesach. Skutkiem tego jest tu mnóstwo żydowskich adwokatów pokątnych, którzy interesowanym oddają największe usługi. Szczwani na wszystkie boki, potrafią każdy paragraf obrócić i wykręcić, zbierają daty i fakty, świadczące przeciw adwersarzowi i są szczególniej pomocni skutkiem swych znajomości z niższymi urzędnikami. Cudzoziemcom mógłbym szczególniej polecić tych ludzi. Należy jednak być przezornym w ich wyborze, gdyż niektórzy z tych panów są oszustami i biorą pieniądze od obu stron spornych. Nie chcę przez to uczynić zarzutu tutejszemu sądownictwu; szereg lat przebytych przezemnie w Krakowie był może zbyt krótkim, bym mógł poznać dokładnie zalety tej władzy, podobnie jak profan dziesięć razy musi wysłuchać wybornej dla znawcy opery, zanim pozna się na jej wartości. Wielką klęską dla republiki jest powolność i rozwlekłość w postępowaniu władzy. Dla sprawdzenia istoty czynu, tak jasnej, że ją nawet ślepy zobaczy, zapisuje się stosy papieru. Dlatego też i liczba urzędników jest bardzo znaczną. W całej republice przenosi ona cyfrę tysiąca głów z której $^2/_3$ części przypadają na Kraków. Większa część urzędników jest źle płatną, ale umieją sobie oni radzić i najmniejszą przysługę każą sobie dobrze wynagradzać».

O sądownictwie cywilnem za czasów Rzeczypospolitej krakowskiej znajdują się ciekawe szczegóły w cennej rozprawie J. L. («Sądownictwo Rzeczypospolitej Krakowskiej»), ogłoszonej w roku 1884 w kalendarzu Czecha. Anonim chwali bardzo działalność sędziów pokoju, którzy w pierwszej zaraz kadencyi, odbytej w latach 1816—1817 załatwili sposobem polubownym dziewięćset spraw. Jak dalece ten urząd był pożytecznym i czynnym, świadczy najlepiej ta okoliczność, iż w przedostatnim

roku istnienia rzeczypospolitej, (w roku 1844), sędziowie pokoju zamianowali 631 opiek i rozsądzili w ostatniej instancyi 8.374 sporów, (niżej trzydziestu złotych polskich wartości.) Nadto w ostatniej instancyi załatwili 4.437 sporów, (niżej trzystu złotych polskich) i załagodzili rozjemczo 289 procesów, należących do trybunału. Cyfry te dają bardzo korzystne świadectwo o działalności sędziów pokoju, choć w ich gronie nie brakło również parszywych owieczek. Charakterystyczny pod tym względem epizod opowiada w swych pamiętnikach prezes senatu rzeczypospolitej, Stanisław hr. Wodzicki. Oto jako właściciel realności udał się on w roku 1826 na zgromadzenie wyborcze pierwszej gminy, odbywające się w kościele św. Piotra. Miano wybierać sędziego pokoju. Przewodniczący, zagajając zebranie, wymienił w liczbie kandydatów do tej godności także sędziego, kończącego właśnie urzędowanie. W tłumie wyborców, tuż obok Wodzickiego, stał jakiś rumiany i opasły mieszczanin, który usłyszawszy nazwisko kandydata ozwał się na cały głos: A to prawdziwie godny jest sędzia, gdyż przyjmuje kubany od jednej i od drugiej strony. Śmiech ogólny przywtórzył tej jowialnej uwadze. Kandydat oblał się pąsem, lecz nic nie odparł na swą obronę. Spodziewał się przeto Wodzicki, że indywiduum tak ośmieszone przepadnie z kretesem przy wyborze. Stało się jednak inaczej, gdyż pan ten wybrany został jednomyślnie...

Przez długie lata w tradycyi Krakowian utrzymywała się również opowieść o ciekawym w swoim rodzaju wyroku, wydanym przez sędziego pokoju w sprawie kradzieży, popełnionej w kościele Świętego Piotra. Kościelny tej świątyni zauważył od dłuższego czasu modlącego się całemi godzinami przed obrazem Matki Bożej ubogo odzianego mężczyznę, którego często z powodu spóźnionej pory wypraszać musiał z kościoła. Skoro więc pewnego dnia spostrzeżono ubytek kosztownej sukienki na obrazie Bogarodzicy, posądzenie padło w pierwszej chwili na owego świętoszka, którego schwytano nie bez trudności ukrywającego się w mieście. Znaleziono też sprzedaną przez niego żydom na Kazimierzu sukienkę i oddano winowajcę są-

dowi. Obwiniony, badany o rodzaj zatrudnienia, odpowiedział, iż żyje z imienin, to jest z składania gratulacyj rozmaitym honoracyorom w dniu ich patrona, wynagradzającym mu jego fatygę drobnymi datkami. Nie zapierał się on wcale, iż sukienkę sprzedał żydom. Twierdził jednak stanowczo, że otrzymał ją w darze od Panny Przenajświętszej, która wzruszona jego niedolą, sama mu kazała zabrać z ołtarza niepotrzebną jej ozdobę. Cóż począł sędzia, który podobno z zawodu był winiarzem? Oto przedewszystkiem udał się z zapytaniem do konsystorza, czy wypadek cudu tego rodzaju jest dopuszczalny a otrzymawszy odpowiedź twierdzącą, wydał wyrok iście salomonowy. Ponieważ konsystorz biskupi orzekł — opiewała decyzya naszego sędziego — iż dar sukienki przez Matkę Boską jest możliwy i gdy sąd nie nabrał przekonania, iż sukienka została skradzioną — więc uwalnia się oskarzonego od winy. Ponieważ jednak tenże nie przedstawił dostatecznych dowodów darowizny, przeto sukienka mu się odbiera. Na przyszłość jednak sąd zabrania najsurowiej obwinionemu, by nie przyjmował podarunków ani od Matki Boskiej, ani od żadnego z Świętych Pańskich...

Od sędziów wybieralnych przechodząc do urzędników zawodowych, zaznaczyć wypadnie fakt w istocie uwagi godny, iż na czele sądownictwa rzeczypospolitej stali przeważnie prawnicy, którzy dłużej lub krócej pracowali w zawodzie sędziowskim w Galicyi wschodniej. I tak pierwszym prezesem apelacyjnego sądu w Krakowie był Józef Nikorowicz. Urodzony we Lwowie w roku 1753, tam też ukończył nauki, a zaciągnąwszy się już po rewindykacyi Galicyi do służby sądowej, szybko z konsyliarza lwowskiego sądu szlacheckiego postąpił na radcę apelacyjnego. Jako radca dworu i asesor komisyi prawodawczej przeniesiony następnie do Wiednia, powrócił do kraju w roku 1793 na stanowisko prezydenta sądu szlacheckiego w Tarnowie. Odznaczony godnością tajnego radcy, objął Nikorowicz w roku 1797 przewodnictwo świeżo zorganizowanego przez rząd austryacki w Krakowie fori nobilium i na tem stanowisku przetrwał rządy austryackie, oraz księstwa warszawskiego w pod-

wawelskim grodzie, zaś rzeczpospolita nie omieszkała go również zatwierdzić w piastowanym urzędzie. Dzielny prawnik, człowiek dobroczynny i sprawiedliwy, zmarł Nikorowicz w dniu czwartym czerwca 1833 r. otoczony powszechnym szacunkiem i sympatyą. I następca jego, Franciszek Borgiasz Piekarski, odbywał nowicyat sędziowski we Lwowie jako auskultant, a następnie jako komornik graniczny. Przybywszy równocześnie z Nikorowiczem do Krakowa, otrzymał posadę radcy przy sądzie szlacheckim. Księstwo warszawskie zastało Piekarskiego na stanowisku radcy apelacyjnego, z którego powołano go na przewodniczącego sądu kryminalnego. Komisarze, organizujący republikę, zaofiarowali mu w roku 1815 godność senatora, ale Piekarski jej nie przyjął i poprzestał na urzędzie wiceprezydenta apelacyi. Zajęcia biurowe nie przeszkodziły mu wszakże w pełnieniu różnorodnych funkcyi publicznych. Pracował niestrudzenie w komitetach: prawodawczym, administracyjnym, skarbowym i szkolnym, lecz główną jego zasługą było założenie ksiąg hipotecznych dla miasta Krakowa. Zamiłowany agronom, nietylko piórem czynny był w tej dziedzinie Piekarski, lecz urządził wzorowo wieś swą dziedziczną, Tomaszowice, a nadto znalazł dość czasu, by piastować urzędy honorowe w instytucyach dobroczynnych. Zamianowany po śmierci Nikorowicza prezydentem apelacyjnego sądu, krótko przewodniczył krakowskiemu sądownictwu, gdyż zmarł już w październiku 1834 r.

Natomiast Jakób Mąkolski, prezydent apelacyjnego sądu krakowskiego w latach 1834—1842, nie cieszył się wcale sympatyą ani ze strony ludności, ani też w sferach urzędowych. Podobnie jak jego poprzednicy, rozpoczynał Mąkolski zawód sędziowski we Lwowie, skąd przy organizacyi sądownictwa austryackiego w Krakowie, dostał się w roku 1797 do tamtejszego forum nobilium w charakterze sekretarza. Awansując stopniowo, osiągnął po śmierci Piekarskiego najwyższą w republice godność sędziowską, lecz nie lubiany powszechnie, lekceważony nawet przez rezydentów opiekuńczych dworów, doczekał się w końcu tego despektu, iż przy reorganizacyi sądo-

wnictwa krakowskiego w roku 1842 wbrew własnej woli przeniesiony został w stan spoczynku. Osiadłszy w dziedzicznej swej wiosce, w Pawlikowicach, zmarł w Wieliczce w roku 1861. Miejsce jego zajął Piotr Bartynowski, potomek starej rodziny patrycyuszowskiej, zajmującej się w Krakowie z ojca na syna, winiarstwem. Służbę sądową rozpoczął też w rodzinnem mieście, pełniąc kolejno funkcye sędziego, prokuratora i profesora prawa rzymskiego w Uniwersytecie Jagiellońskim. W roku 1833 był prezesem trybunału pierwszej instancyi, a przy reorganizacyi sądownictwa, nastąpionej w dziewięć lat później, zamianowany został prezydentem sądu wyższego. Na tej też posadzie doczekał się Bartynowski upadku rzeczypospolitej, lecz szczycił się zaufaniem władz austryackich, z których ramienia w latach 1853—1860 piastował godność kuratora uniwersytetu Jagiellońskiego, podczas reorganizacyi tego instytutu. Na czele sądownictwa krakowskiego pozostawał tylko do roku 1855, gdyż po zniesieniu przez rząd austryacki kodeksu napoleońskiego i ustnego postępowania w sprawach cywilnych, zamianowany został Bartynowski radcą apelacyjnym, w którymto charakterze dosłużył się emerytury w roku 1862.

Sądownictwo karne w republice krakowskiej niejednokrotnie też bywało przedmiotem ostrej krytyki, gdyż w tej dziedzinie wymiaru sprawiedliwości najbardziej ujemnie uwydatniał się wpływ walki stronnictw, a raczej koteryi, szarpiących nieustannie łono miniaturowej rzeczypospolitej. Wielce ciekawe światło na współczesne stosunki krakowskie rzuca sprawa Wazona, rozegrana w lutym 1822 roku. Przebieg tej jedynej w swym rodzaju historyi przedstawiał się następująco: W dniu dziewiątym lutego t. r. odbywał się w sali hotelu Knotza bal publiczny na korzyść ubogich, a w liczbie zaproszonych gości znalazł się też jenerał wojsk polskich, Grabowski, impetyk, jakich mało. W chwili, gdy zabawa ożywiła się w najlepsze, usłyszeli zebrani w przyległym do sali głównej bufecie niezwykły hałas, pomięszany z szczękiem tłuczonego szkła i z łoskotem przewracanych krzeseł. Powstała ogólna konsternacya, którą

spotęgowało jeszcze pojawienie się jenerała, wypadającego z bufetu, z włosem pomierzwionym, w mundurze rozpiętym.

— Panowie, mam was wszystkich za szelmów! — krzyknął Grabowski, zbliżywszy się do prezesa senatu, Wodzickiego, — jeżeli mi za tego zuchwalca publicznej nie dacie satysfakcyi!

Powstał na te słowa zgiełk nie do opisania. Panie bezzwłocznie opuściły salę, zaś oburzona młodzież jęła się cisnąć do bufetu, by doraźnie ukarać napastnika. Był nim Jan Wazon, subjekt cukiernika Wielanda, zajęty w bufecie. Grabowski, trzymając w ręku szklankę lemoniady, podaną przez służącą, zażądał rumu od Wazona, nazwawszy go chłopcem. Ten obruszony odpowiedział hardo, że podawanie trunków należy do służby, w zamian za co usłyszał z ust jenerała słowa: *No, so gib Rum, du dummer Kerl!* Wazon, syn radcy kantonalnego w Graubünden, nie pozostał dłużnym Grabowskiemu w odpowiedzi, skutkiem czego jenerał z cukiernikiem wzięli się za czuby i dopiero urzędnik policyjny, aresztujący Wazona, przerwał owe gorszące zajście. Nazajutrz odbyło się w tej sprawie nadzwyczajne posiedzenie rządzącego senatu. Nie czekając na skargę Grabowskiego i z pominięciem władz sądowo policyjnych, jedynie kompetentnych w tym wypadku, wydał senat rozporządzenie, by w dniu jedenastym lutego podczas południowej zmiany warty wyliczono Wazonowi przed odwachem na wieży ratuszowej piętnaście kijów i odszupasowano winowajcę z granic rzeczypospolitej. Postanowieniu temu, gwałcącemu zasady konstytucyjne, że nie wspomniemy już o pojęciach republikańskiej równości, sprzeciwiał się podobno Wodzicki, lecz ostatecznie nie odmówił swej sankcyi powziętej uchwale. Jeden tylko senator Michałowski zaprotestował przeciw temu orzeczeniu i opuścił salę obrad, rzuciwszy na pożegnanie kolegom te słowa: Pamiętajcie Panowie, że depczecie konstytucyę i wszelkie prawa i że ten gwałt ściągnie na was przekleństwo oraz wzgardę publiczną, których ja z wami dzielić nie chcę!... Również energicznie oparł się bezprawiu senatorów Nikorowicz, naczelnik sądownictwa, który tem wystąpieniem zyskał sobie

wzięcie ogólne w mieście i przez stronnictwo demokratyczne forytowanym był w roku 1827 na godność prezesa senatu.

Napróżno też czynił zabiegi o zmianę rodzaju kary, poważany w mieście piwowar Jenny, ziomek skazanego. Egzekucya odbyła się w oznaczonej porze wśród wielkiego zbiegowiska pospólstwa, podrażnionego niemało oklaskami przyjaciół Grabowskiego, odzywającemi się po każdem uderzeniu kija. Krążyła nawet w mieście pogłoska, iż hr. Henryk Żeleński dał oprawcy dwieście złotych, by silnych plag nie szczędził... W dowód szczególniejszej łaski pozwolił senat opuścić Wazonowi terytoryum rzeczypospolitej extrapocztą, z własnych jego funduszów opłaconą.

Zajście owe, drobne na pozór, było pierwszą przyczyną osłabienia dotychczasowej popularności Wodzickiego, zaś autor wspomnianego już poprzednio dziełka *Krakau und ein Blick über seine Grenzen* wyraża niedwuznacznie przekonanie, iż uchwała senatu, skazująca Wazona, była dziełem nieprzyjaciół prezesa, którzy w ten sposób chcieli go zdepopularyzować, a nawet wierzyli w możliwość rewolucyi ulicznej z tego powodu.

Bezimienny poeta uwiecznił owe zdarzenie w następującym wierszyku:

Otóż to rzeczpospolita.
Bije baty, ani pyta,
Ani sądu, ani prawa,
Prezes kazał: Zaraz ława.
Kogo biją? Mieszczanina,
Niech zna, co pańska czupryna.
W nim krew Kaimowska płynie,
A nasza od przodków słynie,
Co tego niegdyś zdradziła,
Którego sławi mogiła.
Stójcie pany, wolność woła
Z reprezentanckiego koła:
Nie wolno bić włościanina,
Cóż dopiero mieszczanina,
Wszyscy równi co do prawa,

Do sądu ma iść ta sprawa!
Zbiegły się wolne barany,
Radzą, by nie był karany,
Lecz gdy stróżów się przelękli,
Wszyscy przed batem uciekli.

Sprawa Wazona była niestety przygrywką do poważniejszych następstw, jakie przedstawiały tajne związki uczącej się młodzieży. Spisek Łukasińskiego i odkrycie organizacyi Towarzystwa patryotycznego w Królestwie Polskiem zwróciły w roku 1822 szczególniejszą uwagę rosyjskiej policyi na Kraków. Rezydent carski, Stanisław Zarzecki, domagał się od senatu nieustannie nowych śledztw i dochodzeń przeciw osobistościom politycznie podejrzanym. Odkrycie bractwa »burszów polskich« w sierpniu 1823 r., zażegnane chwilowo wydaleniem założyciela tej organizacyi, Miszewskiego, zniewoliło rząd austryacki, iż za przykładem ukazu cara Aleksandra, odwołującego młodzież polską z wszechnicy Jagiellońskiej, wydał podobne zarządzenie co do poddanych galicyjskich. Senat zatajał, o ile mógł, szczegóły rozruchów szkolnych, ale Kraków roił się od szpiegów rosyjskich, których liczba wzmogła się jeszcze bardziej po roku trzydziestym, gdy gród podwawelski był jedynym przytułkiem dla rozbitków z listopadowego powstania, wydalanych tłumnie przez władze galicyjskie na terytoryum rzeczypospolitej.

Zanim wszakże przejdziemy do tej doby, obfitującej w niezwykłe wypadki kryminalistyczne, wspomnieć jeszcze wypadnie o senzacyjnym procesie Leona Chwalibogowskiego, oddanego w r. 1827 pod sąd sejmowy.

Chwalibogowski zaczął karyerę na krakowskim bruku za rządów Księstwa warszawskiego, piastując przy trybunale skromną posadę kopisty. Ruchliwy wszakże i sprytny już w roku 1818 dostał się do sejmu, czyli jak mówiono w republice — do zgromadzenia reprezentantów, a nawet wybrany został do komisyi prawodawczej. Niebawem też przebiegłszy niższe stopnie hierarchii sądowniczej, zamianowany został prokuratorem, z którego to urzędu stworzył dla siebie źródło nieprawych do-

chodów. Mimo, iż uposażenie urzędników rzeczypospolitej było mniej niż skromne, Chwalibogowski zaczął szybko robić fortunę, zakupując dobra i realności w mieście. Skoligacony z członkami sejmu, umiał rozmaitymi sposobami doprowadzić do tego, iż znaczną część urzędów wybieralnych posiedli jego przyjaciele i krewniacy. Z ich też pomocą broił Chwalibogowski bezkarnie przez całe dziesięciolecie i dopiero skarga niejakiego Gołkowskiego, który uwolniony dla braku dowodów winy, domagał się rewizyi swego procesu, odkryła cały stek bezprawia i nadużyć, popełnianych przez prokuratora i przez jego pomocników. Nie cofali się oni przed niczem, a fałszywe świadectwa wymuszali kijami. Proces rewizyjny Gołkowskiego wywołał olbrzymie wrażenie i spowodował aresztowanie Chwalibogowskiego, który przez sąd sejmowy skazany został do robót publicznych. Równocześnie z nim usunięto z posady dyrektora policyi, Antoniego Kosteckiego i złożono z urzędu czterech senatorów, oraz dwóch sędziów trybunału.

Sprawa ta przyćmiła w wysokim stopniu powagę sądownictwa krakowskiego, zwłaszcza wobec dworów opiekuńczych, którym rezydenci z przebiegu procesu nader szczegółowych dostarczyli relacyj. Jeżeli podczas reorganizacyi ustroju rzeczypospolitej, dokonywanej w roku 1833 przez mocarstwa rozbiorowe, ocalało sądownictwo krakowskie, to przypisać należy jedynie tej okoliczności, iż dla przysłanych komisarzy dziedzina wymiaru sprawiedliwości była przedmiotem obcym lub obojętnym.

Natomiast morderstwo szpiega Pawłowskiego, dokonane w roku 1836, dało po raz pierwszy sposobność władzom austryackim do wmięszania się w sprawy sądownictwa karnego rzeczypospolitej. Sprawa Pawłowskiego, przedstawiana w najrozmaitszy sposób we współczesnych pamiętnikach, miała według relacyi autora «Sądownictwa Rzeczypospolitej krakowskiej» przebieg następujący: Pawłowski przybył na emigracyą do Anglii pod nazwiskiem Mańkowskiego, oficera czwartego pułku piechoty, a udając jeńca wojennego, zbiegłego z Sybiru, za-

wiązał liczne stosunki znajomości między wychodźcami. Nie znalazłszy wszakże w Londynie odpowiedniego pola do działania, wrócił do Paryża, gdzie zapisawszy się do Towarzystwa Demokratycznego, zdołał do tego stopnia pozyskać zaufanie kierowników tego ciała, iż wyprawili go jako emisaryusza do kraju. Zaopatrzony w odpowiednie instrukcye i wskazówki, skorzystał z nich Pawłowski zaraz w Dreźnie, gdzie wywołał swą denuncyacyą cały szereg aresztowań i wydaleń wśród wychodźców polskich. Z Drezna przybył do Krakowa, zamieszkał u Pollera i zaprzyjaźniwszy się z majorem Boskim, totumfackim całego miasta, uczęszczał pilnie na dysputy polityczne do ogródka Aleksandrowej. Jednakowoż w Londynie wychodźcy polscy pierwsi powzięli podejrzenie co do szpiegowskiego rzemiosła Pawłowskiego i udzielili swych wiadomości ziomkom, przebywającym we Francyi. Z Wersalu puścił się też zaraz w pogoń za szpiegiem Adolf Zalewski, którego brat, Leon, ukrywał się w Krakowie pod nazwiskiem Marchockiego. Obaj Zalewscy wraz z Ejsmuntem ułożyli na miejscu plan działania. Ejsmunt, człowiek wytwornych manier i miły w obejściu, wziął na siebie spełnienie pierwszej części planu, mającej na celu sprawdzenie charakteru Pawłowskiego i w tym celu, porzuciwszy gościnę u Dembińskich w Poręcinie, sprowadził się do oberży «pod białym orłem», uczęszczając przytem pilnie na obiady do Pollera. Dobre wino, dysputy polityczne i gra w bilar ułatwiły mu bliższe poznanie się z Pawłowskim, który niebawem przeniósł się pod «białego orła», a zajmując pokój obok Ejsmunta, podsłuchiwał szpiegowskim zwyczajem, co się u sąsiada dzieje. Na podstawie tej obserwacyi nabrał Pawłowski przekonania, że Ejsmunt, wydawszy gotówkę, wybiera się na patryotyczną kwestę, oraz na zjazd emisaryszów do Rybny. W chwili przeto poufnej pogadanki, gdy Ejsmunt oświadczył mu chęć zostania z biedy ajentem policyjnym, wyjawił Pawłowski bez ogródki swe zajęcie. Obaj udali się do biura rezydenta rosyjskiego, gdzie Ejsmuntowi doręczono paszport i miesięczną pensyę z góry. Następnego dnia — szóstego stycznia 1836 r. —

wybrał się Pawłowski z swym towarzyszem do Rybnej, Ejsmunt poszedł wynająć konie, zaś Pawłowski wyrównał rachunek w hotelu. Wieczorem zajechały najęte sanie, które obu powiozły w kierunku Łobzowa, a na uwagę Pawłowskiego, że do Rybnej inna prowadzi droga, odpowiedział woźnica, iż w zimie jeździ się innym szlakiem. W pobliżu Bronowic spotkali jadący pieszego wędrowca, który dawszy się poznać jako spiskowiec, dążący do Rybnej, stanął na wezwanie Ejsmunta z tyłu sań. Po chwili ów nieznajomy, którym był Adolf Zalewski, strzelił z krucicy w plecy Pawłowskiego, na którego uderzyli równocześnie z sztyletami Ejsmunt i przebrany za woźnicę Leon Zalewski. Trupa zrzucono, zjechawszy nieco z drogi, pod lasem Rząsieckim, gdzie go nazajutrz znaleźli jadący z Chrzanowa kupcy. Zalewscy powrócili inną drogą do Krakowa, pozostawiwszy Ejsmunta w Tenczynku, u rządcy tamtejszego, Jana Konopki. Nazajutrz przewieziony do Spytkowic, opuścił Ejsmunt te strony, jadąc pocztą obywatelską od dworu do dworu.

Znalezione zwłoki Pawłowskiego spoczywały rozciągnięte na płaszczu, a przypuszczenie co do morderstwa, popełnionego na jego osobie dla rabunku, było już przez to samo wykluczone, że przy zwłokach znaleziono kosztowną biżuteryę, którą zazwyczaj Pawłowski nosił, oraz znaczniejszą sumę pieniężną.

Trudno zaprzeczyć, że kara wymierzona szpiegowi była zupełnie zasłużoną, lecz sposób jej wykonania przyprawił republikę krakowską o ponowne uszczuplenie przywilejów jej niezależności. W dniu siedmnastym lutego t. r. wszedł do miasta austryacki oddział piechoty, jazdy i artyleryi pod wodzą jenerała Kaufmana, który z komiczną niemal ostrożnością wybierał się na ową okupacyę. Jak twierdzili złośliwi, jenerał spowiadał się i sporządził testament na Podgórzu, a przekroczywszy most na Wiśle, zarządził cały szereg ostrożności, jak gdyby miał przed sobą groźnego nieprzyjaciela. Wysłał przeto naprzód silne patrole kawaleryi, które przebiegły puste, gdyby wyludnione, ulice Krakowa. Za jazdą postępowała piechota, rozrzucona w tyralierkę, poprzedzając otoczone silną asekuracyą

działa, przy których kroczyli artylerzyści z zapalonymi lontami. Pochód ten od Wisły do rynku trwał przez kilka godzin z rzędu, poczem waleczny Kaufman zajął przemocą kwaterę «pod Baranami». Dopiero w kilka miesięcy później udało się pani Arturowej Potockiej, za interwencyą kanclerza księcia Metternicha, wyprawić jenerała do odpowiedniejszej dla niego kwatery. Kaufman wybrał sobie na mieszkanie dom «pod zającem» przy rogu ulicy Wiślnej, któryto fakt nastręczył krakowskim humorystom obfitego tematu do kpin i drwinek.

Do żartów wszakże nie była to pora odpowiednia. Prócz austryackiego, przybyły do Krakowa oddziały pruskiego i rosyjskiego wojska. Nastąpiły tłumne wydalania wychodźców na Podgórz, skąd jednych wysełano do Królestwa Polskiego, innych do Francyi i Ameryki przez Tryest. Usunięto z godności prezesa senatu poczciwego Kaspra Wielogłowskiego, którego miejsce zajął Haller. Ograniczono władzę senatu, czyniąc wybór wszystkich urzędników zależnym od potwierdzenia rezydentów, zaś policyę utworzono z różnych mandataryuszów austryackich, na których czele postawiono Franciszka Gutha, dotychczasowego komisarza policyi w Podgórzu. Guth, którego bezimienny autor «Kroniki czterdziestu dni Krakowa» nazwał postrzeleńcem bez sensu i charakteru, wyposażony nadzwyczajną władzą, wdarł się w atrybucyę sądów karzących. Pałając chęcią zjednania sobie pochwał ze strony rządów opiekuńczych za swą gorliwość w służbie, tropił Guht nieustannie urojone spiski, do których niebaczna młodzież dostarczała mu pozorów, tworząc kółka, schodzące się w pewnych odstępach czasu na wspólną lekturę i rozmowę. Guth zarządził tłumne aresztowania nieletnich spiskowców, których nocami porywano z mieszkań i odwożono do zaimprowizowanych więzień u Bernardynów na Stradomiu i u Paulinow na Skałce, ozdobionych koszami drewnianymi u okien, na wzór kryminałów galicyjskich. Głośną była przygoda Gutha, który chcąc wywołać rozmyślnie rozruch uliczny, dał jednemu ze studentów dwadzieścia złotych wraz z poleceniem, by podmówiszy swych rówieśników, uderzył wraz z nimi

o oznaczonej porze na budynek policyjny. Lecz przekupiony zwołał kolegów do cukierni, gdzie przejedli i przepili judaszowe srebrniki. Rezydenci atoli dworów opiekuńczych, przerażeni sążnistemi raportami Gutha o podziemnej robocie spiskowej, wywarli przy tej sposobności nadzwyczajną presyę na sędziów, którzy w pierwszej i w drugiej instancyi skazali psotną młodzież. Uwolnił obwinionych sąd kryminalny zjazdowy, ale członkowie tego sądu: Eustachy Ekielski, Andrzej Kalinka, i Józef Krzyżanowski przepłacili utratą posad niezależność swego zdania.

Guth został uwieczniony w odzie, skreślonej na wieść o zamachu, dokonanym przeciw jego osobie w Przemyślu. Autorem owej ody miał być podobno Hilary Meciszewski, głośny później publicysta i dramaturg, redaktor wydawanego we Lwowie w roku 1848 organu zachowawczego p. t. Polska. Oto jak sławił Meciszewski zasługi Gutha w Krakowie:

Już nie żyje, zabity, Guth słodki, Guth grzeczny,
Guth co szczęściu Krakowa poświęcił się cały,
Co w swej ku temu miastu miłości statecznej,
Najczystsze, policyjne, niósł mu w hołd zapały;
Guth dyplomat, co pięknie po francusku gadał,
Guth ksiądz nowy, co batem i głodem spowiadał,
Guth uczony, co dzieciom dbały o ich głowę
U Bernardynów szkoły pootwierał nowe;
Prawodawca, co ludzkie chcąc poprawić plemię
W ustawie policyjnej, której był autorem
I która późnym wiekom będzie ad hoc wzorem,
Umieścił niezrównany rozdział o Zmimie,
Guth wybawca, co Kraków po niemałym znoju
Oswobodził nareszcie z Jakobinów roju,
Co tyle spisków wykrył, towarzystw wyśledził,
Co się z buntownikami w dzień i w nocy biedził,
Byle tylko ten Kraków, wolny i swobodny,
Mógł zasypiać spokojnie, mniejsza chociaż głodny.
Ten Guth, co na cześć jego bito metal z cyny,
Co austryackie u nas potroił wawrzyny
I co za te zasługi miał właśnie przy dworze
Zostać lub szambelanem, lub czem więcej może,

Ten sam nasz urządziciel Guth niezapomniany,
Już nieborak nie żyje, już zamordowany!

Niemniej złośliwie opisał Meciszewski w dalszym ciągu swej ody dawniejszą karyerę urzędową Gutha:

Bohater nasz szczęśliwy przy potężnych plecach,
Doszedł naprzód zaszczytu, choć jeszcze tak młody,
Że w zimie w cyrkularnych palił Niemców piecach
I urzędową miotłą sam zamiatał schody,
Jak się potem wyuczył czytać abecadła,
Jak go urzędowania raz chętka napadła,
Jak temperował pióra samemu staroście,
Jak przy jego protekcyi właśnie jak po moście
Został naprzód skromniutkim koncepspraktykantem
Potem supernumerem — landkreisauskultantem,
Nareszcie kancelistą i to aktualnym,
Jak potem, gdy pomiędzy hałastrą kolegów.
Odznaczył się talentem tajemnych przeszpiegów,
Zrobiono go adjunktem magistratualnym;
Jak wreszcie, gdy w trzydziestym, ile pomnę, roku,
Zanosiło się jawnie w Królestwie na burzę,
Jego czujnej opiece i bacznemu oku,
Oddano miasto wolne, handlowe Podgórze.

Opiewany rymami przez przyszłego redaktora Polski dyrektor krakowskiej policyi krwawo w całem tego pojęcia znaczeniu zapisał się w pamięci tamtejszej młodzieży. Znanym był w całem mieście fakt oburzającego okrucieństwa z jego strony, gdy podejrzanemu o zamordowanie szpiega Czelaka uczniowi, Antoniemu Lewickiemu, w ciągu jednej nocy kazał wyliczyć czterysta rózg dla wydobycia z niego potrzebnych do śledztwa zeznań. Nie dość jednak na tem. Oto w toku indagacyi obwinionych o współudział w tajnej organizacyi uczniów nie wahał się przemyślny Guth fałszować protokołów, spisywanych z uwięzioną młodzieżą. A czynił to w sposób tak bezczelny, iż w końcu nawet członkowie sądu zjazdowego, złożonego przez dwory opiekuńcze, uznali za stosowne zwrócić uwagę władz austryackich na postępowanie Gutha, który miasto spodziewa-

nych nagród, przeniesiony został na stanowisko komisarza do Przemyśla.

Zręczniejszym od niego był sprowadzony umyślnie z Sambora Ignacy Zajączkowski, który miał reputacyę najsprytniejszego inkwizytora w sprawach politycznych. Samowolność Zajączkowskiego zakwitła zwłaszcza w całej pełni podczas kadencyi sądu zjazdowego, któremu przewodniczył radca apelacyjny Herold ze Lwowa. Herold, człek dobroduszny, nie grzeszył wcale energią, przysłany z Prus asesor Szulce nie rozumiał ani jednego słowa po polsku, podobnie jak przybyły z Warszawy sędzia apelacyjny, Brzeziński, nie władał wcale językiem niemieckim. Główny przeto kierunek procesów politycznych spoczął w rękach Zajączkowskiego, który rozłakomiony na podwójne dyety, przewlekał sprawy bez końca, wymyślając najbardziej fantastyczne spiski i knowania. Relacyami swemi umiał tak dalece zaintrygować władze galicyjskie, że polecono mu pozostać i po skończonej kadencyi sądowej w Krakowie, skąd alarmował bezustannie sąd apelacyjny lwowski, domagając się uzupełniania, lub też wznawiania rozmaitych śledztw politycznych. I Zajączkowskiego nie minęła, jak wiadomo, zasłużona kara, gdyż padł w dniu piątym listopada 1847 roku od kuli skrytobójczej na krakowskich plantach.

Od ponurych tych widoków odwróćmy oczy ku humorystycznym epizodom z dziejów karzącej władzy w Krakowie. Dostarczała pod tym względem sporo materyału miejscowym dowcipnisiom — cenzura. Wprawdzie artykuł końcowy konstytucyi z 1818 roku, zastrzegł wyraźnie wolność druku w republice, lecz czynił rzeczone postanowienie zależnem od uchwalenia kodeksu kryminalnego. Ponieważ atoli do końca bytu rzeczypospolitej komisya prawnicza nie zdobyła się na odrębną ustawę karną, przeto obok kodeksu karnego, austryackiego, istniała też przez całe trzydziestolecie cenzura, okaz zaiste niezwykły w republice. Cenzorem przez długie lata był Konstanty Majeranowski, redaktor «Pszczółki Krakowskiej», oraz autor sceniczny, nader płodny. O ile jednak sam w swych

utworach opracowywał przeważnie tematy patryotyczne — acz w sposób wielce wstrzemięźliwy — o tyle był surowym dla innych kolegów po piórze. O nim to wyraził się Meciszewski w swej odzie:

Kostuś Cenzor, bardzo przyjemny mężczyzna,
Co z mowy naszej zmazał to słowo: Ojczyzna,
Który twierdzi, że pisać po polsku to zbrodnia...

I same postanowienia cenzuralne, obowiązujące w republice, grzeszyły trudną do pojęcia niekonsekwencyą i sprzecznościami. I tak: księgarz, otrzymawszy transport książek i druków otwierać mógł takowe jeno w obecności cenzora, a dopiero za jego aprobatą książka mogła się ukazać w handlu. Tożsamo wszystkie miejscowe druki i dzieła sztuki, wystawiane na scenie, podlegały kontroli cenzora, który w każdej chwili na zasadzie otrzymanej denuncyacyi mógł zarządzić rewizyę księgarni. Wyjątek pod tym względem stanowiły jedynie książki i gazety, sprowadzane za pośrednictwem kantoru poczty pruskiej, istniejącego w Krakowie. Pakietów tą drogą sprowadzanych nie miał prawa cenzor otwierać. Kto więc chciał, mógł za pośrednictwem Prusaków otrzymać każde dzieło, nawet zabronione w Prusiech, gdyż przesyłki księgarskie, wysełane z Anglii, Francyi, Hanoweru, oraz z innych prowincyj niemieckich wędrowały transito i nieotwierane na miejsce przeznaczenia.

Gorliwość cenzury w traktowaniu dzieł scenicznych zakrawała niekiedy na śmieszność. Gdy pewnego razu goszcząca w Krakowie trupa niemiecka Burghausera, zapowiedziała przedstawienie szyllerowskiego «Wilhelma Tella», cenzor zgodził się zrazu na reprezentacyę tego utworu. Przed przedstawieniem wszakże rozmyślił się inaczej i wykreślił z egzemplarza wszystkie ustępy, w których znajdowały się słowa: Vaterland i Freiheit! W trzy dni później tensam cenzor z błogim na twarzy uśmiechem przysłuchiwał się marsyliance, użytej jako przygrywka do popularnego wówczas wodewilu pod tytułem «Tambor Rataplan»...

Nie mniej ciekawymi od dziejów sądownictwa rzeczypo-

spolitej krakowskiej były losy jej miniaturowej armii, zwanej milicyą, której przeznaczeniem było przedewszystkiem utrzymanie pokoju i bezpieczeństwa publicznego w obrębie wolnego miasta i należącego do niego okręgu. Artykuł dwudziesty drugi konstytucyi Rzeczypospolitej mówił wyraźnie o stworzeniu milicyi miejskiej, której komendę wraz z dowództwem żandarmeryi piastować miał wyższy oficer z wojska liniowego.

Zawiązek milicyi krakowskiej przedstawiał oddziałek z czterdziestu ludzi złożony, którego formacyę nakazały dwory opiekuńcze zaraz w pierwszej chwili niezależnego bytu Rzeczypospolitej. Skoro jednak ogłoszono werbunek do szeregów milicyi, która pierwotnie składała się z 272, a następnie, (wraz z żandarmeryą), 340 ludzi, nie brakło ochotników, zwłaszcza uprawnionych do podoficerskiego stopnia. Prócz rozbitków z armii napoleońskiej, znaleźli się na tamtejszym bruku także zubożali mieszczanie krakowscy, którzy wstąpiwszy w roku 1809 w szeregi gwardyi narodowej, zostali następnie odkomenderowani do Zamościa, wbrew przyrzeczeniu używania tego korpusu jedynie w miejscu zamieszkania jego członków. Zamknięci w murach fortecy, wytrzymali w roku 1813 kilkomiesięczne, ciężkie oblężenie, w ciągu którego wielu z nich straciło życie, inni zdrowie. Gwardziści ci po zdjęciu oblężenia powrócili w mury rodzinnego miasta, nie mając na razie żadnego mienie i z uczuciem najżywszej radości pospieszyli do formującej się milicyi, dowodzonej tymczasowo przez dawnego komendanta krakowskiej gwardyi narodowej, Wojciecha Mączyńskiego. Korpus oficerski składali również oficerowie dawnej służby: Benda, Gordon, Gralewski, Księżarski, Łaszkiewicz, Linowski, Mądrzykowski, Nitkowski i Jan Przybylski. Pierwszym komendantem milicyi zamianował senat miasta Krakowa pułkownika Karola Gordona. Nominacya ta, ogłoszona w lutym 1816 roku, doznała w mieście nader przychylnego przyjęcia, gdyż Gordon, wywodzący się z rodziny szkockiej, osiadłej oddawna w Polsce i obdarzonej indygenatem, cieszył się ogólnym szacunkiem i sympatyą. Liczył on już podówczas lat sześćdziesiąt i siedm, a służbę wojenną rozpoczął

jeszcze w roku 1766 w pułku Raczyńskiego, w którym od stopnia podchorążego dosłużył się po dwudziestu ośmiu latach rangi pułkownika. Na czele dziewiątego pułku piechoty bił się Gordon w rewolucyi Kościuszkowskiej, a w czasie oblężenia Warszawy, w sierpniu 1794 r., odniósł ciężkie rany, które go zmusiły do opuszczenia czynnej służby. Kościuszkowski ten weteran, łagodny i dobroduszny, kochany był przez podwładnych, widzących w nim raczej ojca niż komendanta. Zajął się jednak szczerze powierzonem mu zadaniem i już w czerwcu 1816 r. milicya krakowska w całym rynsztunku asystowała podczas uroczystości wjazdu biskupa Woronicza na katedrę krakowską. Trudniej nieco poszło z organizacyą żandarmeryi konnej, gdyż od kandydatów, prócz nienagannego prowadzenia się i umiejętności czytania, oraz pisania, wymagano posiadania własnych koni. Żandarm miejski pobierał 690 złp., żandarm wiejski 600 złotych polskich rocznego żołdu, prócz dochodów ubocznych z egzekucyi podatków i z szarwarków. Oddział żandarmeryi składał się z trzydziestu dwóch ludzi.

Nie wiadomo, czy uciążliwa służba w milicyi, czy niski żołd, czy też reformacya wojsk Królestwa kongresowego pod wodzą wielkiego księcia Konstantego były przyczyną, iż po upływie już pierwszych kilku miesięcy w szeregach tego korpusu dało się odczuwać pewne zniechęcenie. Mnożyły się podania o uwolnienie ze służby, zdarzały się nawet wypadki zbiegostwa. Smutny ten objaw był przyczyną, dla której już w lipcu 1816 roku rząd rzeczypospolitej widział się zmuszonym do wydania ustawy, zarządzającej przymusowy pobór do milicyi. Z wyjątkiem kleru, urzędników publicznych, profesorów, uczniów i — żydów, każdy obywatel rzeczypospolitej, w wieku od lat dwudziestu do dwudziestu sześciu, był obowiązany do służby wojskowej. Wyciągający czarną gałkę obowiązany był do czteroletniej służby w milicyi, albo też dać musiał za siebie zastępcę, za którego jednak był odpowiedzialny w przeciągu czterolecia. Umundurowanie milicyantów przypominało uniform wojsk Księstwa warszawskiego. Furażerkę, surdut i pantalony nosili gra-

natowe, płaszcze szare. Od parady służył im kaszkiet rogaty z białym, włosiennym pomponem, zaś grenadyerom niedźwiedzie bermyce. Broń stanowił karabin z bagnetem, noszony wraz z ładownicą na skórzanych, kredą pobielonych pasach. Koszary milicyi mieściły się na Wawelu, główna strażnica w budynku, istniejącym u podnóża wieży ratuszowej. Podczas publicznych występów towarzyszyła milicyi muzyka janczarska, złożona z dziewiętnastu muzykantów. Na jej utrzymanie składały się pierwotnie datki korpusu i osób prywatnych, a następnie subwencya rządowa.

Tak przedstawiała się siła zbrojna rzeczypospolitej w pierwszych latach piętnastu jej organizacyi. Po starym Gordonie, zmarłym w grudniu 1820 roku, objął dowództwo milicyi Wojciech Mączyński również kościuszkowski weteran, potomek zubożałej rodziny patrycyuszowskiej, trudniącej się z ojca na syna handlem win. Mączyński był jedną z ofiar oblężenia Zamościa, zkąd powróciwszy zastał swoją winiarnię w ruinie. To też oddaniem komendy milicyi, chciano go wyratować z kłopotów majątkowych, ale szczupła płaca dowódcy tego korpusu, wynosząca pięć tysięcy złotych polskich, nie zdołała zabezpieczyć starego wojaka przed natarczywością wierzycieli, którzy w końcu sprzedali domostwo Mączyńskiego w drodze publicznej licytacyi. Mączyński zmarł w maju 1831 roku, lecz już przed zgonem komendę korpusu musiał podzielić z majorem, Michałem Mądrzykowskim, swoim następcą. Mądrzykowski bił się niemal od dziecka. W dziewiętnastym roku życia, uciekłszy z domu rodzicielskiego, walczył pod rozkazami Bonapartego, by na pobudkę legionów tem rychlej pospieszyć i pod ich sztandarami był na San Domingo, w szeregach legii nadwiślańskiej odbył całą kampanię hiszpańską i dopiero po roku dwunastym osiadł na emeryturze w Krakowie. Żołnierz z krwi i kości, służbista, tęgi organizator, pożądanym był wielce nabytkiem w milicyi, w której ofiarowano mu początkowo stopień kapitana. Awansował kolejno na majora, komendanta placu, szefa żandarmeryi, by po śmierci Mączyńskiego objąć naczelne dowództwo.

Zmarł jednak skutkiem cholery w dni kilkanaście po swym poprzedniku, właśnie w chwili, gdy energia jego mogła najznaczniejsze miastu oddać usługi.

Z chwilą bowiem złożenia władzy przez prezesa senatu Stanisława Wodzickiego, w grudniu 1831 roku, zapanowało w rzeczypospolitej krakowskiej bezprezesostwo. Funkcye naczelnika rządu pełnili kolejno członkowie senatu, zaś nad bezpieczeństwem miasta czuwała gwardya narodowa wraz z milicyą pod wspólnem dowództwem Józefa hr. Wodzickiego, cieszącego się wielką popularnością wśród ludności. Osobnego dowódcy milicyi nie mianowano i dopiero z wiosną 1833 r., po ustanowieniu Kaspra Wielogłowskiego przezesem senatu, nastąpiła ponowna organizacya tego korpusu, w którym odżyły tradycye armii Królestwa kongresowego.

Komendę milicyi objął podpułkownik Józef Soczyński, który żołnierskiego chleba zakosztował jeszcze w Hiszpanii w roku 1809, zaś akuratności w służbie uczył się pod księciem Konstantym w pułku grenadyerów gwardyi. Soczyński, przybrawszy sobie do pomocy kapitana strzelców pieszych, Jana Czerwińskiego, zreorganizował milicyę, w skład której, oprócz żandarmeryi, przebranej na wzór czwartego pułku strzelców konnych, wchodziły: kompania policyjna, (124 szeregowców), odznaczająca się niskimi kaszkietami na kształt marynarzy francuskich, tudzież dwie kompanie milicyjne, (po 133 szeregowców), wraz z muzyką, (19 ludzi). Grenadyerzy, oprócz bermyc, otrzymali szlify czerwone, woltyżery zielone. Nadto woltyżery i filizyery nosili białe rabaty na piersiach. Podobne rabaty: granatowe i białe służyły oficerom do mundurów służbowych i paradnych, zaś muzyka w stosowanych kapeluszach o czerwonych pomponach, w mundurach granatowych z rabatami ponsowymi, suto naszywanymi srebrem, przypominała kapelę słynnej gwardyi wallońskiej. Kapelmistrzował jej dzielny muzyk, Nowakowski. Kompaniami dowodzili kapitanowie, mający pod rozkazami: porucznika, podporucznika, dwóch sierżantów, dwunastu kaprali i dwóch doboszów, zaś na czele

korpusu podczas uroczystych pochodów postępowało trzech brodatych, rosłych saperów w skórzanych fartuchach na piersi.

Wówczas to w gronie starszyzny milicyi, znaleźli chwilowe pomieszczenie oficerowie z rewolucyi listopadowej: jak napoleończyk, major Wincenty Jordan, podporucznicy Rudnicki i Bogusławski. Świetne te czasy korpusu nie trwały wszakże zbyt długo. Zamordowanie szpiega Pawłowskiego w styczniu 1836 roku, oraz nagromadzenie wychodźców z innych dzielnic Polski w Krakowie, spowodowały w lutym tegoż roku zajęcie terytoryum rzeczypospolitej przez wojska austryackie, rosyjskie i pruskie. Milicyę po odbytej na Wawelu defiladzie rozbrojono. Oficerowie, z Soczyńskim i Jordanem na czele, otrzymali dymisyę, zaś szeregowców, wziętych pod klucz badali audytorowie austryaccy. Biedaków, którzy okazali się zbiegami z armii austryackiej, odstawiono w łańcuszkach na Podgórz, gdzie ich pędzono przez kije, zaś obcokrajowców wydalano do miejsca urodzenia.

Równocześnie organizował jenerał Kaufman nowy korpus milicyjny, złożony z dawnych milicyantów, urodzonych w Krakowie, oraz z wysłużonych żołnierzy, tudzież z austryackich oficerów. Postawiony na czele milicyi, były oficer armii cesarskiej, Józef Hohlfeld, zamianowany podpułkownikiem, zapełnił rychło wszystkie stopnie swymi dawniejszymi towarzyszami. Ale kije, które w ówczesnym systemie karności armii austryackiej tak ważną odgrywały rolę, wystraszyły w arcykrótkim czasie resztki krakowskiej dziatwy z szeregów korpusu, liczącego w roku 1845 głów 553. Wówczas Hohlfelda zastąpił na stanowisku komendanta milicyi major wojsk austryackich, Ludwik Czala, który dobrze zapisał się w pamięci Krakowian podczas rozruchów lutowych 1846 roku. Zakrywając zagadkowy odwrót jenerała Collina, cofającego się na Podgórz prawie bez walki wobec garstki powstańców, strzelała milicya krakowska do bezbronnego ludu, gdyby do nieprzyjaciela.

Był to jej chrzest ogniowy, a zarazem ostatni, tyle krwawy popis, gdyż w dniu jedenastym listopada 1846 roku rzecz-

pospolitą krakowską wykreślono z rzędu państw udzielnych Europy.

Od przykrych tych wspomnień powróćmy do weselszych reminiscencyi, których treścią jest życie towarzyskie podwawelskiego grodu za czasów jego udzielności.

Co prawda i wówczas życie towarzyskie Krakowa cechowała pewna wyłączność, której ślady dziś jeszcze dają się odczuwać na tamtejszym bruku. Ludność wolnego miasta dzieliła się zawsze na dwa wrogie obozy, rozpadające się na mnóstwo swarliwych koteryj. Więc też mimo wielu prób, czynionych przez ludzi dobrej woli, panował między mieszkańcami Krakowa rozdział towarzyski, wielki i zupełny, objawiający się nietylko w rozrywkach wszelkiego rodzaju, lecz wpływający niejednokrotnie na ich sądy w sprawach publicznych. Niezbyt liczne zaludnienie ówczesnego Krakowa uwydatniało jeszcze bardziej ową różnicę, która zachodziła między arystokracyą rodu i pieniędzy a stanem średnim. Arystokracyę składali okoliczni ziemianie, przebywający stale w Krakowie dla wychowania dzieci, młodzież zasobna, żądna zabawy, wreszcie ci wszyscy, którym fundusze posiadane pozwalały przepędzać życie w słodkiej bezczynności. Szczęśliwi ci wybrańcy fortuny tworzyli ściśle zamknięte koło, do którego wstęp był wzbroniony wszelakim parweniuszom. Koło owe nie posiadało ustaw pisanych, regulaminów klubowych, mimo to jednak z nieubłaganą konsekwencyą przestrzegało zasady wyłączności swej i z lekceważeniem spoglądało na gmin pracujący, który im owe uczucie z nadwyżką odpłacał. Istniały wprawdzie pod tym względem wyjątki, że wspomnieć tylko wypadnie o Arturze Potockim lub o Józefie Wodzickim, cieszących się nadzwyczajną popularnością i sympatyą wśród wszystkich klas społecznych Krakowa, ale wyjątki te pozostały jedynie — wyjątkami. Od samego początku istnienia rzeczypospolitej krakowskiej zarysowały się w jej łonie dwie partye: arystokratyczna, grupująca się koło osoby pierwszego prezesa senatu, Stanisława Wodzickiego i dla tego zwana pierwotnie prezesowską — i miejska,

złożona z zamożniejszych kupców, profesorów i adwokatów. Obie te partye walczyły z sobą nie tylko w izbie prawodawczej i w sprawach publicznej natury, lecz współzawodniczyły na każdym kroku, w drobiazgach, śmiesznostkach nawet, starając się przewyższyć magnackie przyjęcia pod względem okazałości i przepychu.

To właśnie sadzenie się w przyjęciach nad stan i możność było drugą, nie mniej ważną przyczyną, hamującą rozwój życia towarzyskiego w starym Krakowie. «O pożyciu towarzyskiem w tem mieście da się tyle powiedzieć co o kulturze jedwabników, lub o gajach cytrynowych w północnej Syberyi» — powiedział w r. 1844 kupiec tamtejszy, Rudolf Kämpf, autor bezimiennie wydanego dziełka p. t. *Krakau und ein Blick über seine Gränzen*. Antor ów, prawdopodobnie Prusak z rodu i z przekonań, poddawszy bezwzględnej krytyce stosunki, panujące w podwawelskiej republice, krytykował zjadliwie acz nie bez podstawy narodową naszą przywarę: życie nad stan. «Przy okazyach» — pisze Kämpf w swem dziełku, — «gdy się zejdą sami najbliżsi znajomi, kobiety występują w odświętnych strojach. Od stóp do głowy wszystko musi być nowe. Dwa razy ukazać się w tej samej toalecie byłoby hańbą. Zdarzą się w polskim domu goście, wówczas pojawiają się na stole najwybredniejsze przysmaki i najdroższe wina. Ludzie, mający pięćset talarów rocznego dochodu, nie chcą dać się wyprzedzić milionerom i wydają na jedno przyjęcie gości więcej, aniżeli przez ćwierć roku są w stanie zarobić. Po biesiadzie zabierają się do kart. Gry hazardowne są ulubione przez Polaków, którzy im poświęcają chętnie grosz ostatni. Bardzo popularnym jest «lancknecht,» który zwie się tutaj «dyabełkiem.» Bywałem często świadkiem, jak w ciągu wieczora przegrywali w «dyabełka» ośm do dziesięciu tysięcy złotych ludzie, którzy mogliby lepiej użyć tych pieniędzy»...

Tyle słów Kämpfa. Być może, kreślił on obraz powyższy zbyt jaskrawemi barwami. W każdym jednak razie mniejsza lub większa wystawność przyjęć nie przyczyniała się do oży-

wienia ruchu towarzyskiego. Toż samo bale publiczne podczas karnawału odbywały się dość rzadko. Panie występowały na tych zabawach w okazałych strojach, na których sprawienie nie jeden sprzęt domowy odbywał wędrówkę do lombardu. Prócz resursy, dostępnej jedynie dla kółka arystokratycznego, rząd rzeczypospolitej nie pozwalał na założenie jakiegokolwiek klubu lub kasyna ze względów politycznych. Tak więc całe życie krakowskiego mieszczaństwa kupiło się w Towarzystwie Strzeleckiem. Towarzystwo to, zawiązane w roku 1831, pierwotnie miało cele ściśle humanitarne: ratowanie rannych i cholerycznych, oraz rozdawnictwo zupy rumforckiej ubogim. Później dopiero, w roku 1833 zatwierdzone formalnie przez senat, przyjęło Towarzystwo Strzeleckie obyczaje dawnej konfraterni strzelców krakowskich, datującej się od roku 1565 a rozwiązanej po upadku rewolucyi Kościuszkowskiej przez Prusaków. Atoli wyznaczona przez władzę siedziba strzelców, stały pałac i ogród królewski w Łobzowie, nie sprzyjały z powodu zbytnej odległości od miasta częstszym zebraniom. Pierwszym królem kurkowym we wskrzeszonej konfraterni był oberzysta Maciej Knotz, drugim senator Leopold Wasserab, trzecim zamożny kupiec towarów sukiennych, Józef Louis. On to odbył w czerwcu 1836 roku ostatni pochód z Łobzowa do miasta. Ceremoniał tego obrzędu był następujący: Po wyborze króla, oprowadzano nowego dygnitarza w ogrodzie łobzowskim wśród odgłosu muzyki i salw moździerzowych. Następnie odbywała się uczta w wyporządzonych na prędce salach starego pałacu, w której, prócz strzelców, uczestniczyli zaproszeni dygnitarze. Gdy noc zapadła, rozpoczynał się pochód do miasta przy świetle pochodni. Otwierała korowód żandarmerya, torująca drogę, za nią postępowała kapela milicyi, poprzedzając oczak strzelców, maszerujący z bronią na ramieniu. Za strzelcami kroczył król z historycznym, srebrnym kurem, zawieszonym na piersiach, w towarzystwie obu marszałków, dzierżących buławy jako oznakę swej godności. Zaproszeni goście zamykali ów orszak, który

przez miasto podążał do mieszkania króla, gdzie odbywał się dalszy ciąg biesiady, oblewanej sowicie starym węgrzynem.

Louisowi zawdzięczało Towarzystwo strzeleckie dzisiejszą swą, wygodną siedzibę. On to nabył z własnych funduszów ogród, tak zwany, Steinkellerowski na Wesołej, gdzie już w październiku 1837 roku odbyła się uroczystość instalacyjna nowej strzelnicy. Strzeleckie bale, pikniki i polowania, miały ustaloną reputacyę w podwawelskim grodzie, gdyż kupcy krakowscy słynęli z zamożności. Obok zabaw strzeleckich, wielce uczęszczane przez klasę średnią były reduty czyli — jak je wówczas nazywano — maszkarady, odbywające się w salach Krzysztoforów lub w oberży Knotza. Zastępowały one wielkopańskie kuligi i kosztowne bale kostyumowe a ton przyzwoity i elegancya, panujące na tych zebraniach, sprawiły, że bywali na nich wszyscy, starzy i młodzi, intrygując się wzajemnie pod zasłoną maski. Kwitnął nawet w owych czasach osobny rodzaj poezyi redutowej, kultywowanej przez grono wesołej młodzieży, która rozrzucała w sali satyryczne wierszyki, wymierzone zarówno przeciw śmiesznostkom i przywarom osób prywatnych jak i przeciw figurom rządowym. W jednej z tego rodzaju poezyi Konstanty Majeranowski, autor dramatyczny, poeta i cenzor urzędowy zaliczony został między

...nisko kwieciste zioła,
Z których miodek zbiera pszczoła,
I przyjemny majeranek
Ten luby kiełbas kochanek!

Wzmianka o kiełbasach nasuwa nam pod pióro opis kulinarnych uroczystości, zebrań smakoszów na proszonych obiadach, wyprawianych przez senatorów, kanoników i profesorów uniwersytetu. Obiady u Straszewskich i Woźniakowskich były świętem dla amatorów dobrej kuchni i piwnicy. Obiadami również urzędowymi święcono ważniejsze daty w dziejach rzeczypospolitej, w liczbie których figurowały urodziny cesarzów Franciszka I. oraz Ferdynanda, imieniny króla pruskiego i cara Aleksandra, jako opiekunów republiki krakowskiej. W pier-

wszych latach jej istnienia, gdy rezydentem wiedeńskiego dworu w Krakowie był hr. Sweerts-Spork, okazałością odznaczały się przyjęcia wyprawiane dla sfer oficyalnych w dniu szesnastym lutego, jako w rocznicę urodzin Cesarza Franciszka. W podzięce za życzenia, składane dla jego pana, wyprawiać zwykł hrabia świetny bal, na którym po kilkaset zaproszonych gości hasało zazwyczaj do świtu. Hrabia Sweerts-Spork był człowiekiem młodym, wytwornych manier, ulubieńcem pań, nie dziw przeto, iż w ruchu towarzyskim Krakowa sympatyczną i znaczącą odgrywał rolę. Wręcz odmiennego kroju figurą był rezydent pruski, baron Reibnitz, który skromne fundusze, wyznaczone mu na reprezentacye, tracił na hulanki w nienajlepszych towarzystwach, za gratulacye zaś, składane w dniu imienin króla pruskiego, wywzajemniał się niewielkim jakim datkiem na rzecz Towarzystwa Dobroczynności. Najświetniej jednak obchodzono w podwawelskim grodzie imieniny cara Aleksandra, uważanego za głównego twórcę i protektora rzeczypospolitej. W dniu carskich imienin, jedenastym września, święcono też, począwszy od roku 1818, uroczystość nadania rzeczypospolitej konstytucyi. Już o świcie muzyka milicyi poranną pobudką budziła ze snu mieszkańców. O godzinie dziesiątej przed południem z gmachu przy kościele świętego Piotra, w którym była siedziba senatu, wyruszał pochód do kościoła Maryackiego. Za muzyką postępowały kompanie milicyi pieszej, żandarmerya, cechy, władze i tłumy ludności. Podczas nabożeństwa dawni artylerzyści dawali ognia ze starej szmigownicy oraz z trzech armatek, tworzących całą artyleryę rzeczypospolitej. Zabawa ludowa rozpoczynała się dopiero o godzinie piątej popołudniu. Zamykano wszystkie sklepy i warsztaty. Tłum gromadził się na plantach, gdzie w osobnym namiocie rozdawano ludowi wódkę i piwo, kiełbasy, ser owczy i owoce. Chłopcy wspinali się po dziesięciosążniowym słupie dla zdjęcia zawieszonych u szczytu: pary butów, czapki, butelki wina lub kwoty dwudziestu pięciu złotych polskich. O zmroku następowała illuminacya całego miasta i wieży maryackiej lampkami łojowemi,

koncert muzyki milicyjnej przed strażnicą, wreszcie przedstawienie okolicznościowe w teatrze. Na zakończenie uroczystości stary ogniomistrz, p. Zawrzał, zapalał na plantach ognie sztuczne, kończące się fajerwerkiem, przedstawiającym herb miasta Krakowa. Z okrzykiem: Wolne miasto się pali! — ciągnęły tłumy gawiedzi pod rezydencyę senatu, skąd przy odgłosie pożegnalnego krakowiaka, odgrywanego przez kapelę, rozchodziły się do domów.

Obok tych festynów, że się tak wyrazimy, urzędowych, miewał stary Kraków latem swe tradycyjne rozrywki, jak rozdawanie resztek święconego na górze Lasoty w trzeci dzień Wielkiej Nocy, wycieczki w dniu trzecim września na górę Bronisławy, wędrówki na kopiec Wandy podczas Świętokrzyskiego odpustu w Mogile, lub na Bielany w Zielone Święta. Zabawki te, i dziś jeszcze będące w zwyczaju, nie wchodzą w ramy naszego opowiadania. Natomiast ogólna wędrówka uczniów szkół krakowskich, pozostających pod naczelną władzą rektora Jagiellońskiej *Almae Matris*, była jedną z właściwości starego Krakowa. Już na dni kilka naprzód obchodził rektor klasy liceum nowodworskiego powtarzając rokrocznie tę samą przemowę: Po pracy potrzebnem jest wytchnienie i skromna rozrywka. W nagrodę przeto dobrego sprawowania się waszego i pilności w naukach, będziecie mieli majówkę. Jutro więc zejdziecie się rano przed Kapucyny a ztamtąd udacie się na Bielany. Przygotujcie się zatem, zachowajcie się przyzwoicie a pojutrze daję wam rekreacyę. — Dziękujemy! — Dziękujemy! — radośnym chórem odpowiadali uczniowie, którzy resztę dnia poświęcali gorączkowym przygotowaniom około nagromadzenia wiktuałów na całodzienną wycieczkę. W zapasie prowiantów główne zajmowały miejsce babki z migdałami i z rodzynkami, sprzedawane przez piekarza, czecha, pod Dominikanami, serki owcze, serdelki i bułki z masłem, któremi objuczeni malcy już o świcie dążyli na plac Kapucyński. Pierwsi stawali na miejscu zboru szczęśliwi wybrańcy losu, którym w udziale dostawał się zaszczyt niesienia sztan-

darów klasowych. Później nadciągała muzyka milicyi krakowskiej, uczniowie szykowali się w pary i na znak dany ruszali w pochód pod przewodnictwem profesorów. Pieśń studencka, rozpoczynająca się od słów:

Wstawajmy bracia w szeregi,
Już dzień nadszedł pożądany,
Oto widać Wisły brzegi,
Ujrzymy wkrótce Bielany!

rozlegała się po błoniach z setek młodych piersi. Po każdej zwrotce przygrywała muzyka, warczały bębny, przy których odgłosie kroczyła młodzież przez Zwierzyniec na Bielany. Z chwilą, gdy pochód stanął przed świątynią klasztorną, cichnął gwar wesoły. Następowała msza święta, podczas której młodzież przy odgłosie muzyki nuciła prastary hymn szkolny:

Inclytum regni, columen Poloni,
Magne Doctorum Pater Almae Canti!
Lechicos inter radians, Patronos
Posce Tonantem!

Po nabożeństwie śniadano, zwiedzano kościół, ogród przyległy i właściwy erem klasztorny, poczem następowały zabawy pod dozorem profesorów. Choć wówczas nie słyszano jeszcze o prawidłowej nauce gimnastyki, nie brakło wśród uczniów śmiałków, wdrapujących się z prawdziwie kocią zwinnością na najwyższe drzewa, przerzucających się z gałęzi na gałąź. Inni znów na rękach chodzili, lub założywszy w tył ręce, podnosili z ziemi drobne przedmioty ustami, inni wreszcie długą żerdź, opartą na zębach pionowo, obnosili wokoło. Dla młodszych uczniów najmilszą zabawa była gra w lisa, przy której nielubionych w klasie kolegów okładano bez litości pytką, podczas gdy starszyzna szkolna zabawiała się grą w piłkę, doprowadzaną nierzadko do prawdziwego mistrzowstwa. Trafiali się gracze, umiejący piłkę tak silnie podbijać palantem, iż gubiła się z oczu. Inni znów słynęli z zręczności w chwytaniu piłki, spadającej z największej wysokości. Ci nigdy nie chybiali uciekających, drudzy znów wybornie umięli unikać razów,

wny, klasa zaś rzemieślnicza zabawiała się najweselej na Prądniku białym i czerwonym w tamtejszych austeryach.

Nie brakło też Krakowianom humorystycznych postaci, o których krążyły przez długie lata formalne legendy. Taką figurą był antykwarz, Jan Drelinkiewicz, właściciel wąziuchnej kamieniczki w rynku. Chudy, łysy, był Drelinkiewicz sknerą, jakich mało i w końcu doprowadził do tego, iż sam zamieszkiwał swe domostwo, które zdala już zdradzało pustkę, szeregiem okien deskami zabitych. Zwano je ironicznie «domem Wierzynka» albo «gmachem redutowym». Drelinkiewicz obywał się oczywiście bez stróża, więc też psotnicy, chcąc go przymusić do przyjęcia odźwiernego, przywiązywali do dzwonka u bramy kawałek sadła, które psy targając w porze nocnej, alarmowały nieustannie skąpego gospodarza. Głośną w mieście, acz z innego względu, stała się osobistość Antoniego Szastra, lekarza i właściciela apteki «pod słońcem». Szastrowie przybyli do Krakowa w ośmnastym wieku z Francyi i pierwotnie ich nazwisko brzmiało Chastere. Mimo to jednak *vox populi* głosił, iż protoplastą rodu Szastrów był Słowak, olejkarz. Powtarzano nawet okolicznościową śpiewkę, osnutą na tym temacie a rozpoczynającą się od słów:

Przyszedł Szaster,
Dał mu plaster...

Co prawda, sam Szaster ośmieszył się w oczach mieszczańskiego ogółu, gdy wybrany w roku 1816 do senatu, nie miał nic lepszego do czynienia, jak wygotować wniosek, domagający się utworzenia odrębnej klasy patryczyuszów krakowskich, oraz utworzenia orderu dla zasłużonych obywateli. Świeżo upieczeni republikanie nie przebaczyli biedakowi tych niefortunnych pomysłów i ścigany na każdym kroku szyderstwem oraz drwinkami, musiał ambitny medyk zarzucić praktykę i zakopać się na wsi, gdzie też życia dokonał. Inny znów farmaceuta, Wojciech Like, właściciel apteki «pod koroną», osobistość zresztą w całem mieście poważana, był przedmiotem psot nie-

ustannych dla wyrostków, uczęszczających do liceum świętej Anny, którym się niepodobała jego pucułowata, wiecznie czerwona fizyonomia, wyglądająca nieustannie z aptecznego okna.

Wspomniany już poprzednio Rudolf Kämpf opowiada w swem dziełku o Krakowie przeróżne anegdoty. Z liczby tych historyjek najwięcej stosunkowo budzi interesu opowiadanie jego o laiku klasztornym, Marchewce, który porzucił przytułek w konwencie Bernardyńskim na Stradomiu, gdyż rozgłoszono w mieście, iż wygrał na loteryi dziesięć tysięcy talarów. Zaraz też rzekomy wybraniec fortuny znalazł mnóstwo przyjaciół, którzy się nim zaopiekowali, doradzając niedoświadczonemu braciszkowi jak najkorzystniejsze użycie wygranych pieniędzy. Marchewka żył sobie u nowych swych przyjaciół jak król, jadł, pił na ich rachunek i słuchał spokojnie owych propozycyj co do ulokowania wygranej sumy. W końcu przyparty do muru, musiał się zgodzić na zakupno zalecanego mu przez nieproszonych opiekunów domu. Udał się przeto wraz z nimi do rejenta, spisał akt kupna i poszedł po pieniądze do swego bankiera, by więcej nie wrócić... Rozgoryczeni przyjaciele oddali Marchewkę sądowi, który wszakże uznał niewinność ekslaika, gdyż nie on sam, lecz inny jakiś żartowniś miał być autorem wieści o wygranej. Cały Kraków śmiał się z oszukanych, a jeden z autorów dramatycznych osnuł na tem zdarzeniu fabułę swej komedyi. Utwor ten jednak nie ujrzał nigdy światła kinkietów z powodu zakazu władzy.

W ogóle żyłka satyrycznej poezyi była bardzo rozpowszechnioną wśród republikanów podwawelskich, a w przypisach do książki Kämpfa zwolennicy tego rodzaju literatury znaleść mogą wcale obfity zbiorek ulotnych utworów.

Od humorystyki drukowanej na ulotnych świstkach, wróćmy do postaci komicznych, wywołujących już za pojawieniem się wesołość wśród ulicznej gawiedzi. Taką figurą, uganiającą stale za pauprami po Małym Rynku, był stary cyrulik, znany pod popularnem mianem Fikasa, który przebrawszy miarę w trunku, strzelał z laski do księżyca, lub rozmawiał na cały głos z gwia-

zdami. Znały też i żywiły z litości przekupki krakowskie biednego emigranta, Francuza, Givaudona, paradującego od niepamiętnych lat w podartym fraku i w stosowanym kapeluszu, pani zaś Kraszewska z Kleparza, wiodąca nieustanne spory z policyą, zaliczała się również do znakomitości krakowskich *sui generis*.

Spokój monotonny potroszę, ale bardzo wygodny panował w starym Krakowie, w którym przeważna część ludności wyznawała w praktyce zasadę Voltaire'a: *Tout est pour le mieux dans le meilleur des mondes possibles...*

Ogniskiem życia towarzyskiego dla arystokracyi czasowo, lub stale przebywającej w Krakowie, była rezydencya Potockich «pod Baranami». Był czas, gdy gmach ten skupiał w sobie ognisko towarzyskiego życia całego Krakowa, gdy na salonach tamtejszych zbierał się nietylko kwiat arystokracyi miejscowej i przybywającej z innych dzielnic Polski, lecz także wszyscy znakomitsi cudzoziemcy, bawiący w przejeździe w dawnej królów stolicy, uważali sobie jako zaszczyt zaprosiny do tego domu, słynącego daleko i szeroko z swej wielkopańskiej gościnności. Czasy największej świetności rezydencyi «pod Baranami» przypadły na trzeci dziesiątek lat bieżącego wieku, gdy gospodarzyli w niej Arturowie Potoccy, choć same domostwo ma za sobą nierównie odleglejszą i obfitującą w ciekawe epizody przeszłość.

Wyjmiemy z niej jedynie główniejsze daty, ogłoszone w «Przechadzkach kronikarza po rynku krakowskim» w roku 1890. Anonimowy autor «Przechadzek», utrzymuje na podstawie ludowej tradycyi, iż dom Potockich był ongi gospodą, do której spędzano barany na rzeź lub sprzedaż przeznaczone. Stąd nazwa gospody oraz jej godło, przedstawiające dwa barany o jednej głowie. Godło owe, zdobiące facyatę budynku, dotrwało do lat ostatnich ośmnastego wieku i obecnie, w zmienionej postaci, przedstawiającej trzy głowy baranie, widnieje pod balkonem nad główną bramą wchodową. Trzy barany datują się od roku 1860. Dzisiejszy gmach obejmuje trzy dawne posiadłości

zamożnych rodzin mieszczańskich, złączone dopiero w siedmnastym wieku. W rzędzie właścicieli tych nieruchomości widzimy Kyslingów, Karnyowskich, Deciusów oraz Bekieszów i Wesselenyich. Kolejno też mieściły się w nich: księgarnia, drukarnia i handel win węgierskich. Pańską rezydencyą stał się dom «pod Baranami» z początkiem wieku siedmnastego, przeszedłszy na własność Ostrogskich a następnie Radziwiłłów i Wielopolskich. Za czasów utarczek z Barszczanami założył tam główną swą kwaterę słynny z okrucieństw, jakich się dopuszczał na swych podwładnych i konfederatach, pułkownik Drewicz. W lipcu 1809 roku gościł «pod Baranami» książę Józef Poniatowski, zaś w roku 1810 apartamenty tamtejsze zamieszkiwał król saski, Fryderyk August, jako wielki książę warszawski przybyły wraz z rodziną do Krakowa. Wówczas to na krakowskim bruku krążyła spiewka:

Stanął «pod barany»,
Vivat król kochany!
A barany: tryks, tryks,
Vivat królowa Beatryks!

W roku 1822 właścicielem domu «pod Baranami» został Artur hr. Potocki i od tego też czasu datuje się rozgłos tej prawdziwie magnackiej siedziby, która w dziejach towarzyskiego życia Krakowa tak ważną odegrała rolę. Artur, podobnie jak starszy od niego brat Alfred, był synem słynnego z uczoności i z ekscentryczności podróżnika, Jana Potockiego i Julii z Lubomirskich, głośnej z urody córki księżnej marszałkowej. Matka odumarła ich w dzieciństwie, gdyż zakończyła życie w roku 1794, ojciec zaś wcale nie troszczył się o wychowanie pozostałych sierot. Wyprawieni na naukę do Genewy i oddani pod dozór niesumiennego wychowawcy, nie wiele korzystali młodzi Potoccy z udzielanych im nauk. W końcu babka, księżna marszałkowa, zajęła się ich losem i umieściła obu braci w Wiedniu celem dalszej edukacyi. Skutkiem tego Alfred do końca życia nie władał poprawnie językiem ojczystym, co mu wszakże nie przeszkodziło w zaciągnieniu się w szeregi napoleońskie. Po-

wróciwszy do kraju z niewoli rosyjskiej, objął po babce wspaniały Łańcut a ożeniwszy się z Józefą Czartoryską, zasłynął niebawem jako wzorowy gospodarz. Wysoki, chudy, przystojny, odznaczał się gościnnością, którą umiał szczęśliwie połączyć z rządnością. Żona jego, hrabina Józefa, była majestatyczną pięknością. Wysoka, bruneta, wyniosła w obejściu, ubierała się wytwornie, lecz niechętnie ukazywała się w towarzystwach i do spraw majątkowych męża nie mięszała się wcale.

Wręcz odmienną parę małżeńską tworzyli hrabstwo Arturowie. Hrabia Artur po krótkiej służbie w wojsku austryackiem, przeszedł w szeregi armii księstwa warszawskiego i zaliczał się do grona adjutantów księcia Józefa. Podczas kampanii 1809 roku Aleksander hr. Fredro spotkał go w tym charakterze w głównej kwaterze w Trześni, gdzie też znalazła się deputacya ziemiaństwa galicyjskiego. «Nie spuszczałem oka» — pisze w swych wspomnieniach autor Zemsty — «z Artura Potockiego. Artur był to człowiek pełen honoru, dowcipu i dobroci a przytem zajmującej piękności. Ale dość było spojrzeć na jego rozpięty mundur, chustkę lekko zawiązaną, ładownicę przekręconą, pendent nie na miejscu, aby w nim poznać zepsute dziecko towarzystwa warszawskiego a razem i armii, bo wódz naczelny był członkiem tego towarzystwa. Zachował on był w postawie i w ruchu ową anglomanię, co wówczas ustępowała przed rubasznością obozową... Nie spuszczałem, powiadam, z oka Artura, który dla nieznośnego upału rozciągnął się jak długi na wiązce słomy, ale całkiem nagi. Wzgarda wszelkiej osłony tak w czynnościach, jak i w mowie, nawet tam, gdzie ta zdawała się być nieoddzielną częścią samej rzeczy — jakiś, by się tak wyrazić, cynizm fizyczny, były *conditio sine qua non* do osiągnięcia nazwy birbanta. Kto nim nie był w istocie, musiał udawać, inaczej trącił cywilistą. Taki mógłby być wprawdzie szanowanym, ale nigdy lubionym. Patrzałem więc z zadziwieniem na to *sans façons* Artura nawet w obec całej deputacyi galicyjskiej i zapisałem w notach: do naśladowania!»...

Tyle słów Fredry, które uzupełnić należy rysopisem gło-

wnego bohatera tej sceny. Artur Potocki imponującej był postawy. Twarz miłą, uśmiechniętą zawsze, ożywiały duże, niebieskie oczy, pięknie odbijające od ciemno szatynowych włosów. Szczery w obejściu i otwarty w obec przyjaciół, kochliwym był wielce za młodu i podobno cieszył się niezmiernem szczęściem u kobiet. Głośnym był jego stosunek z księżną Dominikową Radziwiłłową, słynną z urody. Chciał się nawet z nią żenić, ale stanowczy opór księżny marszałkowej przeszkodził temu związkowi, Potocki zaś w związku z Zofią Branicką, córką Ksawerego Branickiego i Engelhardtównej, znalazł nietylko dziedziczkę olbrzymiej fortuny, ale i idealną małżonkę. Hrabina Arturowa nie była piękną, ale bardzo miłą osobą i do męża nadzwyczaj przywiązaną. Na jej głowie spoczywał zarząd całego majątku, gdyż hr. Artur wszelkie rządy jej powierzył, biorąc od żony pieniądze nawet na drobne, bieżące wydatki.

Osiadłszy w roku 1822 na stały pobyt w Krakowie, stał się Artur Potocki duszą wyższego towarzystwa. Żołnierz napoleoński, o którego osobistej odwadze, wymowniej od zaszczytnych dekoracyj, świadczyły blizny w kampanii rosyjskiej odniesione, był hrabia wybornym jeźdzcem, łyżwiarzem zapalonym, dobrym znawcą obrazów a przedewszystkiem nieporównanym towarzyszem zabawy, świetnym *causerem*. Ubrany niby niedbale, ale zawsze wytwornie, uprzejmy dla wszystkich, był zarówno wyrocznią salonów, jak ulubieńcem ulicy, której względy umiał sobie zaskarbić uczestnicząc w corocznych wycieczkach Krakowian na wzgórze Bronisławy («Emaus») i w Rękawce, obchodzonej na mogile Krakusa. Zakupował wówczas całe stragany, pełne łakoci, owoców i jarmarcznych świecidełek, któremi darzył pauprów, otaczających go całemi hufcami. Nie poprzestawał wszakże na tej łatwej popularności, lecz przystępnym był dla wszystkich i gościnnym bez afektacyi we własnych progach. W dniach przyjęcia «pod Baranami», zwykł był hrabia grywać w bilar w pokoju wchodowym, by znaleść się w pogotowiu na przyjęcie gości, bez urzędowego na nich cze-

kania. Jakoż nikt z zaproszonych nie wszedł, by go gospodarz nie powitał i uprzejmem nie obdarzył słowem.

O towarzystwie krakowskiem z lat 1826 do 1829 i o ruchu, jaki w tych sferach panował, dokładne znajdujemy relacye w pamiętniku Ksawerego Preka, przebywającego w owym czasie w gościnie u Lubomirskich i u Arturów Potockich. Bal u prezesostwa senatu, Stanisławów Wodzickich, olśnił do tego stopnia wytwornego Puław wychowańca, iż zapisał w swym dzienniczku te słowa: «Gdybym chciał opisać piękności tutejsze, wielką bym w tem trudność znalazł. Wszystkie razem zajmują, każda z osobna posiada to, na czem drugiej zbywa. Ta ma postać wspaniałą, inna płeć jasną, tamta nóżkę malutką, u tej oczy żywe. Tę z lekkości do Zefira przyrównują, tamtej kibić na model brać można a ta się żywością odznacza».

W karnawale 1826 roku wspaniałe bale odbywały się u pani Tadeuszowej Czackiej, u senatorstwa Straszewskich i u słynnej z dowcipu pani Marcinowej Badeniowej, podejmującej świetne grono gości w swej zamiejscowej rezydencyi na Pocieszce.

Tuż opodal od Arturów Potockich mieszkali chwilowo księstwo Henrykowie Lubomirscy w pałacu Spiskim, będącym wówczas własnością Jacka Kłuszewskiego, fundatora narodowej sceny w Krakowie. Księżna Henrykowa była rodzoną siostrą Alfredowej Potockiej, którą zresztą przypominała majestatyczną swą urodą. Bale u Lubomirskich zaliczały się do najświetniejszych w Krakowie, gdyż oprócz gościnności obojga gospodarstwa, ściągała na książęce salony liczny zastęp gości niezwykła krasa księżniczek Izy i Jadwigi. Księżniczka Iza odznaczała się wyniosłą postawą. Była brunetą, o prześlicznych, czarnych oczach, wyborną tancerką i utalentowaną aktorką w występach amatorskich. Zaślubiła we wrześniu 1829 roku księcia Władysława Sanguszkę. Wesele młodej pary odbyło się z nadzwyczajną okazałością w Przeworsku. Z dwóch salonów utworzono jedną olbrzymią salę. Zjazd był nader liczny a bal otworzył staropolskim tańcem ówczesny gubernator ks. August

Lobkowicz. Księżna Iza była matką Romana, Pawła i Eustachego Sanguszków oraz księżny Adamowej Sapieżyny. Młodsza księżniczka, Jadwiga, zaślubiona później Eugeniuszowi księciu de Ligne, i zmarła w lutym 1895 r. w Brukseli, była żywym obrazem starszej siostry. Niskiego wzrostu, bardzo przystojna, czarowała również wszystkich i dźwiękiem w obejściu i pięknemi, czarnemi oczyma.

W pierwszych dniach lutego 1826 r. — zapisuje w swym pamiętniku Ksawery Prek — odbył się u Lubomirskich prześliczny bal. Tańczono do upadłego. Artur Potocki, lubo zazwyczaj nie wychodził z domu wieczorami, przybył również na ową zabawę. «Jego przytomność» — słowa pamiętnikarza — «dodała wszystkim ochoty, bo jest od wszystkich kochany. Jan Stadnicki nie podwajał się, ale się zdawało, że czterech mocnych, silnych, udatnych Stadnickich w nim tańczy». Z słynnym wodzirejem, jakim był Stadnicki, rywalizował, zwłaszcza w mazurze Ignacy Konarski, barczysty, przystojny blondyn, ożeniony z Katarzyną Wodzicką, córką prezesa senatu. Hołupce Konarskiego miały swoją sławę w krakowskich salonach.

Z panien błyszczały wówczas urodą: hrabianka Julia Potocka, córka Alfreda, wydana później za księcia Franciszka Liechtensteina, Helena Wodzicka, (późniejsza Niemojowska), córka prezesa i Zofia Stadnicka. W Wodzickiej, uroczej blondynce, kochał się zapamiętale lord Hay, który dla niej przez czas dłuższy przesiadywał w Krakowie. To też ogólną senzacyę wywołał w mieście nagły wyjazd ekscentrycznego wyspiarza, który nie pożegnawszy się z nikim, opuścił Kraków na zawsze. Złotowłosą pięknością była również Zofia Stadnicka, którą porównywano do «pięknej nocy księżycowej». Julia Grodzicka, córka senatora, ustępowała swym rówieśnicom pierwszeństwa pod względem urody, ale za to wyróżniała się prawdziwym talentem muzykalnym. Mała, szczupła brunetka, posiadała prześliczne ząbki, więc też ciągle je ukazywała w uśmiechu. Zalotna i dowcipna lubiła się popisywać śpiewem w koncertach,

urządzanych na cele dobroczynne. O niej to krążył w swoim czasie wierszyk:

Jeżeli Catalani, co w Europie słynie,
Dla wszystkich była cudem, dla Ciebie dosięźną,
Słusznie więc w harmonii rozkosznej krainie,
Gdzie ona jest królową, Tyś warta być księżną!

Nieodstępnym towarzyszem i wytrwałym wielbicielem pani Grodzickiej, która po śmierci pierwszego męża zaślubiła Rzewuskiego, był pan Jędrzej Radoński, ziemianin, stale w Krakowie osiadły. Stary kawaler, figurka mała, brzuchata, o czerwonych policzkach i zadartym nosie, z kulczykiem w uchu, zaliczał się pan Jędrzej do stałych bywalców na wszystkich zabawach proszonych i publicznych, podobnie jak Ignacy Mieroszewski, typowe «krakowskie dziecko». Wojak z szeregów armii pruskiej a następnie księstwa warszawskiego, był człowiekiem wesołym, dowcipnym i prawdziwie wykształconym, a wygodne życie, jakie wiódł w Krakowie, nie przeszkodziło mu w roku 1831 pospieszyć na pole walki bratniej, w której dosłużył się stopnia pułkownika. Odmiennego kroju, lecz niemniej znaną w całem mieście postacią, był stary kawaler, Gawroński, «fanfaron» — jak wówczas mówiono o tego rodzaju ludziach. — Nadskakiwał nieustannie pannie Cecylii Dembińskiej, siostrze generała, osobie starszej i niełądnej, lecz rozumnej i dobroczynnej.

Wśród matron, rej wiodących w towarzystwie krakowskiem, pierwsze zajmowała miejsce Tekla z Wodzickich Małachowska, wojewodzina krakowska. Wysoka, szczupła, czerwona na twarzy, prezydowała przy wszystkich urządzeniach na cele dobroczynne i szanowaną była powszechnie z powodu swej hojności dla ubogich. Po niej inicyatywa w sprawach, tyczących się dobroczynności publicznej, przeszła na Petronelę Wodzicką, żonę popularnego w mieście Józefa. Zwano ją powszechnie: kochaną panią Józefową. Z powagi i z cnót staropolskich słynął dom Barbary z Dembińskich Czackiej, wdowy po Tadeuszu, podczas gdy wojewodzina Badeniowa, rodzona

siostra następcy Kościuszki, Wawrzeckiego, odznaczała się bystrością umysłu i dowcipem.

Mimo wielce ruchliwego życia towarzyskiego, powstała już w roku 1818 resursa, czyli kasyno, do dziś dnia istniejące. Co prawda, początki tej instytucyi nie są pozbawione pewnej oryginalności. Nosiła ona początkowo nazwę «Towarzystwa praktycznego rolnictwa». Ale, że na miejskim bruku trudne było urzeczywistnienie praktycznych celów Towarzystwa, przeto już po roku zmieniono nazwę tegoż na «Towarzystwo rolniczo-literackie». I ta osobliwsza instytucya nie mogła się dłużej ostać. Powoli przybrała ona charakter kasyna. Resursa była wszakże ostateczną przystanią tylko dla nudzących się, starszych panów, podczas gdy młodsze wiekiem i duchem pokolenie na brak rozrywek użalać się nie mogło.

W zimie, oprócz zabaw prywatnych, gromadzono się na ślizgawce, urządzanej na Rudawie. I tam zręcznością odznaczał się Artur Potocki. Układano też «pod Baranami» szarady. W jednej z nich, zatytułowanej: *Soulier* (Trzewik), przedstawiali Alfred Potocki i Henryk Lubomirski dwóch pijanych dziadów. Nowością, pełną uroku dla szerszej publiczności były loterye, urządzane na rzecz ubogich w hotelu Knotza. Starsze panie zasiadały przy stolikach, zarzuconych rozmaitemi drobiazgami, mając do pomocy dodaną młodzież płci obojga. Nie obywało się przy tej sposobności bez komicznych *qui pro quo*. Często pani jaka wygrywała fajeczkę, podżyłemu zaś jegomości dostawała się w udziale damska girlanda. Grywano też teatra amatorskie, bądź na scenie publicznej, bądź też w domach prywatnych. Popisywały się nawet dzieci talentami aktorskimi. Prek zapisał w swym dzienniku wzmiankę o dziecinnem przedstawieniu, urządzonem w maju 1827 roku w domu pani Henrykowej Dembińskiej. Mali amatorowie odegrali wyjątki z «Powrotu posła» oraz z komedyi «Damy i huzary». Podobne widowisko odbyło się w lutym roku następnego «pod Baranami», gdzie dziatwa Arturów i Alfredów Potockich przedstawiała komedyjkę, napisaną dla niej umyślnie przez Kłodzińskiego.

W dniu 27 maja t. r. uczczono przybyłą do Krakowa pannę Tańską przedstawieniem francuskiej sztuczki w domu Karwickich. Czy zachwyconą była popularna autorka ową cudzoziemczyzną, niewiadomo. To jednak pewną było rzeczą, iż chciano ją uczcić jak najgodniej a i sam biskup Woronicz wydał obiad na cześć zacnej autorki.

W ogóle Woronicz prowadził dom otwarty. Święcone u biskupa gromadziło całe towarzystwo krakowskie. «Stół się uginał pod kołaczami, babami, plackami ogromnej wielkości, jakich podobnych nigdy nie widziałem» mówi o tem przyjęciu Prek. Życie towarzyskie nie zamierało bynajmniej podczas lata. Podwieczorki proszone w ogrodzie Kremera, wycieczki na kwaśne mleko «pod Lipki», wycieczki konne do Mnikowa, wreszcie zebrania na plantach tworzyły zwykły program rozrywek w porze letniej. O plantach, świeżo wówczas powstałych za staraniem Straszewskiego, wyraża się nasz pamiętnikarz w te słowa: «W każden dzień pogodny znajdziesz polubowników przechadzki, w każde święto gromadzi się publiczność, gdzie znajduje wały szerokie, brzeżone drzewami, ustępy na których wesołe krzewiny, muzykę ożywiającą, namioty, w nich odpoczynek i wszelkiego gatunku napoje. Nie zapomniano też o górze Wawel. Okrąża ją także podobny wał, który będą zdobiły kwiaty». Na tym wale obchodzono solennie w dniu siódmym maja 1827 roku imieniny Straszewskiego.

Szczególniejszem ożywieniem odznaczał się Kraków w latach 1827—1829. W sali hotelu Knotza odbywały się świetne reduty, na których Artur Potocki intrygował całą salę. Tańczono w karnawale «pod Baranami» i u Lubomirskich, którzy dla roszerzenia swych apartamentów wybić kazali przejście z Spiskiego pałacu do przyległych Krzysztoforów. W salonach księstwa produkował się też w marcu 1827 roku słynny magik Bosko, tłukący zegarki w moździerzu, tnący drogocenne chustki, by następnie jedne i drugie oddać nieuszkodzone widzom, zdumionym łatwością, z jaką sztukmistrz trzymaną w ręku synogarliczkę zamieniał w świnkę morską, lub grzane piwo

w róże. W dwa dni później odbył się znów «pod Baranami» koncert wokalny, w ciągu którego obok Julii Grodzickiej popisywały się księżniczka Iza Lubomirska i Emilia Wielopolska.

W roku następnym poczęły wchodzić w modę bale kostyumowe. Jedna z pierwszych zabaw tego rodzaju odbyła się w połowie marca 1828 r. «pod Baranami», Jeden z przedstawicieli młodzieży ukazał się wówczas w uniformie pruskiego pocztyliona i niewłaściwy ten koncept przepłacił utratą względów swej bogdanki, oraz bogatych jej rodziców. W jakiś czas później urządzono «jarmark dobroczynny» u Mycielskich, lecz największym rozgłosem przez długie lata cieszył się bal kostyumowy, wyprawiony z końcem lutego 1829 roku przez Artura Potockiego. Pragnąc pożegnać przed wyjazdem za granicę, szersze koła swych znajomych, wynajął hrabia salę u Knotza, którą wszakże urządził «po monarchicznemu». Coraz to zmieniano zastawę na stołach, w bufetach brakło chyba ptasiego mleka, a wino lało się strumieniem. Usługiwała liberya Potockich. Zaproszeń rozesłano pięćset pięćdziesiąt. Tany rozpoczął polonez w cztery pary, odtańczony przez Emilię Wodzicką, Euzebię Zborowską, Nidę Kisielewską i Matyldę Gostkowską w towarzystwie Jana Stadnickiego, Józefa Gorayskiego, Maurycego Szymanowskiego i Bystrzonowskiego. Tancerki i tancerze wystąpili w sukniach białych, atłasowych i w aksamitnych, karmazynowej barwy, kontusikach. Zaledwo przebrzmiały poważne tony polskiego tańca, gdy ozwały się trąby i w sali ukazał się dwór Łokietka, otaczający króla, królową Jolantę, oraz towarzyszącego im księcia Bolesława Kaliskiego. Pochód ten, odwzorowany z największą dokładnością według romansu Wężyka, wywołał ogólny zachwyt, lecz zaraz po nim nastąpiły kadryle szkocki i dalmatyńskie, odtańczone w stosownych kostyumach, zakończenie zaś balu tworzył kotylion w pięćdziesiąt par, wiedziony przez Stadnickiego z drukarzową p. Gieszkowską, piękną kobietą, ubraną w fantazyjny kostyum ogrodniczki. Wśród mnóstwa ukostyumowanych gości bogactwem odznaczał się strój kapiący od złota i klejnotów pani

Arturowej Potockiej, przebranej za żydówkę z wieków średnich, oryginalnością stroju wyróżniał się zaś malarz, akwarelista Kurowski, który wystąpił w kurtce i pantalonach, upstrzonych pociągnięciami różnokolorowemi pędzla a na głowie miał okrągły, biały kapelusz, ozdobiony pękiem pędzli.

Była to niestety ostatnia już zabawa, wyprawiona Krakowianom przez ich ulubieńca. Wkrótce potem wyjechał hrabia Artur za granicę, celem poratowania nadwątlonego zdrowia i zgasł w Wiedniu w dniu trzydziestym stycznia 1832 roku, licząc zaledwie lat czterdzieści ośm. Martwe tylko zwłoki powróciły do podwawelskiego grodu w maju t. r., uczczone uroczystym pogrzebem, w którym wzięła udział cała niemal ludność wolnego miasta. Pamięć zmarłego uwiecznił uczony infułat, Łańcucki, wierszem, rozpoczynającym się od słów:

Biedni ludzie, co nędza w swem łonie was kryje,
Zanurzcie się w łzach żalu, Artur już nie żyje!
Artur, wasz dobroczyńca, wasz przyjaciel drogi,
Jakich wznosiła niegdyś ludzkość między Bogi.

Z chwilą zgonu Artura Potockiego zanikła na długie lata dawna świetność «Baranów», o których Walery Wielogłowski pisał, jak następuje: «Wszystko w tym domu było wielkie i istotne, bo nie było nic zmyślonego, począwszy od dostojnego stanowiska gospodarstwa aż do ich uprzejmej gościnności. Śmiało też rzec można, że dom ten był szkołą dla całego społeczeństwa, a wyższą akademią dla panów...»

Kirem żałobnym okryty dom «pod Baranami», stał się przytułkiem dla wielu ofiar listopadowej rewolucyi, w roku zaś 1836 generał Kaufman zajął w nim przemocą apartamenty na główną kwaterę wojsk, okupujących wolne miasto. W pamiętnym dla Krakowa dniu dwudziestym szóstym kwietnia 1848 roku, dolne pokoje pałacowe przepełnione były rannymi, szukającymi tam pomocy i schronienia, w dwa lata zaś później, podczas pożaru, który zniszczył znaczną część Krakowa, znaleźli w nich opiekę i dach nad głową nieszczęśni pogorzelcy. Zofia Potocka, wdowa po Arturze, stanęła wówczas na

czele komitetu ratunkowego i z «pod Baranów» niejedna pożarem zniszczona rodzina otrzymała zasiłek, z pomocą którego mogła odbudować zniszczone ognisko domowe. Nie dziw przeto, że zaraz na pierwszem posiedzeniu autonomicznej Rady miejskiej postanowił Kraków wywdzięczyć się swej dobrodziejce wybiciem medalu na jej cześć. Medal ten zdobią z jednej strony popiersie, z drugiej zaś napis: «Tam, gdzie dobro bliźnich i niedola, tam twe serce i ręka».

Zacna ta matrona przeżyła i jedynego, pozostałego jej syna, Adama i zgasła w dniu szóstym stycznia 1879 roku, otoczona najgłębszym szacunkiem i miłością Krakowian. Z nią zstąpiła do grobu jedna z najszlachetniejszych postaci podwawelskiej republiki, która nawet po utracie niepodległości nie przestała być skarbnicą narodowych pamiątek i zatrzymała po dziś dzień zaszczytny przydomek polskiego Rzymu.

V.

SILVA RERUM.

W zbiorach publicznych i w domowych archiwach spotkać można nierzadko folianty, spisywane ręką naszych przodków a zawierające istną mozaikę współczesnych wypadków politycznych, zdarzeń rodzinnych, listów ważniejszych, poezyi okolicznościowych i facecyi, wreszcie przepisów lekarskich, pomocnych zarówno na rozmaite dolegliwości ludzkie, jak na choroby bydlęce. Mimo pozornej chaotyczności w układzie owych raptularzów, oraz redakcyi tychże niejednokrotnie wielce zaniedbanej, często swą naiwnością pobudzającej do śmiechu, są owe *Silva Rerum* skarbem nieocenionym, niewyczerpaną skarbnicą wiadomości dla każdego badacza obyczajów i kultury naszej przeszłości.

Zapiski Kuropatnickiego, Polanowskiego, Preka, Bogdańskiego i Mochnackiego pozostaną jeszcze na długie lata dla każdego zajmującego się dziejami naszemi, źródłem pierwszorzędnej wartości.

Ten też wzgląd był powodem, iż zebraliśmy w niniejszym rozdziale szereg obrazków i wspomnień, odnoszących się do przeszłości Galicyi, acz nie powiązanych z sobą w jednolitą całość organiczną. Drobiazgi te, rozrzucone na kartach rękopiśmiennych pamiętników, w szpaltach pism peryodycznych, od dawna zapomnianych, lub też utrzymujące się jedynie w tradycyi pokolenia, stojącego już nad grobem, poszłyby w niepamięć, gdyby ich nie zszeregowano w niniejszym zbiorku, który może niejednemu z czytelników, prócz chwilowego zainteresowania i ważniejszą oddać przysługę, przypominając mu szczegół jaki nieobojętny, lub potrzebny do pracy samodzielnej.

Nasze *Silva Rerum* rozpoczniemy wiadomością o Mathuzalach XIX wieku. Później podążymy pod wiejską strzechę, do wielkopańskich i do szlacheckich rezydencyi oraz poświęcimy słówko wspomnienia rozbitkom z listopadowej rewolucyi i matkom naszym, które w dobie najsroższego ucisku zdołały ideę narodowościową podtrzymać i krzewić u domowego ogniska. Nie możemy też pominąć milczeniem zmory biurokratycznej, ciążącej przez lat dziesiątki żelaznem brzemieniem na nieszczęśliwym kraju, zaniedbanej tak rozmyślnie oświaty publicznej w Galicyi, wreszcie głośnej w swoim czasie organizacyi spiskowej, nazwanej słusznie konspiracyą dzieci.

Mathuzalom z wieku należy się pierwszeństwo.

Galicya, mimo swej niezamożności, chlubić się mogła oddawna licznymi wypadkami długowieczności u mieszkańców tej prowincyi, rozmaitych zawodów i stanów.

Już w roku 1859 zasłużony bibliograf krakowski, dr. Karol Estreicher, w rozprawce swej p. t. «Ludzie stuletni», zamieszczonej w Rozmaitościach, wspomina o wypadkach długowieczności wśród mieszkańców Galicyi. Wymienił między innymi Jana Urszulaka, tkacza z Prus, pod Lwowem, który zmarł w roku 1811, licząc lat sto sześć. Urszulak czynym był do ostatniej chwili życia. Żonaty był sześć razy; po raz ostatni na rok przed śmiercią. Więcej, bo sto trzynaście lat liczyć miał starosta Zakrzewski, zmarły w roku 1827 w okolicach Bochni, zaś zamieszkały pod Lwowem ksiądz Witosławski, liczyć miał w chwili zgonu lat sto siedmnaście. Na kilka dni przedtem widziano go odbywającego zwykłą przejażdżkę wierzchem. Wszystkich tych staruszków prześcignęła zmarła w Popielach, u Karnickich, panna respektowa, Teresa Hiżdew, która zawarła powieki, przeżywszy sto trzydzieści wiosen życia. Zuchem też nielada był niejaki Tabęcki, żyjący w okolicy Brzeżan, który liczył sobie sto dwadzieścia latek i o dwie mile po tabakę zwykł był chodzić do miasteczka. Nie podobna wyliczać wszystkich wypadków, przytoczonych w artykule Estreichera, gdyż ograniczamy się jedynie na zebraniu dat, dotyczą-

cych Galicyi, a w szczególności Lwowa i tegoż okolic. Nie wypada wszakże pominąć milczeniem eliksiru długiego życia, którego dokładną receptę podał Wincenty Dąbrowski z Ciężkowic, wedle notat szwedzkiego lekarza, Ernesta. Sam eskulap wypróbował dokładnie owe lekarstwo na swojej osobie, gdyż żył lat sto cztery i zmarł skutkiem nieszczęśliwego upadku z konia. Recepta ta, wielce ponętna dla aptekarzy, zawierała i aloes i dryakew wenecką, strój bobrowy i rheumbarbarum. Kobiety miały zażywać po siedm kropel, mężczyźni po dziewięć kropel owego lekarstwa każdego dnia. Ciekawi bliższych szczegółów, niech zaglądną do popularnego wydawnictwa Hipolita Stupnickiego p. t. Przyjaciel domowy z roku 1857, gdzie znajdą dokładne wskazówki co do owego specyfiku.

I Lwów nie jednego Mathuzala posiadał w swych murach już w bieżącym wieku. W dniu trzydziestym września 1828 roku zmarł w tem mieście Alojzy Gintowt Dziewałtowski, jeden z ostatnich konfederatów Barskich i długoletni tułacz na obczyźnie. Ziemianin z zawodu, myśliwy pasyonowany, polował namiętnie i po dziesiątym krzyżyku. Zgasł licząc lat sto szesnaście. Niepospolitego wieku dożył również wspomniany już poprzednio Stanisław Wronowski, właściciel dóbr i były radca sądu szlacheckiego we Lwowie. Licząc lat sto sześć, zmarł w dniu trzecim grudnia 1839 roku.

W trzy lata później, w dniu czernastym kwietnia 1842 roku, zgasł we Lwowie nie mniej znany i ceniony mąż, Tadeusz Thullié, którego starsze pokolenie Lwowian zapamiętało codziennie służącego do mszy w kościele Jezuitów. Siwy jak gołąb ów kontuszowiec był potomkiem przybyłej z Francyi rodziny Thullié, której protoplasta w Polsce, Jan Thullié pełnił z początkiem ośmnastego wieku obowiązki lekarza w armii polskiej. Tadeusz Thullié, urodzony w Warszawie w roku 1741, był kolejno dworzaninem Stanisława księcia Lubomirskiego, sekretarzem Stanisława Augusta, urzędnikiem austryackiego rządu w Galicyi, wreszcie dzierżawcą kilku folwarków z Buskiego klucza, własności wojewody pomorskiego, Miera. Osta-

tnich lat pięćdziesiąt przeżył Thullié we Lwowie, okolony gronem licznej rodziny, której doczekał się z dwóch małżeństw: z Głębocką, a następnie z Rozalią Franchi. Dzięki nader skromnemu trybowi życia, cieszył się do zgonu zupełną przytomnością umysłu i żywą nadzwyczajnie pamięcią. W setnym roku życia zaczął Thullié własnoręcznie spisywać swój pamiętnik, ale drżąca ręka starca nie zdołała utrzymać już pióra i chwalebny ten zamiar ograniczył się na jednoarkuszowym rękopisie, zachowanym szczęśliwie w zbiorach Zakładu narodowego imienia Ossolińskich. W ostatnim roku życia nie opuszczał już Thullié swego pokoju, trawiąc czas na modlitwie i czytaniu ulubionych autorów. Łoże umierającego otaczało dziewiętnastu wnuków i trzynastu prawnucząt. W chwili zgonu liczył Thullié lat sto dwa.

Późniejszego jeszcze wieku doczekał się Piotr Smochowski, ojciec znakomitego aktora, Witalisa, zmarły w listopadzie 1842 roku, w setnym szesnastym roku życia. Witalis Smochowski żył lat dziewięćdziesiąt pięć.

Najbardziej wszakże znanym i poważanym wśród długowiecznych starców Lwiego grodu był Samuel Stefanowicz, arcybiskup lwowski ormiańskiego obrządku. Urodzony w dniu dwudziestym ósmym marca 1752 w Łyścu pod Stanisławowem, kształcił się w stanisławowskim kolegium Jezuitów, a następnie w słynnem kolegium Teatynów we Lwowie, (dziś koszary zwane: Czerwony Klasztor), którzy trudnili się teologicznem wykształceniem młodzieży grecko-katolickiego i ormiańskiego obrządku. Wyświęcony na kapłana w roku 1778, w dwanaście lat później był już kanonikiem, w roku 1798 archidiakonem tutejszej kapituły ormiańskiej i dwukrotnie zawiadował dyecezyą po śmierci arcypasterzy: Szymonowicza i Wartarasiewicza. Na stolicy arcybiskupiej zasiadł dopiero w roku 1832, licząc lat ośmdziesiąt, lecz mimo wysokiej swej w kościele godności, nie porzucał kazalnicy i konfesyonału, gdzie żarliwa wiara, głęboka nauka i nadzwyczajna znajomość serca ludzkiego, czyniły go znakomitym spowiednikiem. Słyszano go też często każąc ego, z su-

rowością gromiącego zdrożności, żalącego się gdyby Jeremiasz z powodu krzywd, wyrządzonych Bogu i ludzkości..

Każdemu bez względu na stanowisko i płeć mówił Stefanowicz: ty, a nietylko słowem, lecz i czynem uczył, jak żyć i postępować należy. Tryb życia prowadził nad wszelki wyraz skromny, gdyż przeważną część swych dochodów, wynoszących zaledwo sześć tysięcy złotych rocznie, rozdawał między ubogich. Oczytany wszechstronnie, był żywą kroniką Lwowa, z którego niechętnie i w wyjątkowych tylko wypadkach się wydalał. Bóg dał mu śmierć lekką. Jeszcze na dwa dni przed zgonem słuchał w kościele mszy świętej i wieczorem w dniu ósmym listopada 1858 roku zasnął w Panu, modląc się w poręczowem krześle. W chwili zgonu liczył Stefanowicz sto sześć lat i ośm miesięcy. Był więc nietylko najstarszym człowiekiem we Lwowie, ale i najstarszym z wieku kapłanem w całym świecie chrześcijańskim.

Ostatnim, już za naszej pamięci zmarłym Mathuzalem, był Antoni Piórecki, kościuszkowski weteran, zmarły w dniu czwartym stycznia 1870 roku w Rzęśnie Polskiej, gdzie syn jego był leśniczym. Piórecki umierając liczył lat sto sześć i do ostatniej chwili zachował czerstwą pamięć, opowiadając odwiedzającym go ziomkom nader szczegółowo przebieg kościuszkowskiej insurekcyi. Ostatnich lat dwadzieścia i pięć życia spędził starzec na łożu niemocy, utraciwszy władzę w rękach i w nogach skutkiem — jak twierdzono — ran, odniesionych pod Maciejowicami. Zrazu miano pogrzebać jego zwłoki na miejscowym cmentarzu, później jednak postanowiono złożyć ciało wiekowego weterana na Łyczakowskim cmentarzu we Lwowie. W dniu siódmym stycznia t. r. odbył się ów pogrzeb przy udziale nieprzejrzanych okiem tłumów publiczności. U rogatki Janowskiej cechy i duchowieństwo pod przewodem czcigodnego prowincyała Dominikanów, Korotkiewicza, przyjęły zwłoki pod swą opiekę. Trumnę niesiono aż na miejsce wiecznego spoczynku. Kolejno dźwigali ją członkowie «Orła Białego», akademicy, weterani z roku 1831 i 1863, tudzież rzemieślnicy.

Nad otwartym grobem w podniosłych słowach przemówił ks. Lickendorf, znakomity mowca kaznodziejskiego zakonu, żegnając ostatniego kościuszkowskiego żołnierza, zgasłego w Galicyi.

* * *

Z murów Lwiego grodu podążmy na wieś, która przed pół wiekiem zasadniczo odrębną od dzisiejszej przedstawiała postać.

Wzajemny stosunek właścicieli dóbr do wieśniaków na ich gruntach osiadłych, określały u nas patenty Maryi Teresy z lat 1775—1777 oraz uniwersały Józefa II., wydane w latach 1782—1784. Humanitarny monarcha znosił swemi postanowieniami tak zwane «niewolnicze» poddaństwo, które wprawdzie w Galicyi nigdy nie istniało, lecz od tej chwili poddany mógł się żenić bez pozwolenia dworu, przenieść się do innej wsi, lub uczyć się rzemiosł. Nie można go było również zniewalać do przyjęcia służby we dworze wbrew jego woli, zaś sieroty włościańskie, wzięte na opiekę do dworu, winne były za to odsłużyć dziedzicowi trzy lata bez żadnego wynagrodzenia. Ostateczne uregulowanie wszelkich danin i powinności roboczych wobec dworu nastąpiło w czerwcu 1786 roku w tak zwanym «Uniwersale roboczych powinności», orzekającym, iż gospodarze gruntowi obowiązani są do odrabiania trzech dni pańszczyzny tygodniowo, podczas gdy inne daniny, jak: dziesięcina, komorne, kunica, targowe, zostały zniesione. Grunt po śmierci ojca dziedziczył syn najstarszy, z obowiązkiem spłaty młodszego rodzeństwa, zaś osobne rozporządzenia rządowe przyznawały poddanym prawo wrębu w lesie, oraz uciekania się o pomoc do dworu w pewnych wypadkach klęsk elementarnych.

Dziedzic był nietylko naturalnym opiekunem włościanina pod względem ekonomicznym, ale też wykonywał wobec niego w pierwszej instancyi władzę sądowniczą i polityczną, wybierał od wieśniaka podatki i rekruta. Funkcye te, że się tak wyrazimy, publiczne, spełniał wobec gminy wiejskiej mandataryusz,

płatny wprawdzie przez dwór, który za poprzedniem wypowiedzeniem mógł go pozbawić zajmowanej posady, lecz egzaminowany i potwierdzany przez cyrkuł. Mandataryusz publikował przeto wszelkie rozporządzenia rządowe i spełniał polecenia władz wyższych, prowadził księgi gruntowe, zawiadował sprawami sierocińskiemi, sporządzał akty spadkowe po zmarłych gospodarzach i rozstrzygał wszelkie, drobniejsze spory o obrazę słowną lub czynną, tudzież o mniej znaczne szkody, wyrządzone na mieniu. On też w wszelakiego rodzaju sporach oraz w sprawach konkursowych, należących do wyższej instancyi, czyli do tak zwanego justycyaryusza, obowiązanym był przed wniesieniem pozwu nakłaniać powaśnionych do zgody, a w razie, gdy takowa do skutku nie przyszła, wystawiał odpowiednie świadectwo, bez którego wszelkie orzeczenia justycyaryusza pozbawione były znaczenia. Nadto obowiązkiem mandataryusza były: rozkład podatków i pobór takowych, dostarczanie rekruta i podwód dla urzędowych celów, wreszcie kontrola nad wszelkimi sprawami policyi miejscowej. Jak z tego zakresu czynności widzimy, mandataryusz był na wsi wszystkiem, jakkolwiek na czele gminy stali wójt i przysiężni — z głosem doradczym jedynie w sprawach podatkowych i majątku gminnego dotyczących. Według ustawy z roku 1784 wójta obierała wprawdzie gromada, ale dziedzic z trzech jemu przedstawionych kandydatów zatwierdzał w tej godności osobistość, która mu się najbardziej wydawała odpowiednią. Wójt wraz z gromadą wybierali przysięgłych w tym stosunku, iż jeden przysiężny przypadał na dwadzieścia pięć chałup. Wraz z przysiężnymi rozstrzygał wójt pomniejsze spory między gospodarzami a czeladzią, wykonywał polecenia mandataryusza i dworu, który — naturalnym rzeczy porządkiem — we wszystkich sprawach miejscowych posiadał głos stanowczy.

Mandataryusz, jak to słusznie zauważył w jednej z swych powieści ś. p. Walery Łoziński, był na poły urzędnikiem publicznym, na poły oficyalistą prywatnym. Tak niby, ni pies, ni wydra, musiał całe życie chwiać się między dwoma prze-

ciwnemi siłami, balansować w pośród dwóch przeciwległych ciężarów, kurczyć się między młotem a kowadłem. Płatny i zawisły od dziedzica, podległy władzy obwodowej a przełożony nad chłopem i żydem, upadał pod brzemieniem potrójnych obowiązków. Musiał po pierwsze dogadzać każdemu kaprysowi, każdemu zachceniu dziedzica, powtóre mydlić ustawicznie oczy władzy, a po trzecie skubać, co się dało chłopa i żyda: a najczęściej wszystkie te trzy obowiązki spływały się na raz. Na tem też właściwie spoczywał cały talent, cała zręczność mandataryusza, aby w jednej i tej samej chwili pochlebić się i jaśnie wielmożnemu panu i zyskać reskrypt pochwalny od starosty i jakąś okrągłą sumkę ściągnąć do własnej kieszeni.

O ile wszakże mandataryusz przy odrobinie sprytu, miał się nieźle i często do znacznej dochodził fortuny, o tyle zasada sprawiedliwości była z reguły gwałconą, i wzrastało niedowierzanie wieśniaka wobec dziedzica. Z reguły bowiem sprawy włościańskie nie sądziły się u justycyaryusza, rezydującego w mieście i mniej zależnego od właściciela dóbr, ani też w sądzie, lecz od mandataryusza szedł chłop na skargę do cyrkułu, do gubernium, a nawet do nadwornej instancyi. Mimo więc równości wobec kodeksu cywilnego, poddany nie korzystał w rzeczywistości z przepisów tej ustawy, lecz sądzonym był w drodze polityczno-administracyjnej. Że tą drogą szły sprawy włościańskie, było to już zasługą licznego zastępu urzędników cyrkularnych, w przeważnej części obcokrajowców, nieżyczliwych tutejszemu społeczeństwu a zawsze żądnych dyet, kosztów podróży i — wziątków. Im więcej skarg i zażaleń, tem więcej dochodów miał ów wiecznie głodny zastęp cyrkułowych komisarzy, kancelistów i praktykantów, którzy nie gardzili czasem i pomocą pokątnych pisarzy, byle tylko jak największą ilość spraw natury ściśle cywilnej, przeciągnąć do swej jurysdykcyi.

Tym nadużyciom biurokracyi sprzyjały po części: system policyjny ówczesnych rządów monarchii, a usiłujący wszystkie sprawy społeczne podporządkować władzy, której ślepego po-

słuszeństwa mógł być rząd centralny w każdej chwili pewny, po części zaś dziwne do pojęcia zaślepienie znacznej części ogółu ziemiaństwa, nie mogącego zrozumieć żadną miarą, że w tym stanie rzeczy odegrywa — jak się słusznie w swoim czasie wyraził ś. p. Stanisław Wodzicki — rolę małpy, wyjmującej dla kogoś kasztany z pieca... Chłop nie rozumował o militarnych i pieniężnych potrzebach monarchii, lecz wiedział, że dwór, względnie mandataryusz, zabierają mu syna «w kamasze», wymuszają od niego grosz ostatni na podatki, pędząc go na szarwarki, lub z podwodą w najgorszą drogę. W dziedzicu widział przeto swego naturalnego wroga, podczas gdy urzędnik sprawiał na nim wrażenie półbożka, przystępnego w bardzo wielu wypadkach...

A jednak o tem głuchem niezadowoleniu, o tej nienawiści niemal mieszkańca chaty wobec jego starszej braci, zdawał się nie wiedzieć zgoła przeciętny ogół naszego ziemiaństwa. Takby przynajmniej wnosić należało z głosów publicznych, jakie się podniosły w prasie galicyjskiej w roku 1819 z powodu nowego pomiaru gruntów w kraju, które to zarządzenie rządowe dało powód do mniemania, że nastąpi w owym czasie ponowne uregulowanie stosunków poddańczych wobec dworów. Z tego też powodu poczciwe «Rozmaitości», dodatek literacki do «Gazety Lwowskiej», zamieściły artykuł «O pańszczyźnie», będący przekładem z wydawanego w Bernie czasopisma, *(Oekonomische Neuigkeiten)*. W rozprawie tej anonimowy autor przemawiał za zniesieniem pańszczyzny, dopatrując się w niej źródła materyalnej i moralnej nędzy stanu włościańskiego. Jakkolwiek artykulik ten omawiał wyłącznie stosunki wiejskie w Morawii, to jednak już w parę tygodni później ukazała się w «Rozmaitościach» praca Dyonizego Zubrzyckiego p. t. «Rozprawa za pańszczyzną», wykazująca jak na dłoni, «że pańszczyzna teraz w kraju naszym dla dobra pospolitego jest konieczną dla pana, dla rolnika potrzebną, że o zniesienie pańszczyzny na ówczas dopiero kusićby się można, gdyby ludność wiejska w kraju przynajmniej o połowę się

powiększyła, a zdolne znalazły się ręce do rozebrania gruntów dworskich, gdyż po uchyleniu pańszczyzny rolnictwo dworskie w tej ogromności, jak jest teraz, żadnym sposobem prowadzone być nie może»...

Inaczej zapatrywał się na tę sprawę nieznany nam bliżej X. W., który we wrześniu t. r. wystąpił z obszerną rozprawą «O włościanach w Galicyi i o skutkach uwolnienia ich od pańszczyzny», drukowaną w tychże «Rozmaitościach». Pan X. W. oświadczył się również przeciw natychmiastowemu uwolnieniu włościan od powinności roboczej, ale wskazał sposób, w jakiby przeprowadzić należało oczynszowanie ich na próbę. Oto przedewszystkiem należałoby założyć gromadzkie magazyny i kasy dla wsparcia potrzebujących pomocy członków gminy, następnie zaś dziedzic miałby wydzielić każdemu z swych poddanych część gruntu taką, jaką mógłby obrobić przy pomocy posiadanego bydła i swej czeladzi. Grunt ten, oddany za czynszem umówionym w trzyletnią dzierżawę włościańską, powróciłby po upływie tego czasu do dziedzica w razie, gdyby dzierżawca gospodarzył nieumiejętnie. W przeciwnym razie umowę należy — zdaniem wnioskodawcy — przedłużyć na dalsze trzechlecie.

Jakkolwiek dyskusya powyższa nie doprowadziła do żadnego rezultatu, to jednak wywołała ona po raz pierwszy na porządek dzienny sprawę włościańską, która odtąd, mimo widocznej niechęci rządzących, nie przestaje zajmować sejmów stanowych i stałej deputacyi tychże we Lwowie, kollegium stanowego. W roku 1823 Fredro poruszył kwestyę wolnego przesiedlania się włościan ze wsi do wsi, w następnych latach rozbierano w temże gronie sprawę zaprowadzenia ksiąg gruntowych, oraz nadania włościanom własności użytkowej gruntów przez nich uprawianych. Przeciw temu projektowi oświadczył się stanowczo Tadeusz Wasilewski, jeden z najgorliwszych szermierzy sprawy uwłaszczenia włościan. Zacny ten obywatel, wicemarszałek stanów, ziemianin z dziada i pradziada, nie wahał się przedstawić rzeczywistego stanu rzeczy w kraju. W rozprawie

jego p. t.: «O włościanach w Galicyi», zachowanej w rękopisach Zakładu narodowego im. Ossolińskich, czytamy te słowa: «Kto uważał, jak u nas chłop przed panem zdaleka czapkę zdejmuje, jak mu aż do nóg się kłania, a w niczem mu nie ufa i we wszystkim rad go krzywdzi. Kto wystawne życie szlachty z ubóstwem ludu porówna, kto obaczy na łanie ekonoma, naganiającego do roboty kijem zarówno starca, niedorostka i kobietę — ten powie, że w tym kraju panuje niewola i ucisk. Niewoli nie ma, ucisku napróżno zapieraćbyśmy się chcieli, bo akta władz sądowych i politycznych, nieustające pregrawacyjne komisye i łuna pożarów jesiennych, mściwą podłożonych ręką, przeciwko nam świadczą!...»

Z równą otwartością i stanowczością występował Wasilewski przeciw pańszczyźnie w swym «Planie poprawy stosunków włościańskich», udowadniając, że ona jest głównem źródłem ciemnoty i nędzy włościańskiej, ujemnego wpływu żydów, ucisku ze strony dworów. Wskazywał przy każdej sposobności zarówno piórem, jak w izbie sejmowej, że pańszczyzna jest szkodliwą zarówno dla włościanina, jak dziedzica, tak pod względem materyalnym, jak moralnym. — Zarówno więc ludzkość, sprawiedliwość, dobrze zrozumiany własny interes, jak wzgląd na ogólne dobro kraju i jego sposobność, — domagają się zniesienia pańszczyzny — wołał Wasilewski, dowodząc, że zniesienie tego zabytku feudalizmu najłacniej nastąpić może w drodze wykupna, ku czemu należałoby stworzyć osobne towarzystwo kredytowe, włościańskie.

Długoletnia, wytrwała praca Wasilewskiego zdawała się rokować ostateczne zwycięstwo bronionej przez niego, słusznej sprawie. Jakoż sejm w roku 1843 większością ośmdziesięciu sześciu głosów przeciw piętnastu uchwalił jego wniosek, domagający się traktowania wykupna pańszczyzny w drodze legalnej, ale prezydent gubernialny, baron Krieg, lubo popisujący się przy każdej sposobności sympatyą rządu dla ludu wiejskiego, nie omieszkał utrudnić, o ile możności, spełnienia tego zadania naszemu ziemiaństwu. W sprawozdaniu do Wiednia

przedstawił Krieg uchwałę sejmową nie jako wynik rzeczywistego przekonania Stanów, lecz raczej jako chęć uniknienia zarzutów, jakoby szlachta galicyjska sprzeciwiała się polepszeniu doli swych poddanych... Dzięki takiej relacyi szefa cywilnego zarządu kraju, rząd centralny zwłóczył pod rozmaitymi pozorami formalnej natury z stanowczem zezwoleniem na wybór komisyi sejmowej, którąby zastanowiła się nad kwestyą zniesienia pańszczyzny w drodze wykupna, lub zastąpienia takowej osypami w naturze i czynszami. Dopiero w jesieni 1845 roku przyzwolił rząd na rozpoczęcie prac tej komisyi, by niebawem odroczyć jej czynności na czas nieograniczony...

Tymczasem kraj cały podminowano robotą spiskową. Od szeregu lat krążyli po Galicyi wysłannicy wersalskiej centralizacyi, apostołując wzniosłą ideę zrównania wszystkich stanów, braterstwa i zrzucenia obcego jarzma. Ale emisaryusze ci, dążący z nad brzegów Sekwany, nie znali ludu wiejskiego, który nie rzadko krzywdzony a z reguły pogardzany, nie ufał szlachcie. Zapominali też miejscowi, pozyskani przez emisaryuszów spiskowcy, że między chatą a dworem przez lat kilkadziesiąt z rzędu obca biurokracya siała ziarno niezgody i łudzili się nadzieją, że chłop, ujęty darowaniem pańszczyzny i braterstwem się z nim szlachty, przemową księży, pójdzie razem z nimi w bój za wolność. Tą mrzonką owładnieni, agitacyę między ludem odkładali do chwili wybuchu, prawiąc mu od czasu do czasu coś niecoś o mglistej przyszłości. Tymczasem ajenci biurokracyi: niżsi urzędnicy, urlopnicy i żydzi, zaniepokojeni szerzonymi w tym czasie stowarzyszeniami wstrzemięźliwości, przemawiali do włościan w sposób bardziej dla nich zrozumiały. Ciemniejszych straszyli — rzezią... innym obiecywali wolność od podatku i rekruta, osłabiali wśród ludu zaufanie do duchowieństwa, podkopywali jego wiarę!

I szatańska ta intryga odniosła straszliwe zwycięstwo w dniach lutowych 1846 roku. Krwią i pożogą spłynęła cała zachodnia część kraju ku przestrodze tych, którzy w pierwszym rzędzie byli powołani do braterskiej nad chleborobnym gminem

opieki. A jednak zaledwo dwa lata minęło od rzezi, gdy znów zapomniano o bolesnem doświadczeniu. Napróżno lwowska Rada Narodowa wzywała z początkiem kwietnia 1848 roku ogół naszych ziemian do zniesienia poddaństwa. Zaledwo nieliczni dziedzice, z czcigodnym Włodzimierzem Dzieduszyckim na czele, dali posłuch temu wezwaniu. Innych uprzedził rząd, znosząc pańszczyznę w Galicyi od dnia piętnastego maja tegoż roku.

* * *

Odrębny a wielce ważny po dziś dzień żywioł w ustroju naszego społeczeństwa wiejskiego przedstawiają licznie rozsiane w Galicyi kolonie niemieckie, pozostałość z Józefińskiej epoki.

Z chwilą przyłączenia Galicyi do Austryi, prócz nielicznych zresztą profesyonistów, osiadłych w miastach i miasteczkach, istniała jedna, jedyna większa kolonia niemiecka w całym kraju. Tworzyli ją sascy osadnicy, z zawodu sukiennicy, osadzeni pod Zaleszczykami przez kasztelana Poniatowskiego, ojca Stanisława Augusta. Nowy rząd widząc w pewnych okolicach świeżo nabytej prowincyi znaczne obszary ziemi, leżące odłogiem, oraz brak odpowiedniej liczby rzemieślników po miastach, starał się jednych i drugich, sprowadzić z przeludnionych prowincyi ówczesnego cesarstwa niemieckiego. Od roku 1781, gdy manifest cesarski dozwolił osiadać protestantom we wszystkich miejscowościach bez żadnej różnicy, liczba osadników znacznie się pomnożyła Rzemieślnicy, zakładający warsztaty po miastach, otrzymywali, prócz bezpłatnego prawa miejskiego, dziesięcioletnią wolność od podatku, bezpłatny budulec i grunt pod ogród, tudzież zaliczkę na zakupno potrzebnych narzędzi, podczas gdy sprowadzeni z Niemiec rolnicy otrzymywali za darmo grunt i chałupę wraz z dziesięcioletnią wolnością od podatku i z sześcioletniem zwolnieniem od pańszczyzny, którą wolno im było następnie zamienić na czynsze.

Przeważna część kolonistów, których ogół podobno dochodził do wysokości pokaźnej cyfry trzech tysięcy ludzi płci

obojga, rekrutowała się z okolic nadreńskich, z Palatynatu, z Hessyi, z Anspachu oraz z innych książtewek niemieckich. Krajowcy jednak zwali wszystkich przybyszów bez różnicy Sasami, albo też mniej grzecznie szwabami, ziemniaki zaś przez nich uprawiane, szwabkami... Z ojczyzny wypędzały tych biedaków i przeludnienie i spustoszenie, wywołane wojną francuską. Nadto rolnikom uśmiechały się: obietnica nadania gruntu na własność, niesłychana taniość bydła, (wół kosztował od jedenastu do piętnastu złotych, krowa połowę tej kwoty), przy dobrej cenie ziemiopłodów, tudzież klimat bardziej dla nich odpowiedni, aniżeli węgierski. Pierwsi koloniści, przybyli w owym czasie, osiadali w okolicach Nowego i Starego Sącza, w żyznej, malowniczej równinie sądeckiej, poczem przyszła kolej na kolonizacyę niemiecką w okolicach Bochni, Szczerca, Lwowa, Kałusza i Medenic w Galicyi tudzież w Tereblestie i Illeschestie na Bukowinie. W trzydzieści lat później liczono u nas sto ośmdziesiąt sześć kolonii niemieckich, rozsianych po całym kraju i cieszących się znacznym dobrobytem. Pokolenie osadników już tu urodzone, odznaczało się znakomitym wyrobieniem sił fizycznych, pracowitością i rządnością, dzięki czemu dochodziło do zamożności nieznanej przedtem pracującym na roli. Chaty ich, pola, strój nawet, okazywały w każdym szczególe dostatek nie łudzący jeno pozorami, lecz będący wyrazem prawdziwej pomyślności.

Inaczej wyglądali wszakże ojcowie tych pracowitych przybyszów, zabiedzeni, wątli, źle zbudowani, zdemoralizowani nędzą, rozprożniaczeni długą wędrówką i bezczynnością przymusową. Rząd bowiem nieprzygotowany na przyjęcie tak znacznej liczby wychodźców, podążających z Niemiec ku granicom krajów dziedzicznych Monarchii umieszczał ich tymczasowo, po kilkadziesiąt rodzin razem, w zniesionych klasztorach, w których przebywali niektórzy przybysze po ośm miesięcy i dłużej. Zamknięci wśród murów, źle odżywiani, marli przyszli koloniści jak muchy. Były klasztory, w których po sto i więcej osób w ciągu jednej zimy przeniosło się do wieczności, pozostali zaś przy życiu

wychodźcy, odzwyczajeni od pracy, bez sił odpowiednich do ciężkiej roboty w polu, smutne sprawiali wrażenie nawet na własnych ziomkach jak Kratter lub Hacquet, zwiedzających w owych czasach Galicyę. Hacquet wręcz przepowiadał iż milionowe koszta, poniesione przez rząd na cele kolonizacyjne, nie przyniosą nawet w dalszej przyszłości skarbowi spodziewanego dochodu. Co prawda, przeciętna rzesza kolonistów składała się, jak zwykle w takich razach z szumowin społecznych, szukających w Galicyi chleba bez pracy. Nie brakło wśród wychodźców ludzi, święcie wierzących, iż rząd ich sprowadził do Galicyi po to tylko, aby się mnożyli. Tak przynajmniej utrzymywała współczesna publikacya miesięczna, berlińska w wyrazach nazbyt drastycznych...

Oprócz ziemniaków, nowym produktem, importowanym do Galicyi przez kolonistów, były krzewy *rheumbarbarum*, przywiezione przez przybyszów z Palatynatu, twierdzących że znają sposób hodowli tej cennej rośliny, dojrzewającej — jak wiadomo — raz na pięć lat. Korzeń jej wówczas, używany jako środek leczniczy, dochodził do kilkudziesięciu funtów wagi, za cetnar zaś tego produktu płacono w owych czasach od siedmiuset do ośmiuset złotych. Rząd z wielką skwapliwością popierał myśl założenia plantacyi tego krzewu na większe rozmiary i sumptem publicznym powstały one pod Samborem tudzież w Mokratynie, w Jaktorowie i w Mierzwicy, w okolicy Żółkwi. Wielkim kosztem stworzono potrzebne urządzenia, pobudowano suszarnie i magazyny, ale ostateczny rezultat nie odpowiedział bynajmniej ogólnym oczekiwaniom. Rheumbarbarum galicyjskie, czyto wskutek nieodpowiedniego wyrobu gruntu pod uprawę, czy też z powodu nieumiejętnej kultury, nie okazało się odpowiedniem do użytku farmaceutycznego. Tak przynajmniej utrzymuje w swej relacyi profesor, Józef Rohrer, który zwiedzał owe plantacye w roku 1802.

Plantatorowie tego pożytecznego krzewu w Mierzwicy stali się w roku 1788 bohaterami głośnej sprawy, która odbiła się skutecznym echem aż pod Spreą. Proces, rozgrywający się

w tutejszym sądzie karnym, przedstawiał się, jak następuje: Oto koloniści, przybyli z Palatynatu, Jakób Brinckmann, Sebastyan Bosch, Baltazar Magsamen i Marcin Resch, osiedliwszy się w Mierzwicy, otrzymali od rządu, oprócz chaty i pola ornego, jeszcze kawał gruntu, przeznaczonego na plantacyę. Pod pozorem różnorodnych wkładów wyłudzili oni w krótkim stosunkowo czasie od skarbu sumę dwóch tysięcy złotych reńskich, którą przepuścili co do grosza a następnie, sprzedawszy cichaczem bydło i zboże na pniu, zamierzali ulotnić się w inne strony. Przed przekroczeniem granicy zostali jednak schwytani w towarzystwie kolonistów: Pawła Bernharda Hermana Uhla, Filipa Rubina i Wawrzyńca Gabla oraz dwunastoletniego syna tego ostatniego, Piotra, odgrywającego w całej sprawie główną rolę. Pietrek bowiem przybywszy do Galicyi małem dzieckiem, nauczył się najprędzej po polsku, tak, iż starszym mógł służyć za tłómacza w stosunku z krajowcami.

Schwytanych zbiegów odstawiono do sądu a jednem z pierwszych pytań, zadanych im przez sędziego śledczego była kwestya, co się stało z zaliczką rządową oraz z gotówką, wziętą za inwentarz? Na to odpowiedział Paweł Bernhard, że pieniądze te wyłudziła od nich czarownica, Anna Kowalska, zwana pospolicie Jędrzejową, zamieszkała we wsi Skwarzawie. Zeznanie to posłużyło za podstawę do dalszego śledztwa, które wyświeciło oryginalny przebieg sprawy: Koloniści ci umówili się w lecie 1788 r. by spieniężywszy, co się da, rzucić galicyjskie Eldorado i powrócić nad Ren. Łatwiej wszakże powiedzieć, jak wykonać ten zamiar w kraju, w którym granica była bardzo dobrze strzeżona... Kiedy bieda, to do żyda. Jakoż znalazł się poczciwy izraelita, który strapionych kolonistów zaprowadził do chłopa ruskiego, kuternogi, zamieszkałego wśród lasu pod Mostami. Kuternoga był oczywiście niesamowity, gdyż za hojnem wynagrodzeniem obiecał przybyszom uczynić ich niewidzialnymi. Przymiot ten miał trwać przez trzy doby, w ciągu któregoto czasu uciekający nadprzyrodzonym również sposobem znaleść się już mieli w granicach świętego rzymskiego

imperyum. Dla uczynienia kolonistów niewidzialnymi dał im ów znachor beczułeczkę, napełnioną jakimś czerwonawym płynem, którym mieli się umywać wśród pewnych, czarodziejskich obrzędów a wspaniałomyślny, jak wszyscy czarnoksiężnicy, obdarzył swych klientów, proszących go o pieniądze, pewnemi nasionami i ziołami. Dar ten po przejściu granicy przez kolonistów miał się przeobrazić w szczere złoto...

Po powrocie do domu, naiwni prostaczkowie jęli się obmywać owym tajemniczym płynem, ale niewidzialnymi się nie stali. Za gotówkę nabyli przeto od kuternogi nowy zapas cudownej wody, lecz, prócz straty wydanego grosza, nie doświadczyli na sobie żadnych innych skutków. Niepocieszeni tym zawodem, wyrzekali dnia pewnego Brinkmann, Resch i Gabel w Żółkwi na brak pieniędzy, potrzebnych na dalsze opłacenie chciwego znachora, gdy w tem nieproszony zbliżył się do nich nieznajomy żydek, ofiarując swą pomoc w wydostaniu gotowizny. I tym razem operacya owa odbyć się miała w sposób nadprzyrodzony, tajemniczy, nie zaś za pomocą prozaicznej pożyczki, lub zastawu. Pod przewodem żyda udali się nasi koloniści do Skwarzawy, gdzie stara wiedźma, Jędrzejowa, podjęła się dostarczyć im tyle pieniędzy, ile zechcą. Przedtem jednak dla odprawienia potrzebnych guseł zażądała od przybyłych pewnej ilości cukru, niesolonego masła, wódki, tytoniu i płótna, nie licząc wynagrodzenia, złożonego jej w brzęczącej monecie. Pośrednikiem i tłómaczem między Jędrzejową a kolonistami był wyrostek już poprzednio wspomniany, Pietrek Gabel. On też towarzyszył starszym w wyprawie do pobliskiego lasu, gdzie wiedźma wywołała pokutującego w tem ustroniu ducha, Mykitę. Upiór ten — według opowieści Jędrzejowej — był za życia królem, lecz za ojcobójstwo skazany został na tułaczkę w skwarzawskim borze. Mykita stawił się bezwłocznie na wezwanie czarownicy. Wysoki był jak drzewo, gruby gdyby beczka. Pysk miał ogromny, z ust zaś sterczały mu długie, ostre zęby; oczy posiadał wielkości pokrywy od garnków. Ubierał się Mykita po niemiecku, z ramion spadał mu płaszcz fioletowy, na głowie

nosił okrągły kapelusz — tak przynajmniej opisał owe zjawisko Wawrzyniec Gabel w sądowym protokole. Król-duch zapytał prosto z mostu kolonistów, czego chcą od niego?

— Pieniędzy! brzmiała jednozgodna odpowiedź.

— Ile?

— Każdy po milionie dukatów...

— Będziecie je mieli. Czy jeszcze czego żądacie?

— Chcemy być niewidzialnymi i w ciągu doby znaleźć się w Palatynacie.

— I to się stanie. Cóż mi dacie w zamian?

Tu urwała się rozmowa, prowadzona do tej pory za pośrednictwem Pietrka, który nagle rzucił się na ziemię i z przeraźliwym krzykiem jął błagać ojca, by go nie oddawał szatatanowi... Mykita — jak się okazało — żądał na swe usługi chłopaka na własność. Na razie jednak miłość ojcowska wzięła w sercu starego Gabla górę nad chciwością i oświadczył stanowczo, że dziecka swego nie odda za żadne skarby świata. Wobec tak kategorycznej odmowy, upior podział się gdzieś w lesie, lecz powracających do wsi Jędrzejowa pocieszała, że Mykita po namyśle może zgodzi się na przyjęcie w zamian za swe dary, jakiego obcego dziecka. Jakoż w parę dni później, na ponownej schadzce w lesie, zaofiarował królowi jeden z wtajemniczonych, Magsamen nazwiskiem, dwoje dzieci — powierzonych mu na wychowanie. Ale upior był wybredny. Nie chciał i słyszeć o podobnej propozycyi, odrzucając równocześnie ofiarę z nieurodzonego jeszcze dziecka Magsamenowej, wobec czego kolonista Resch zdecydował się wreszcie na poświęcenie własnego syna, dwunastoletniego Adasia, na ten cel. Teraz jednak począł kręcić Mykita, twierdząc, że nie chodziło mu o dziecko, lecz o dorosłego mężczyznę z tego grona i — nie pojawił się więcej.

Biedni koloniści, ograbieni z grosza, puścili się w powrotną drogę do ojczyzny bez cudownego płynu oraz bez dukatów Mykity. Nie dziw przeto, iż niebawem dostali się za

kraty i pod zarzutem zmarnowania pieniędzy publicznych zasiedli na ławie oskarżonych.

Publikacya berlińska, (Berlinische Monatsschrift 1789), służąca za podstawę niniejszej opowieści, nie podaje niestety w roku 1789 dokończenia tej ciekawej sprawy. Natomiast uczony Hacquet, w wydanym we dwa lata później opisie swych podróży po Galicyi, zapewnia stanowczo, iż pomysłowi plantatorowie, pokradłszy dojrzałe już korzenie *rheumbarbarum*, umknęli wraz z nimi do Polski.

* * *

Podobnie jak stosunek między chatą wiejską a dworem uległ w ostatnich lat dziesiątkach gruntownej przemianie, tak też zmieniły swą fizyonomię wielkopańskie rezydencye, jakiemi były Łańcut, Sieniawa, Zarzecze z końcem ośmnastego i z początkiem naszego stólecia.

Z Łańcutem, z tą uroczą rezydencyą Romanów hr. Potockich, łączą się wspomnienia dziejowe, odległych sięgające wieków.

W starym zamku Pileckich, który padł ofiarą płomieni podczas najazdu Rakoczego w lutym 1657 roku, przyjmowała Elżbieta z Granowskich Pilecka, dziedziczka Łańcuta, w roku 1417 Jagiełłę, którego niebawem ku niemałemu zgorszeniu wielmożów królestwa zaślubiła w Sanoku. Po Pileckich przeszedł Łańcut w ręce Stadnickich a Stanisław Stadnicki, starosta zygwulski, zwan dyabłem, upamiętnił się na długie lata w dziejach tego miasta i całej okolicy. On to otoczony najemnem żołnierstwem, założył w tamtejszym klasztorze Dominikanów własną mennicę, i niepoprzestając na sąsiedzkich zajazdach, podniósł w roku 1606 rokosz przeciw prawowitemu panu, by w końcu poledz w bratobójczej z Opalińskimi walce pod Tarnowcem. Od roku 1629 Łańcut stanowił własność Lubomirskich. Stanisław Lubomirski, wojewoda ruski, jął zabezpieczać miasto od tatarskich zagonów wałami oraz budową warownego zamku, wzniesionego w roku 1641. W tej to rezydencyi, istnie-

jącej po dziś dzień, przyjmował syn Stanisława, marszałek koronny, Jerzy Lubomirski, w dniu dwudziestym pierwszym 1656 roku powracającego ze Szląska Jana Kazimierza. Najazdy Siedmiogrodzian i szwedzka gospodarka podczas napadu Karola XII dały się wprawdzie we znaki łykom łańcuckim, ale zamek ocalał szczęśliwie w tej burzy. Ostatnim po mieczu dziedzicem Łańcuta z rodu Lubomirskich był Stanisław, wielki marszałek koronny, minister przezorny, przystępny i sprawiedliwy — jak go charakteryzują współcześni — którego zasługą było ostateczne urządzenie zamku. Gmach ten, zbudowany w stylu odrodzenia, zachował, mimo późniejszych przerobień, pozór obronny i narożne wieże. Zbudowany w czworobok, otoczony był jeszcze w roku 1793 fosą i murem warownym ze strzelnicami, w bramę zaś wjeżdżało się po moście zwodzonym. Między fosą a zamkiem istniał wówczas niewielki ogródek kwiatowy, pełen rzadkich krzewów, podczas gdy park angielski rozciągał się w pewnej odległości od rezydencyi.

Łańcut był podówczas stałą siedzibą księżny-marszałkowej, wdowy, która jako pani olbrzymiej fortuny oraz jako osoba rzadkich przymiotów umysłu i serca, znakomitą w całym kraju odgrywała rolę. Starsza siostra księcia-jenerała ziem podolskich, Izabela z Czartoryskich Lubomirska, otrzymała wprawdzie po rodzicach mniejszą od brata schedę, lecz w rękach swych zjednoczyła majątki Sieniawskich i Lubomirskich. Jej własnością prócz Łańcuta, były w dzisiejszej Galicyi: Krzeszowice, Brzeżany, Przeworsk, Leżajsk, Skole, a nadto Konstantynów i Satanów na Podolu tudzież Wilanów, Nieporęt, Opatów i Pików w Królestwie.

Wzrostu miernego, oczu dużych, czarnych, dużego, ściągłego nosa, nosiła się księżna marszałkowa skromnie, acz ówczesnym zwyczajem pudrowała włosy i używała różu. Charakterystycznym jej ruchem było podpieranie się w bok ręką. Była księżna Izabela matką czterech córek, z których trzy: Anna, Aleksandra i głośna z urody Julia, zaślubiły Ignacego, Stanisława i Jana Potockich czwarta zaś, Konstancya, oddała rękę Sewerynowi

Rzewuskiemu. Nie mając syna, przyjęła księżna na wychowanie kasztelanica kijowskiego, Henryka Lubomirskiego, syna ukochanej niegdyś przez Kościuszkę Ludwiki Sosnowskiej i obdarzyła go zapisem Przeworska a mimo licznego zastępu własnych wnucząt, była nadzwyczajną zwolenniczką i obcej dziatwy, którą obsypywała podarkami i przysmakami. O rozumie księżny świadczyło najwymowniej powtarzane wielokrotnie zdanie Marmontela, iż wie ona więcej i lepiej zna język francuski, aniżeli dwie trzecie członków Instytutu. Objąwszy po śmierci męża zarząd majątków, zaprowadziła w nich przy pomocy emigranta, Gabarda de Vaux, wzorową administracyę, dzięki której dochody wystarczały na prawdziwie wystawne życie, jakie księżna wiodła w Łańcucie i w Wiedniu, gdzie posiadała własny pałac.

Za Targowicy był Łańcut przystanią bezpieczną dla zwolenników konstytucyi Trzeciego Maja, którzy u księżnej znajdowali bezpieczny przytułek. Był w owym czasie jej gościem także Tadeusz Kościuszko a zjazdy w łańcuckim zamku przybierały niekiedy tak znaczne rozmiary, iż przybyłych musiano mieścić w domkach oficyalistów, lub w miasteczku. Księżna marszałkowa, sztywna, etykietalna, była przedstawicielką minionej bezpowrotnie epoki wobec młodszego pokolenia, hołdującego innej idei. I z tego też powodu emigranci francuzcy doznawali u niej jak najżyczliwszego przyjęcia. Krócej lub dłużej bawili w Łańcucie i hrabia Prowancyi, późniejszy Ludwik XVIII i ks. Antoni de Bourbon, ks. Angoulême ze swą małżonką, Maryą Teresą, ks. Berry i ekscentryczny biskup laoński, de Sabran, który swą dumą i wymaganiami dokuczył niejednokrotnie gospodyni domu. Chwilowo też bawiła w Łańcucie autorka «Korynny», pani de Staël, wygnana z Francyi za pierwszego cesarstwa. Fety, przedstawienia amatorskie, bale, następowały jedne po drugich. Królowała na nich zazwyczaj Katarzyna z Jaworskich Starzeńska, słynna w swoim czasie piękność, za którą szalała cała młodzież z Henrykiem Lubomirskim i z Alfredem Potockim na czele. Księżna marszałkowa

zwała ją: *la belle Gabrielle*. Wysoka, bruneta o jasnej cerze, pani Starzeńska nietylko w kraju liczyła wielbicieli na legiony, gdyż bawiąc w Paryżu za czasów konsulatu święciła i nad Sekwaną świetne tryumfy. Rywalizowała zwycięzko z głośną panią de Récamier a wicekról włoski, Eugeniusz, składał jawnie u stóp jej swe hołdy. O niej to opowiadano, iż przed wychodzącą z Luwru grenadyer, stojący u wejścia, skrzyżował bagnet, twierdząc z prawdziwie francuską galanteryą, iż nie może wypuścić z muzeum posągu Wenery...

Tem też posępniejsze wrażenie sprawiała cisza, w jakiej pogrążył się Łańcut po śmierci księżny Izabelli, która zmarła w Wiedniu, w listopadzie 1816 roku. Na domiar nieszczęścia pożar zniszczył miasteczko w roku 1820, lecz rychło odzyskał Łańcut dawną zamożność i świetność pod rządami Alfreda Potockiego, wnuka księżny marszałkowej a syna Julii i Jana Potockich. Używszy w młodości świata, zażył też hrabia Alfred trudów wojennych a objąwszy na mocy działu, uczynionego z bratem Arturem w Brzeżanach, dobra Łańcuckie, zabrał się z całym zapałem do podniesienia gospodarstwa tamtejszego. Wprawdzie hrabia Artur, jako młodszy, miał prawo wyboru schedy, jednakowoż widząc, że Alfredowa Potocka pragnie zamieszkać w Łańcucie, wybrał zaniedbane i mniejszej wartości dobra Krzeszowickie.

Alfred Potocki gospodarzem był postępowym. On pierwszy z panów galicyjskich odczuł ważność i pożytek przemysłu rolniczego, zakładając gorzelnie, cukrownie, obory i owczarnie rasowe. Mniej może gwarno, lecz niemniej po magnacku żyło się wówczas w Łańcucie, gdzie nigdy nie brakło przejezdnych gości. Zachowane były dla nich obszerne apartamenta na drugiem piętrze, w których — według słów Ksawerego Preka — czuło się często lepiej, niż we własnym domu. Zaglądał też od czasu do czasu w odwiedziny do braterstwa Artur Potocki, który z pomocą sproszonych z okolicy amatorów urządzał w zamku koncerta instrumentalne.

Z owych też czasów datuje się «Opisanie zamku Łań-

cuckiego, ogrodów i jego okolic» pióra Aleksandra Horodydyskiego, zamieszczone w Rozmaitościach lwowskich w grudniu 1826 roku. Horodyski opisuje wnętrze zamku, począwszy od głównego wejścia. Wylicza obrazy zawieszone w pokojach Rubensa i w «żółtym», wspomina o prześlicznym posągu księcia Henryka Lubomirskiego, dłuta Canowy, umieszczonym w «pokoju kolumnowym, jońskim», o galeryi, malowanej *al fresco*, a mieszczącej w sobie ciekawe wykopaliska z Herculanum i Pompei, wreszcie o sypialni księżny marszałkowej, której urządzenie z całym pietyzmem zostało zachowane. Opis sali «paradnej», teatru i kaplicy, podobno na ślub ks. Henryka osobno urządzonej, uzupełnia Horodyski wyszczególnieniem osobliwości, złożonych w muzeum i w «apartamentach chińskich», poczem schodzi do ogrodu, który — jego zdaniem — tem najbardziej się odznacza, że usiane kioski, szałasy, altany, woliery i glorietty nigdzie «nie ćmią widoku...» Wspaniała pomarańczarnia, zbudowana przez Aignera, mieściła w sobie kilkadziesiąt drzew, obsypanych owocami i podobnie jak cieplarnie wraz z całym ogrodem pozostawała pod zarządem Zulaufa, wykształconego w swym zawodzie w ogrodach księcia Oranii. Wzmianka o zwierzyńcu, w którym żywiono sto kilkadziesiąt sztuk danieli, zamyka w artykule Horodyskiego opis rezydencyi w Łańcucie, zkąd udał się do Głuchowa, celem obejrzenia wzorowej owczarni, mieszczącej w sobie do tysiąca sztuk merynosów, chowanych pod dozorem sprowadzonego z Hiszpanii owczarza.

Lecz wróćmy do kroniki towarzyskiej zamku Łańcuckiego, który ożywił się niepomiernie w czasie, gdy prócz gościnności gospodarstwa, uroda hrabianek Julii i Zofii, wydanych później za książąt Liechtensteina i Dietrichsteina, dodawała jednego więcej uroku tej rezydencyi. Prócz zabaw z tańcami, koncertów i przedstawień amatorskich, odbywały się w Łańcucie słynne polowania *par force*. Tryb życia codziennego w zamku w roku 1844 zapisuje Prek w swym dzienniczku następująco: O godzinie dziewiątej rano podawano kawę, herbatę, owoce,

po czem każdy odchodził do siebie. O godzinie dwunastej w południe następowało śniadanie, złożone z kilku półmisków mięsnych, zastawionych bez nakrywania stołu. O godzinie szóstej wieczorem zbierano się na obiad, o dziewiątej przy herbacie.

Hrabia Alfred był namiętnym zwolennikiem sportu wszelkiego rodzaju. Niedziw przeto, iż w Łańcucie odbywały się wyścigi na długi czas przedtem, aniżeli pomyślano o urządzeniu takowych we Lwowie. I tak w ostatnich dniach lipca 1839 roku, podczas bytności arcyksiążąt Franciszka i Ferdynanda Modeńskich tudzież Ferdynanda d'Este, gubernatora Galicyi, bawiących w gościnie u Potockich, odbyły się pod Łańcutem wyścigi, jedne z pierwszych w naszym kraju. Zrazu ścigali się włościanie, koloniści niemieccy i dworscy kozacy. Później nastąpił bieg panów, z którego wyszedł zwycięzko rotmistrz Aniosz, siedzący na koniu krajowego chowu Seweryna Drohojowskiego z Balic. Pobił wszystkich współzawodników, ścigających się na koniach angielskich. Po wyścigach, na folwarku Wolą zwanym, podawano wiejski podwieczorek, wieczorem zaś odbył się w zamku bal wspaniały.

Ciekawą niemniej wzmiankę o polowaniu *par force*, odbytem w Łańcucie w jesieni 1844 roku, zawiera pamiętnik Preka. Panowie wystąpili przy tej sposobności w pąsowych rajtrokach, w białych, wełnianych kamizelkach, z świecącymi guzikami, w takichże manszestrowych spodniach i w butach palonych. Wśród myśliwych znalazł się i Jan Stadnicki, gotów zawsze, mimo szóstego krzyżyka do konia, jak do tańca, tudzież Leon Rzewuski, który w ciągu pościgu spadł z konia. Naprzód łowczy, Anglik, puścił na żart psa z lisim ogonem, wiezionego w worku a następnie prawdziwego mykitę, którego też niebawem uszczwano. «Kossak, młody człowiek z talentem» — słowa pamiętnika — «zrobił szkic całego tego polowania. Profile myśliwych tak są podobne, że wszyscy spostrzegłszy ten talent wysoki, zrobili składkę na tego młodzieńca, aby mógł za granicą wydoskonalić się w rysunku, którego dotąd mało się jeszcze uczył. Jakto czasem szczęście samo się znajdzie».

Mowa tu o Juliuszu Kossaku, sędziwym dziś i zasłużonym artyście-malarzu.

Inny charakter, mniej może wystawny i głośny, bardziej zato staropolski miało życie dworu sieniawskiego, kędy osiadł pod koniec życia książe-jenerał ziem podolskich wraz z swą dostojną małżonką, oraz z licznem gronem przyjaciół i domowników. Wprawdzie Sieniawa w porównaniu z Puławami skromną tylko była rezydencyą, jednakowoż bawiono się doskonale w tamtejszym dworze dzięki staropolskiej, wielkopańskiej w prawdziwem tego słowa znaczeniu gościnności księcia jenerała, oraz pomysłowości jego synowej, młodziuchnej księżny Anny, żony księcia Adama, która wydana za mąż w siedemnastym roku i przez czas dłuższy bezdzietna, lubiła zabawy, bale i widowiska wszelkiego rodzaju.

Pałac w Sieniawie, murowany, bez piętra, posiadał sień ogromną, służącą zarazem za jadalnię, dalej wielki salon, którego ściany pokryte były karykaturami angielskiemi i sztychami, tudzież osobiste apartamenty starych księstwa. Wzdłuż dziedzińca, otoczonego żelazną kratą, ciągnęły się po obu stronach parterowe oficyny, z drzewa zbudowane. W nich mieściły się pokoje gościnne, mieszkania służby i kuchnia. Podobne oficyny, zbudowane już po za obrębem dziedzińca, zawierały apartamenty dla przyjaciół książęcych, bawiących niemal stale w Sieniawie. Z głównego salonu w pałacu schodziło się do ogrodu, utrzymywanego w stylu włoskim. Przed oknami rabaty kwiatowe, dalej lipowe, odwieczne szpalery, labirynty grabowe, piramidy świerkowe, sadzawki i winnice starannie utrzymane, dodawały niemało uroku tej rezydencyi. Tak wyglądała Sieniawa z końcem ośmnastego i z początkiem bieżącego wieku, według opisów Leona Dembowskiego, który w niej dziecinne spędzał lata.

Po roku ośmsetnym dwunastym książe-jenerał stale już zamieszkał w tej rezydencyi. Liczył wówczas lat przeszło ośmdziesiąt, lecz zawsze starannie ubrany i upudrowany, odznaczał się wielką wobec dam galanteryą. Przybywające w odwiedziny

panie zwykł był w rękę całować, a nieraz też staruszek kształtną rączkę ujrzawszy, do serca ją przycisnął... Wilia Bożego Narodzenia, w którą przypadały imieniny księcia, była świętem uroczystem dla całej okolicy. Do rezydencyi spieszyła nietylko szlachta, osiadła w tych stronach, ale ciągnęli też do pałacu mieszczanie sieniawscy z pochodniami i z chorągwiami, tudzież wieśniacy z dóbr księcia i żydzi — wszyscy z życzeniami i błogosławieństwy dla sędziwego starca, który osobistością swą przypominał dawne, lepsze czasy. Suta wilia rozpoczynała szereg świątecznych uroczystości, po których następował niemniej ochoczy karnawał.

Księżna Anna, zwana powszechnie księżną-wojewodziną, rej wiodła w tem wesołem gronie, starającem się na wyścigi zabawić młodą panią. Bawili też zazwyczaj przez całą zimę w Sieniawie Antoniowie Dembińscy z Nienadowej, których synowie: Konstanty, Eustachy i Gustaw, chowali się pod opieką księstwa wraz z ich wnukiem Adamem, synem ks. Konstantego, osieroconym w czwartym roku życia przez matkę. Wykształceniem tej młodzieży zajmował się pułkownik Ciesielski, który już drugiemu z rzędu pokoleniu Czartoryskich mentorował, podczas gdy pensyą panien, wychowywanych pod opieką księżny jenerałowej, kierowała pani Januszewska. I mąż jej był nauczycielem młodszych wychowanków sieniawskiego dworu, a zarazem przedmiotem wiecznych kpin dla starszych. Dojeżdżali też często do Sieniawy Eustachowie Jaworniccy z Hussowa i Jan Stadnicki z Boratyna, ów mazurzysta niezmordowany, oraz postrach wszystkich mężów, którym tuziny rogów przyprawił i Januarowie Urbańscy z Grzęskiej i słynna z dowcipu oraz z zalotności Ema z Potockich Strzyżewska, żona głośnego w roku 1809 partyzanta. Pobliski Jarosław dostarczał też nie mało gości, że wspomniemy tylko Steiningerów. On, jenerał i komendant jarosławskiej brygady, był człowiekiem bardzo wykształconym, mówił pięknie po francusku i zalecał się nie na żarty do wychowanicy księstwa, panny Wierzchowskiej. Dla niej nauczył się nawet tańczyć mazura

i krył się wobec swej ubóstwionej z nieromantycznym wcale nałogiem zażywania tabaki. Połowica jego, pulchniutka blondynka, kokietowała na swoją rękę, kogo złapała, więc też i pobłażliwą być musiała wobec plantonicznych zresztą afektów swego męża do innych kobiet.

Prócz przyjezdnych gości i stały dwór sieniawski liczył nie mało wesołych towarzyszów zabawy. Prócz Bernatowicza, późniejszego autora głośnej w swoim czasie «Pojaty», sekretarza i lektora książęcego, odznaczającego się uszczypliwym dowcipem i apetytem niepomiernym, byli tu: faworyt księcia-jenerała, wesoły facecyonista Roch Orłowski o apoplektycznej fizyonomii, posiadający specyalny sekret przyrządzania nadzwyczajnego ponczu, oraz marszałek dworu Ignacy Tarchalski, chłop gdyby dąb, o tuszy nadzwyczajnej. Tarchalski odgrywał przedziwnie role żydów w komedyach, pisanych dla sieniawskiego teatrzyku przez Adama Kłodzińskiego, późniejszego dyrektora Zakładu Ossolińskich, który jako guwerner Dembińskich, bawił przy książęcym dworze. W utworach tych, prócz autora, grywali też: księżna Anna, Jan Stadnicki, oraz inni goście i domownicy. Obok komedyi układano też wchodzące w modę szarady i żywe obrazy, ilustrowane muzycznemi kompozycyami Wincentego Lessla, nadwornego pianisty.

Z licznego szeregu zabaw i widowisk, których widownią była Sieniawa w zimie 1819 roku wspomniemy uroczystość króla migdałowego, święconą tamże w styczniu t. r. Starym zwyczajem, przyjętym u nas prawdopodobnie z południa, rozdawano i na sieniawskim dworze, w dzień Trzech Króli, ciasto migdałowe. Kto dostał migdał w wziętym z półmiska kawałku ciasta, zostawał królem lub królową migdałową. W porze, o której mowa, migdał przypadł w udziale młodej księżnie, która przybrawszy sobie za towarzysza rządów księcia-jenerała, postanowiła mu urządzić miłą niespodziankę. Jakoż nazajutrz, gdy staruszek o zwykłej porze opuszczał swą sypialnię, zastał u drzwi tejże panów, szambelanów i dwór cały, na poczekaniu stworzony, który go z całym ceremoniałem od-

prowadził do sali. Tu już ustawiono tron na podniesieniu, otoczonem przez dygnitarzy w fantastycznych kostyumach. Ministrem oświecenia zamianowano na drwiny biednego Januszewskiego, ochmistrzem był Bernatowicz, «wielkim ponczarzem» Orłowski. Niebawem otworzyły się podwoje od sieni i poprzedzona świetnym orszakiem koniuszych, szambelanów i kawalerów honorowych, ukazała się księżna Anna jako królowa. Przepyszny dyadem wieńczył jej skronie, zaś powłokę od sukni białej, złotem przetykanej, niosło dwóch paziów. Królowej towarzyszył dwór niewieści, panie i panny honorowe.

Gdy już wszyscy zajęli swe miejsca, wystąpili na środek sali marszałkowie: Jan Stadnicki i Antoni Dembiński, zapowiadając przybycie posłów od postronnych dworów. Ozwała się muzyka i Kluczewski, bardzo nizkim odznaczający się wzrostem, wszedł w przebraniu praporszczyka, by z stosowną przemową, w rosyjskim wygłoszoną języku, zaofiarować księciu futra i ryby. W ślad za nim kroczył Tarchalski za Turka przebrany i wiodąc za sobą orszak panieński, z twarzami gazą zasłoniętemi, przedstawił je jako czerkieski, które sułtan przysłał królowi sieniawskiemu, sławnemu płci pięknej wielbicielowi. Z kolei przybywali: Eustachy Dembiński jako Chińczyk i Kłodziński jako poseł z Kongo, by wręczyć księciu porcelanę i owoce, zaś Szyrma jako retor ateński podał mu wawrzynowy wieniec...

Przy sutej kolacyi nastąpił ponowny wybór. Tym razem migdał dostał się księciu Adamowi, który na królowę zaprosił panią Morską z Zarzecza. Jakoż w tydzień później odbyła się w Sieniawie ponowna feta. Tym razem urządzono w dużej sali żywe obrazy, których układem zajmował się książe Adam. Poważny dyplomata okazał się wybornym reżyserem tego rodzaju widowisk. Obrazów było sześć, podzielonych na dwie serye. W pierwszej seryi «Cyrce» Guerchina przedstawiała pani Debolina, zaś jutrzenkę Carache'a sama księżna wojewodzina. Ujrzano ją ulatującą wśród obłoków i sypiącą kwiaty na śpiącego Cefala, którym był Eustachy Dembiński. «Na czole jej

jaśniała brylantowa gwiazda, lekkie skrzydła zdobiły jej ramiona a wieńce z róż przepasywały jej kibić» — pisze w swym dzienniczku Ksawery Prek, naoczny świadek tego festynu. — «Zdawało się, że nadobna świeżość tej pani i jej ubior gustowny musiały służyć za wzór malarzowi Carache do tego obrazu». Końcowy obraz pierwszej seryi przedstawiał hetmana Rewerę, przysłuchującego się śpiewowi giermka. Pierwszym był książę Adam, syn księcia Konstantego, drugim Ksawery Jawornicki.

W czasie, gdy widzowie udali się na lody do apartamentów księcia Adama, czyniono przygotowania do drugiego oddziału obrazów, na który złożyły się: «Portret Juliusza II.» przedstawiony przez Kłodzińskiego, Fedra, oskarzająca pasierba wobec Tezeusza w interpretacyi pani Urbańskiej, Ksawerego Preka i Jana Stadnickiego, tudzież «Rajcy Amsterdamscy», według obrazu Keisera, reprezentowani przez czterech małych chłopaków, przebranych za starców.

Tańce, trwające do rana, zakończyły ten wieczór, którego prawdziwą królową była księżna Adamowa w kostyumie Jutrzenki. — «A jeżeli podobna do niej była świeżością, to równała się lekkością zefirowi a układnością gracyi» — pisze o niej Prek w swych wspomnieniach.

I pani Morska nie omieszkała się wywdzięczyć księstwu za okazany jej zaszczyt migdałowego królestwa na sieniawskim dworze. Pani ta, z domu hrabianka Dzieduszycka, słynęła jako znakomita gospodyni i kobieta rzadkich cnót. Zarzecze słynęło w Galicyi z wybornie urządzonego gospodarstwa. Wszystkie budynki folwarczne były murowane, obory wzorowe, ogrody i szklarnie z przepychem utrzymywane. Dom prowadziła pani Morska otwarty, gdyż, jak rok długi, odbywały się u niej w niedzielę zjazdy sąsiedzkie, na które spieszyła młodzież i z dalszych okolic. To też w dniu czwartym lutego 1819 r., na przyjęcie sieniawskich gości, Zarzecze odświętną przybrało postać. «Całe sąsiedztwo zgromadzone» — słowa Preka — «muzyka regimentowa, oświecenie domu doskonałe, obiad i kolacya wykwintne, czyniły ten bal jednym z najładniejszych i najweselszych. Śnia-

danie było w górnym apartamencie. Składa się on z sali okrągłej z kopułą w sztukaterye, ekstra-pięknej posadzki, meblów nie wytwornych, ale bardzo gustownych i pokoju, zwanego weneckim, dlatego, że w nim znajduje się okno na wzór weneckiego, wiele biustów, figur alabastrowych, mozaik i obrazów pięknych, kupionych we Włoszech w czasie pobytu tam pp. Morskich. W sali były stoły papierem cienkim okryte i w różne desenie pogiętym, zupełnie naśladujący marmur biały. Na nich znajdowało się wszystko, co smak i przepych wyobrazić może. Bal trwał do ósmej zrana».

Tak bawiono się w Sieniawie i w Zarzeczu w zimie 1819 roku. Niestety już w niedalekiej przyszłości opustoszała Sieniawa. W marcu 1823 roku zmarł książę jenerał, zaś księżna Izabela opuściła pałac Sieniawski, przenosząc się na stały pobyt do Puław, zkąd wygnały ją wprawdzie wypadki listopadowej rewolucyi z powrotem do Galicyi, lecz księżna nie zaglądnęła już do Sieniawy, jeno zamieszkała w Wysocku, gdzie też w roku 1835 życia dokonała. Po wojnie 1831 roku ucichło i gwarne niegdyś Zarzecze, którego dziedziczka wszystkie swe dochody poświęcała na wspieranie ubogich wychodźców, szukających w Galicyi bezpiecznego przytułku wobec zemsty cara Mikołaja. Po jej śmierci, (r. 1847), przeszło Zarzecze na własność Józefa Dzieduszyckiego, ojca hrabiego Włodzimierza.

* * *

Obok rezydencyi jakiemi były siedziby Potockich, Czartoryskich, Dzieduszyckich, niemniej gwarne, huczne nawet życie wrzało w kołach ziemiańskich.

Ziemianin, czyli szlachcic galicyjski, gdyż w owym czasie większa posiadłość znajdowała się wyłącznie w ręku szlachty, przemysłem trudnić się nie chciał i nie mógł, bądź dla braku odpowiedniego kapitału obrotowego, bądź też z powodu przeszkód, stawianych przez rząd na każdym kroku w dziedzinie przemysłowej. Urzędu imał się chyba w ostatniej potrzebie, gdyż służba publiczna, rządowa, przedstawiała jedynie dla obco-

krajowców ponętne widoki. Pozostawały mu przeto: gospodarka wcale niekłopotliwa przy pańszczyźnianej robociźnie i hulanka w wesołem gronie wiejskich sąsiadów, lub też na miejskim bruku.

Szlachta galicyjska odziedziczyła po swych przodkach wszystkie cnoty i przywary. Była waleczną i gościnną, miłującą kraj ojczysty. Lecz podczas gdy brakło jej szerszej widowni do okazania owych zalet, nie zbywało naszemu ziemiaństwu nigdy na silnych, bo z góry pochodzących pokusach do powtórzenia dawnych błędów. Rząd troskliwie podtrzymywał pierwiastek arystokratyczny wśród tutejszego społeczeństwa, zaprowadzeniem Stanów, dzielących ogół posiadaczów ziemskich na magnatów i stan rycerski, rozdawnictwem tytułów hrabskich i baronii, tudzież tytularnych urzędów dworskich.

Chcąc nie chcąc, musiał każdy szlachcic galicyjski być arystokratą. Od kolebki bowiem nie przestawano w niego wmawiać, że jest istotą wyższą, różną zupełnie od ludu nieszlacheckiego pochodzenia. W domu służba dworska i nieodzowny w owych czasach guwerner, pełniący w wolnych od nauki chwilach rozliczne inne, podrzędniejsze funkcye domowe, wmawiali w panicza, że z innej ulepiony został gliny, niż reszta otoczenia.

W szkołach szlacheckie dziecko otrzymywało w świadectwie tytuł: *nobilis*. Nauczyciele do chłopca nie przemawiali inaczej, jak tylko dodając do jego nazwiska: *de* i *von*, do których to dystynkcyi nie mogli żadnych żywić pretensyi plebejscy potomkowie. W szkołach traktowany z pobłażaniem, gdyż — jak twierdzono — panicz nauki nie potrzebuje, wchodził młodzieniec w świat, gdzie na każdym kroku odmienne od mieszczanina i chłopa służyły mu prawa. Inny sąd go sądził, inną, dziesięćkrotnie wyższą płacił należytość stemplową, żenił się, chrzcił dzieci, umierał nawet inaczej od szarej, nieherbowej rzeszy. Nie dziw przeto, że wyjątkowej potrzeba było natury, by wyzwolić się z objęć przesądu, uznać w bliźnim brata, zająć się przemysłem, handlem, lub pracą umysłową. Chlubnych, nielicznych

niestety przykładów nie brakło i pod tym względem wśród ziemiaństwa galicyjskiego, lecz szerszy ogół szlachecki bawił się z reguły gospodarką bynajmniej nie postępową, poświęcając całe dnie i noce rozrywkom, wśród których łowy jeszcze najpoważniejszem były zajęciem. Gra, miłostki i hulanka wypełniały osnowę życia tych wesołych helotów, którzy nadmiar sił żywotnych, dawnej fantazyi i rodzimego dowcipu, zużywali na bezmyślne fraszki, dziś dla nas wręcz niezrozumiałe swą nicością.

Z owych to czasów datują się wspomienia o słynnych oryginałach, naturach hulaszczych, awanturniczych, zapełniających odgłosem swych przygód kraj cały.

Jedną z takich osobistości był Józef hr. Kalinowski, właściciel obszernych posiadłości w Samborskiem, który przez lat dziesiątki uchodził za godnego następcę groźnego starosty Kaniowskiego. Za młodu sługiwał Kalinowski w szeregach napoleońskich i w jednej z bitew uratować miał życie Muratowi, podając mu własnego konia. Po rozwiązaniu wielkiej armii, osiadł na wsi, a nie znajdując żadnej okazyi, któraby mu dała sposobność do pożytecznego rozwinięcia niezwykłego iście temperamentu, bawił się i hulał, przesiadując na przemiany na wsi, we Lwowie i we Wiedniu. Niski, chudy, brunet o smagłem obliczu, okolonem faworytami, posiadał — wedle pamiętnika Preka — powierzchowność bandyty. Gdy jednak chciał, umiał być przyjemnym tak w towarzystwie kobiet, wśród których bezprzykładnymi cieszył się sukcesy, jak i wśród mężczyzn, gdzie słynął jako niewyczerpany w opowiadaniach facecyonista.

Ubierał się bogato, choć z pozornem zaniedbaniem, lecz biada śmiałkowi, któryby mu ośmielił się wejść w drogę. W mieście rozprawiał się szablą z przeciwnikiem, na wsi nie oszczędzał batogów, których szafunkiem zajmowali się bezwłocznie hajducy, towarzyszący panu na każdym kroku. Ożenił się Kalinowski z hrabianką Potocką, a ponieważ ojciec panny nie zgadzał się na ten związek, przeto wykradł swą przyszłą z rodzicielskiego domu. Pożycie Kalinowskich nie było szczęśliwe

Pani odjechała męża po kilku latach wraz z dwiema córeczkami, które mu powiła. Uzyskała rozwód i przeniósłszy się do Petersburga, wyszła po raz wtóry za mąż za jednego z tamtejszych dygnitarzy wojskowych. Kalinowski niedługo rozpaczał po stracie małżonki i rychło się pocieszył względami bawiącej wówczas we Lwowie pani Seweryny Sobańskiej.

Na ekscentrycznych pomysłach nigdy mu nie zbywało. Pewnego dnia przechadzając się po ulicach Wiednia, zauważył wyglądającą z pewnego okna na pierwszem piątrze starą niemkę, obdarzoną olbrzymim nosem. W tej chwili zakłada się z swym towarzyszem, że ową niewiastę pociągnie publicznie za jej okazały organ powonienia. Zakład staje, poczem Kalinowski, każe spotkanemu latarnikowi przystawić drabinkę do odnośnego okna, podczas gdy namówieni przez niego paupry podnieśli straszliwą wrzawę na ulicy. Ciekawa baba pospieszyła co rychlej do okna, z czego skorzystał Kalinowski, by ją za nos pochwycić... Bardziej nieprzyjemną dla towarzyszącego Kalinowskiemu Debolego była inna psota, wyprawiona przez pomysłowego birbanta na targowicy, na której jął kupować jaja u straganiarki. W chwili jednak, gdy przekupka zajęta była liczeniem otrzymanych pieniędzy, wskoczył Kalinowski na stragan, pobił wszystkie jaja i dalej w nogi!... Stary, schorzały Deboli nie mógł za nim zdążyć i padł ofiarą mściwej straganiarki, która obrzuciwszy biedaka potokiem przezwisk i przekleństw, kazała mu zapłacić za wyrządzoną jej szkodę.

We Lwowie głównym przedmiotem złośliwych figlów Kalinowskiego był Alojzy Ankwicz, arcybiskup rz. katol. obrządku. Syn powieszonego w roku 1794 marszałka Rady Nieustającej, nie lubił Polaków i nawzajem nie cieszył się sympatyą ziomków, którzy bardzo chętnie powitali wieść o jego przeniesieniu do Pragi. Ankwicz, zasiadłszy na stolicy lwowskiej liczył zaledwo lat czterdzieści. Wysokiego wzrostu, przystojny, o pudrowanej fryzurze, surowy i dumny dla kleru, nie był podobno wolnym od słabostki wobec płci pięknej. Skorzystał z tego Kalinowski, a dowiedziawszy się, iż Ankwicz otrzymał pocztą z Wiednia

zamówiony u jednego z tamtejszych malarzy obraz religijnej treści, przekupił urzędnika pocztowego, z którego pomocą odmienił obraz w pace się znajdujący. Można więc sobie wyobrazić konsternacyę Ankwicza, gdy w obecności licznych gości zalecił służbie wydobyć malowidło z opakowania. W miejscu kompozycyi religijnej treści znalazł się bowiem portret znanej z urody aktorki sceny lwowskiej, panny Rutkowskiej!... Dodać na tem miejscu niezawadzi, że psota ta była jedną z najbardziej niewinnych, jakie bohater niniejszej opowieści wypłatał Ankwiczowi...

Wogóle Kalinowski nie liczył się wcale z regułami światowego konwenansu. W zakładzie kąpielowym w Bardyowie, odwiedzanym wówczas licznie przez szlachtę galicyjską, mieszkała naprzeciw apartamentu, zajmowanego przez hrabiego, młoda Węgierka, wysiadująca ustawicznie na ganku. Kalinowskiemu sprzykrzyła się ta kontrola i pewnego dnia pojawił się przed swem mieszkaniem — w rajskim kostyumie. Przerażona sąsiadka uciekła i więcej się nie pokazała.

Szczęśliwy w miłostkach, szczęśliwym był niemniej Kalinowski przy zielonym stoliku. Od Stanisława hr. Skarbka, za czasów, gdy przyszły twórca drohowyzkiej fundacyi był jeszcze utracyuszem i hulaką, wygrał w ciągu jednej nocy klucz Obertyński. Skarbek oddał Obertyn wraz z całym inwentarzem i remanentem wygrywającemu, lecz od tej chwili przez całe życie nie wziął kart do rąk i nie znosił wszelkiej gry w swym domu. Niemniej ciekawem było zajście Kalinowskiego z Albertem Mierem. Mier, prócz dowcipu i odwagi słynął też z roztargnienia, a z Kalinowskim przez czas dłuższy w przyjaznych pozostawał stosunkach. Zakupiwszy Leżajsk, potrzebował gotowizny i zapożyczył się u Kalinowskiego, który razu pewnego będąc na obiedzie u Miera, zauważył, że gospodarz, przez zapomnienie zapewne, kazał sobie podać jedynego bekasa, jakiego dano na stół. Nie wyzwał go wprawdzie Kalinowski na pojedynek, lecz po obiedzie zaprosił Miera do osobnego pokoju i wyjąwszy z zanadrza skrypt dłużny, żądał natychmiastowej wypłaty kapi-

tału, która dla dłużnika przedstawiała wielkie trudności. Targ w targ, zgodził się w końcu na prolongatę, lecz dwieście dukatów musiał mu Mier zapłacić za owego bekasa, spożytego przy stole.

Tyle o przygodach Kalinowskiego, będącego w swoim czasie najwybitniejszym reprezentantem wybujałej fantazyi szlacheckiej, która skazana na bezczynność, burzyła się i trawiła swe siły na marne wybryki. Przed śmiercią Kalinowski, lubo ateusz przez całe życie, zapragnął się pojednać z Bogiem, zaś Ankwicz, niepomny doznanych przykrości, odprowadził jego zwłoki na miejsce wiecznego spoczynku.

Godnym kuzynem hrabiego Józefa był Ignacy hr. Kalinowski, dziedzic Beniowej i Boberki w powiecie turczańskim, który w drodze zamiany dóbr z księciem Ponińskim został właścicielem Turki. Objąwszy dobra te w posiadanie, kazał przedewszystkiem spalić wszystkie odnośne dokumenty na dziedzińcu swej rezydencyi, aby przepadły, jak powiadał, wszelkie pretensye, jakieby kto mógł żywić do niego. Kuternoga z urodzenia, czy też z przypadku, dziwaczył niepospolicie a psoty jego nie rzadko były bardzo dotkliwe dla sąsiadów. Prócz niedźwiedzia, przykutego do słupa w dziedzińcu tak zwanego zamku turczańskiego, istniejącego po dziś dzień, utrzymywał hrabia liczny zwierzyniec na osobnym folwarku, noszącym też obecnie nazwę Zwierzyńca. Między innemi posiadał ulubioną małpę a gdy ta mu zdechła, zażądał od miejscowego parocha, Dzikowicza, aby ją pochował. Ksiądz nie chciał oczywiście spełnić tego dzikiego żądania, czem rozgniewany Kalinowski kazał go zakopać po szyję w ziemi a zanim mu przyszła fantazya uwolnienia nieszczęśliwego, biedaczysko skonał z przestrachu. Również niedorzecznym był pomysł Kalinowskiego, który kazał usunąć ustawioną w pobliżu zamku figurę świętego Jana, ponieważ mu się nie kłaniał... Do najniewinniejszych rozrywek turczańskiego pana należało szczucie psami kwestarzy lub też wywracanie wozu przepełnionego żydami — w błoto... Ożeniwszy się w późniejszym wieku, pozostawił umierając zarząd ma-

jątku wdowie, która wyszedłszy po raz wtóry za mąż, zmarnowała spuściznę. Turka przeszła w obce a następnie w żydowskie ręce. Dla uzyskania bezkarności za swe wybryki żył Kalinowski z urzędnikami na przyjaznej stopie, karmiąc ich i pojąc bez pamięci.

W Samborskiem krąży po dziś dzień następująca z tego powodu powiastka: Był w Samborze aptekarz, lubiący się cichaczem zabawiać a znalazłszy wesołą kompanijkę w pobliskim Drohobyczu, wymykał się tamże nocami, konno. Powracając raz nad ranem, zastał rogatkę przedmiejską zamkniętą i dopiero po długim nawoływaniu udało mu się dobudzić dzierżawiącego myto żydka. Na odjezdnem sprał go porządnie rozgniewany farmaceuta i umykając na swym rumaku, zawołał: Znaj żydzie, jak hr. Kalinowski bije! — Pobity udał się na skargę do samborskiego cyrkułu, którego naczelnik, starosta Raabe, nie pogardzający dobrym obiadkiem i napitkiem, wybrał się natychmiast na komisyę do Turki. Kalinowski przyjął starostę tak gościnnie, iż dopiero dnia następnego, przy południowem śniadaniu mógł mu przybyły dygnitarz oznajmić o celu urzędowym swoich odwiedzin. Nie trudno było gospodarzowi udowodnić swe *alibi*, a przywołani świadkowie stwierdzili tak stanowczo, iż dziedzic z Turki nie wyjeżdżał, że Raabe dał się znów zaprosić na obiad i wieczerzę. Tymczasem rozstawnymi końmi hajducy Kalinowskiego pędzili ku wskazanej rogatce i przetrzepawszy porządnie biednego żydka, już następnego dnia rano byli z powrotem we dworze turczańskim, by asystować przy wyjeździe pana starosty, który sowicie ugoszczony powracał do swej rezydencyi. W Samborze jednak pierwszym, który się nawinął Raabemu na oczy, był nieszczęśliwy dzierżawca myta, spieszący z doniesieniem, że Kalinowski ubiegłej nocy jeszcze gorzej go obił. Oburzony tą bezczelnością starosta, nie wdając się w dalsze dochodzenia, kazał rozciągnąć petenta na ławie i wyliczyć mu dwadzieścia pięć kijów za fałszywą denuncyacyę.

Zmarł Kalinowski nagle, podczas cholery, w Lubieniu

dokąd udał się celem kuracyi. Przed odjazdem do kąpiel miał on zaufanemu służącemu zalecić, by znaczną jego gotowiznę ukrył w podziemnych lochach, rozciągających się pod dworem i wejście do nich zamurował. Lochów tych dotychczas nie zdołano odkryć.

Nowe prądy wśród kół naszego ziemiaństwa wywołało przybycie licznych wychodźców z Królestwa Polskiego, rozbitków z rewolucyi listopadowej, dla których Galicya, podobnie jak to miało miejsce po upadku insurekcyi Kościuszkowskiej, okazała się gościnną przystanią. Już internowanie korpusu Dwernickiego pod Klebanówką zaludniło kraj nasz znaczną liczbą wychodźców, gdyż mimo, iż na miejsce pobytu dla oficerów przeznaczono Morawy, to jednak władze galicyjskie patrzyły przez palce na wymykających się z pod straży wojskowych, którzy częściowo pozostawali w kraju, częścią też przekraczali po raz wtóry graniczne kordony, by powrócić na linię bojową. O wiele ściślej pilnowano rozbitków z korpusu Romarina, który po złożeniu broni rozkwaterowano w okolicy Sokołowa, Leżajska, Kolbuszowy i Niska. Kolbuszowa, rezydencya Tyszkiewiczów, stała się przez czas niejaki głównym punktem zbornym, ogniskiem hucznych zabaw, wydawanych na cześć wojskowych polskich. Przybysze z za kordonu byli to przeważnie ludzie młodzi, ogładzeni, weseli, którzy mimo smutnej doli, nie tracili humoru, ni też fantazyi. Przez długie lata utrzymywała się w okolicy Kolbuszowy tradycya o świetnym balu, wyprawionym przez Tyszkiewiczów na pożegnanie koroniarzy, w przeddzień ich odjazdu do Moraw. Po raz ostatni widziano w tych stronach polskie mundury, szlify i akselbanty. Tańczono do białego dnia. Dziwny jakiś szał opanował zarówno tych, którzy za kilka godzin mieli się udać na gorzką tułaczkę, jakoteż gospodarzy, ze łzą w oku żegnających drogich braci.

Istną też matką dla wychodźców była — jak już wspomniano — Magdalena z Dzieduszyckich Morska. Pani ta, wydana w młodym bardzo wieku za krzywego i garbatego Ignacego

Morskiego, nie zaznała szczęścia w pożyciu małżeńskiem, gdyż mąż, lubo wcale niepowabny, zdradzał ją otwarcie dla znanej w swoim czasie pani Oborskiej, której nawet część majątku zapisał. Żonie dostało się Zarzecze, a zapobiegliwa wdowa rządnością swą znakomicie podniosła wartość tych dóbr, jakkolwiek prowadziła dom otwarty, przyjmując co niedzieli licznych gości, zjeżdżających się z sąsiedztwa do rezydencyi pani Morskiej. W roku 1831 Zarzecze stało się główną niejako dla niedawnych wojaków kwaterą, a rozsądna gospodyni nietylko starała się o chwilowe zaopatrzenie potrzeb swych gości, lecz zapewniała im los, umieszczając potrzebujących zarobku na odpowiednich posadach, wyszukując stosowne partye dla żądnych ożenku. Jej to zawdzięczał świetną partyę Raczyński, którego własnym kosztem wyekwipowała i wyswatała mu posażną pannę Zgierską. Pewną sensacyę wśród okolicznej szlachty wywoływała bawiąca w Zarzeczu Maryanna Dembińska, która za mężczyznę przebrana, biła się z nieprzyjacielem podczas oblężenia Warszawy i opuściła szeregi narodowe w randze wachmistrza. Była to kobieta, *hic mulier*, duża, silna, barczysta, o tubalnym głosie. Wygrażała się Skrzyneckiemu, którego uważała za zdrajcę i zapowiadała wszystkim rychły powrót z Francyi na czele oddziału mścicieli.

W Wysocku, a następnie w Oleszycach, przemieszkiwał przez czas dłuższy Tytus Działyński, ożeniony z Celiną Zamojską, córką ordynatowej, która im te dobra przeznaczyła na mieszkanie. Choć rząd pruski nałożył sekwestr na jego majątek w Poznańskiem, nie tracił przyszły fundator kurnickich zbiorów humoru. Wysoki, silnie zbudowany, odznaczał się wśród galicyjskich ziemian niezwykłem wykształceniem — i szczęściem do kobiet, którem podobno nie pogardzał... Los swój znosił z tą samą równowagą umysłu, jak ów magnat, emigrant z fantazyi, w Paryżu, który ocaliwszy okruchy milionowej swej fortuny, zwykł był odpowiadać namawiającym go do podpisania prośby o amnestyę: Czegoż mam tak bardzo prosić o łaskę Mikołaja, kiedy bez tego mogę żyć wygodnie, a dwóch obiadów na dzień jeść nie będę,

choćbym tem upokorzeniem ocalił majątek... Piękne Galicyanki, szczególniej też były łaskawemi dla dziarskiej młodzieży, opromienionej świeżą aureolą bojową. Wynikały nawet z tego powodu konflikty, dostarczające tematu do prawdziwie dramatycznej sytuacyi. Głośnym w całej Galicyi był wypadek, jaki zdarzył się w domu Kuszlów. Kuszel, dzielny partyzant z czasów powstania i strzelec jakich mało, przeniósł się po upadku sprawy narodowej w Cieszanowskie, gdzie ożeniwszy się, gospodarzył jako dzierżawca. Kuszlowie żyli z sobą przykładnie, dochowali się dziatwy, gdy nagle pojawił się w ich sąsiedztwie Władysław Rozwadowski, były adjutant Skrzyneckiego. Młodzieniec przystojny, bogaty, o wytwornych manierach, zakochał się w pięknej pułkownikowej, nie bez wzajemności. Biedna kobieta pozostając w ciągłej rozterce między powinnością a uczuciem, poczęła chorować. Mąż, zajęty gospodarką i polowaniem, nie zwracał przez czas dłuższy na to uwagi, lecz przypadkowe odezwanie się córeczki otworzyło oczy niedomyślnemu.

— Jak tylko ojciec wyjdzie — szczebiotało maleństwo — to mama coś czyta, potem pisze, a na ostatku otwiera szkatułkę i nad nią płacze...

Pułkownik pochwycił corychlej wskazaną szkatułę i znalazł w niej listy Rozwadowskiego, świadczące o istnieniu stosunku między żoną jego a młodym tym człowiekiem. Nie mówiąc ni słowa nikomu, zabrał z sobą Kuszel pistolety pojedynkowe i pojechał wprost do uwodziciela, którego po upływie kilku godzin przywiózł do domu. Sprowadziwszy go do pokoju żony, rzekł do Rozwadowskiego groźnym głosem:

— Albo się z nią ożenisz i moim dzieciom dasz trzecią część majątku, albo pistolety!...

Rozwadowski wybrał ślub i ożeniwszy się z rozwiedzioną Kuszlową, zamieszkał z nią w Rajtarowicach.

Opisuje ten wypadek Ksawery Prek, w swym pamiętniku, dodając, iż opuszczony małżonek smutny pędził żywot na swej dzierżawce.

Od spraw sercowych wracając do polityki, nadmienić

wypadnie, że rząd austryacki, na którego czele w Galicyi pozostawał w roku 1831 szczerze sprzyjający Polakom książę Lobkowicz, z razu bardzo względnie obchodził się z uczestnikami rewolucyi listopadowej. W starych aktach namiestnictwa lwowskiego, sprzedanych jako bezużyteczna makulatura na wagę, znalazł się między innymi papierami oryginalny protokół, spisany w dniu dziewiętnastym października 1831 roku w Podgórzu, z żądającym pozwolenia na powrót do Galicyi Władysławem hrabią (?) Kochanowskim. Akt ten opiewa: «*Ad generalia*: Władysław hrabia Kochanowski, urodzony w Krasnem, 23 lat, r. k. bawiłem w dobrach moich Kazanowie w województwie Radomskiem. *Ad specialia*: Deponent ma zeznać najsumienniej, kiedy udał się do Polski i gdzie przebył granicę? Jak mu się udało przekroczyć granicę i z czyją pomocą? Co go skłoniło do opuszczenia ojczyzny? Czy go kto nie namawiał, lub werbował? Jaki miał udział w wypadkach za Wisłą i gdzie obecnie osiąść zamierza? Odpowiedź: Podczas wybuchu rewolucyi polskiej byłem w majątku moim Kazanowie, w województwie Radomskiem. Wstąpiłem do drugiego pułku krakusów i awansowałem na porucznika. Proszę, aby mi pozwolono wrócić do majątku mego w cyrkule tarnowskim, do Konar. Władysław Korwin Kochanowski. Na tem protokół zamknięto»...

Jak z treści powyższego dokumentu wynika, władze galicyjskie poprzestawały na ogólnikowych tego rodzaju zeznaniach. A jeżeli takie, nic nie znaczące oświadczenie wystarczało co do osoby osiadłego ziemianina i oficera, to przypuścić należy, iż szeregowców nie przesłuchiwano chyba wcale. Co więcej, z korespondencyi współczesnej namiestnika Królestwa Polskiego, księcia Paszkiewicza, z baronem Kriegiem, prezydentem rządu gubernialnego we Lwowie, okazuje się dowodnie, że szeregowców, zbiegów z wojska rosyjskiego, walczących w armii powstańczej, przyjmowano do pułków austryackich dla osłonięcia ich od wydania władzom carskim. Czynili to przedewszystkiem oficerowie Polacy, służący w armii cesarskiej,

a w szczególności pułkownik Leduchowski, dowódca trzeciego pułku ułanów.

Względność, z jaką postępowano z wychodźcami, sprawiła, iż w zimie 1831—1832 roku, Lwów sprawiał wrażenie prawdziwie polskiego miasta. Bawili wówczas we Lwowie prócz koroniarzy, także ochotnicy z Ziem Zabranych i z Ukrainy, rozbitki z oddziału Kołyszki, rozbrojonego w Satanowie. Wychodźcy przejeżdżali się po całym kraju, utrzymywali korespondencyę z rodzinami swemi, pozostałemi za kordonem. Byli wśród nich ludzie zasobni, trzymający powozy i kozaków, zaś o losie biedniejszych myślał komitet obywatelski, dostarczający im środków do życia z funduszów składkowych. Powstańcy pokazywali się w mieście w mundurach, roztrącając austryackich piechurów, zaś książe-gubernator zapraszał wybitniejsze osobistości z ich grona na swe salony podczas urzędowych przyjęć. Mniej sprzyjała tułaczom wojskowość. Główno-dowodzący we Lwowie, jenerał Stuterheim, zmarł jeszcze w lecie 1831 r. na cholerę. Złośliwe języki twierdziły, że zaraził się rosyjskiemi pieniędzmi... Następcą jego zamianowany został osławiony Langenau, który mundur żołnierski splamił szpiegowskiem rzemiosłem. Ów twórca wojskowej, tajnej policyi był niesłychanie tchórzliwego usposobienia i grzeszył — naiwnością, posuniętą do niemożliwych granic. Wiedzieli o tem Lwowianie i płatali mu najrozmaitsze figle. I tak w roku 1834 pojawiły się na rogach ulic lwowskich kartki tej treści: «Musieliśmy odwlec moment odrodzenia naszego, bo aktorka N. N. zasłabła». Równocześnie podrzucono w zabudowaniu jeneralnej komendy listę osób, które rzekomy trybunał narodowy zamierza stracić na szubienicy po wybuchu rewolucyi. Langenau, wystraszony, śle sążnisty raport do Wiednia, gdy znów świeży wypadek zaniepokoił tego rycerza o zajęczem sercu. Oto chłopak, przechodzący koło głównej strażnicy, istniejącej w ratuszu, porzucił jakiś pakiet na ziemi, sam zaś spiesznie się oddalił. Żołnierz oddał znalezioną paczkę oficerowi a po otwarciu pieczęci znaleziono w niej odezwę Dwernickiego:

«Do miasta Lwowa», zalecającą przygotowanie żywności i furażów dla nadciągającego wojska polskiego... A jednak fantastyczna ta mistyfikacya znalazła u Langenaua wiarę i wywołała szaloną panikę wśród tutejszych Niemców.

Nie brakło i wśród wychodźców mistyfikatorów, ptaszków, strojących się w cudze pióra, których nawet posądzano o szpiegostwo na rzecz Rosyi wśród kół emigracyjnych. I tak pojawił się wówczas w Galicyi samozwańczy książę Massalski, który wszakże rychło zdradził się gminnemi manierami. W jakiś czas później krążył znów po szlacheckich dworach młodzian złotowłosy, z czerwoną wstążeczką w klapie u surduta i z dyskretnie wystającym krzyżykiem złotym. Przedstawiał się jako Działyński i w salonie zdradzał wiele towarzyskich przymiotów. Kładł pasjanse damom, spiewał, grał na fortepianie i deklamował. Niebawem wszakże zdemaskowano panicza, był nim niejaki Tafius, medyk z zawodu, osobistość wcale zagadkowa.

Nieszczęsna wyprawa partyzancka Zaliwskiego, acz wymierzona przeciwko Rosyi, wywołała fatalne skutki zarówno dla wychodźców polskich, bawiących w Galicyi, jak dla ogółu ziemian tutejszych. Zabrakło już we Lwowie łagodnego księcia Lobkowicza, którego zastąpił przebiegły baron Krieg. Wychodźców wydalano tłumnie do Francyi, lub na Tryest do Ameryki. Wywożonych żegnano serdecznie, acz mniej głośno, niż przed dwoma laty, gdyż nastała i dla Galicyi doba smutna prześladowań i ucisku. Nie mogąc inaczej, zemścili się Lwowianie na synie posła rosyjskiego w Berlinie, młodym Alopeusie, który przejeżdżając przez nasze miasto, zatrzymał się w niem czas niejaki. Oddał on w wyższem towarzystwie wizyty i począł bywać w niektórych domach. Aliści powybijane szyby i karty z napisem: *Alopeus* szpieg — ostrzegły zbyt gościnnych gospodarzy przed dalszem przyjmowaniem, owego młodzieńca, który rychło Lwów opuścił. Tak pomszczono biednych rozbitków z listopadowej rewolucyi.

* * *

Piętnastoletni okres czasu między rokiem 1833 a 1848 należał do najsmutniejszych chwil w dziejach porozbiorowych Galicyi. Po nieszczęsnej wyprawie Zaliwskiego z każdym niemal dniem potęgował się ucisk szalony naszej narodowości ze strony rządu. Język polski wykluczony ze szkoły i urzędu, w których wyjątkowo tylko młodzież nasza znaleźć mogła utrzymanie i życie publiczne, prasa i literatura, spętane bezdusznemi formułkami administracyjnemi wróżyły nam zagładę powolną, beznadziejną, sromotną.

Że nie upadliśmy mimo licznych, krwawych pogromów, i stokroć gorszej od nich, moralnej martwoty — to jest zasługą polskiej kobiety. Ona to uczyła chłopię swe wraz z pacierzem, dziejów ojczystych; mówiła mu o wielkich ludziach naszego narodu, o obowiązkach Polaka; wlewała w dziecinne jego serce tak silną wiarę w odrodzenie ojczyzny, że tych skarbów, pozyskanych u rodzinnego ogniska, nie zdołały mu wydrzeć ani przewrotne nauki, ani życiowe zawody, ni też prześladowania najsroższe. W ponurej, kilkunastoletniej dobie spiskowej, jaka poprzedziła w Galicyi promienną jutrzenkę wolności czterdziestego ósmego roku, kobieta jako matka, kochanka, żona, odegrała tak ważną rolę, iż nie wahamy się jej przyznać znaczenia pierwszorzędnego, moralnego czynnika w tej wytrwałej, cichej walce, której widownią były więzienne kaźnie i stopnie szafotu.

Gdy po raz pierwszy w jesieni 1833 roku zapełniły się galicyjskie więzienia przestępcami stanu, obwinionymi o udział w nieszczęsnej wyprawie Zaliwskiego, spieszyły żony uwięzionych, mimo doznawanych obelg i upokorzeń ze strony obcych sędziów, do bram tych przybytków cierpień i rozpaczy, byle tylko wybłagać dla swych mężów najdrobniejsze ulgi.

Felicya Tyszkiewiczowa, żona Jerzego, nie mogąc u tronu znaleźć łaski dla chorego małżonka, prawie przemocą dotarła do Ludwika hr. Taafego, prezydenta najwyższego trybunału sprawiedliwości, który upamiętnił się odpowiedzią, wyrzeczoną na jej skargi z powodu bezwzględnego postępowania sędziów lwowskich. «Tem lepiej — mówił hrabia — dla kraju, choćby

wszyscy więźniowie wymarli, mniej będzie zdrajców w państwie!»... I nie dziw, że wobec takiego oświadczenia pierwszego sędziego w monarchii, z tem większą zaciekłością znęcała się biurokracya galicyjska nad zdanemi na jej łaskę i niełaskę ofiarami, a zarazem z bezprzykładną brutalnością obchodziła się z żonami i z matkami uwięzionych. Ta srogość nieludzka nie odstraszyła nikogo, lecz zjednała sprawie wolnościowej świeże zastępy bojowników, którzy widząc, iż w otwartym boju z przemożnemi siłami wroga nie zdołają im stawić czoła, snuć jęli podziemną, spiskową robotę.

W tej pracy żmudnej kobieta polska, nie poprzestając na wypełnianiu obowiązków miłosierdzia w niesieniu pomocy uwięzionej braci, okazała się godną towarzyszką apostołów wolności. Obok takich aniołów opiekuńczych, jakimi dla więźniów z pokarmelickiego gmachu we Lwowie były Amelia Radziszewska, późniejsza Garnyszowa, tudzież Aleksandra Swobodówna, zamężna później za Tycem, nie brakło we Lwowie i czynnych patryotek, które stworzyły w roku 1836 tak zwane Towarzystwo Sióstr. Był to związek, podległy organizacyi Stowarzyszenia ludu polskiego, a mający przedewszystkiem na celu kształcenie się w duchu narodowym. Kierownikami moralnymi i właściwymi inicyatorami związku kobiecego byli wśród młodzieży: Albin Dunajewski, Henryk Bogdański, Jędrzej Zawadzki, Julian Mańkowski, Karol Janko i Ferdynand Runge, którzy dawszy sobie słowo, iż nie będą nadużywali schadzek z związkowymi do żadnej innej rozmowy, jak tylko dla celów organizacyi, zajęli się wyszukaniem odpowiedniego miejsca zbornego. Pierwsze tego rodzaju schadzki odbywały się u Ferdynanda Rungego, na które to zebrania uczęszczały kolejno: Teresa, Marcela i Tekla Michalskie, Emilia Sobolewska, Cecylia, Domicela i Dorota Kramkowskie, Antonina Piasecka, Marya Mączkówna, Jarosiewiczówna, tudzież inne panny, córki urzędników i mieszczan lwowskich.

Po uwięzieniu Rungego schadzki odbywały się w mie-

szkaniu Bogdańskiego, zaś letnią porą na cmentarzu, gdzie zbierano się pod pozorem odwiedzania grobów. Przemawiali tam zazwyczaj dwaj członkowie Stowarzyszenia. Mówili o pojęciu narodowości, o zwalczaniu przesądów kastowych, o moralności, słowem o wszystkiem, co kobietę podnosi i uzacnia. Dziewczęta słuchały z wytężoną uwagą owych wykładów, zaimprowizowanych przez wymowną młodzież, powtarzając je swym towarzyszkom. W ten sposób zasady związku wnikały w kółka rodzinne, nie zdradzając źródła, z którego wychodziły.

Później odbywały się na schadzkach wykłady historyi powszechnej, tak nieumiejętnie uczonej w zakładach publicznych, oraz nauka dziejów i literatury polskiej — a ponieważ z natury rzeczy wynikało, że lekcye te nie mogły być dorywczemi, przeto i zebrania musiały odbywać się częściej i w zamkniętym lokalu. Schodzenie się w mieszkaniach spiskowych, połączone było dla kobiet z wielkiemi trudnościami i z niemałem niebezpieczeństwem, mimo iż rozstawione straże strzegły zawsze miejsca zboru. Z wielką przeto radością przyjęto myśl zgromadzania się w mieszkaniu wdowy po urzędniku, Teresy Malsburgowej, której córka, Marya, należała do związku. Tam też rozpoczęły się prawidłowe wykłady Karola Janki o literaturze polskiej i Zawadzkiego o hygienie, które trwały przez czas dłuższy, to jest do chwili tłumnych aresztowań spiskowców w drugiej połowie 1841 roku.

Mieszkanie Malsburgowej, położone przy mało zaludnionej wówczas ulicy Garncarskiej, (w miejscu, gdzie dziś wznosi się dom nr. 15.), dogodnym bardzo było punktem dla zebrań tego rodzaju. Zresztą i samo nazwisko gospodyni domu, poważanej w mieście osoby, rodzonej siostry żony późniejszego prezydenta sądu, Strojnowskiego, dostateczną przedstawiało rękojmę wobec podejrzliwej władzy policyjnej.

Schadzki owe, mimo ściśle politycznych celów, dały sposobność do bliższego poznania się między zgromadzonemi i nawiązanie serdecznych stosunków w tem gronie. Tak więc Runge zaślubił Piasecką, Teresa Michalska wyszła za lekarza Śmiało-

wskiego, Sobolewska za Bogdańskiego, zaś Albin Dunajewski zamierzał się żenić z Dorotą Kramkowską, lecz związek ten nie doszedł do skutku, gdyż biedne dziewczę zgasło w zaraniu młodości, podczas gdy jej narzeczonego wywieziono na Grajgórę. I wówczas to po raz pierwszy, w zbolałem sercu więźnia, zrodziła się myśl przywdziania kapłańskiej szaty. Rok czterdziesty ósmy i Dunajewskiemu błysnął nadziei jutrzenką. Pokochał po raz wtóry w życiu. Tą drugą wybranką była Felicya Szczepanowska. Bóg mu ją zabrał przed ślubem i nieszczęśliwy w miłości, rzucił świeckie pokusy, by poświęcić się kościołowi.

Inni spiskowcy, gdy spokojniejsze nastały czasy, założyli własne ogniska domowe, przy których wierne ich towarzyszki godnie spełniły swe zadania jako małżonki i opiekunki dorastającego pokolenia.

* * *

Obok tych jasnych, szlachetnych postaci polskich matek, żon i sióstr, tyle zasłużonych w dziejach naszego duchowego odrodzenia, niepodobna, kreśląc obrazy z przeszłości galicyjskiej, pominąć ogólnikową wzmianką wrogiej nam a wszechwładnej, bo opartej na sile bagnetów biurokracyi, która podobnie jak w innych prowincyach monarchii austryackiej tak i u nas ma swoją historyę.

Pierwsi urzędnicy austryaccy, którzy zawitali do nas po rewindykacyi Galicyi, doczekali się nader szczegółowych opisów w pamiętnikach współczesnych polskich i w «Listach o Galicyi» Franciszka Krattera, nie oszczędzającego, jak wiadomo, swych drogich ziomków, przybyłych z nad Wełtawy i Dunaju w misyi cywilizacyjnej do świeżo pozyskanej prowincyi. Ohydną gospodarkę tej różnorodnej pod każdym względem zbieraniny zna każdy, ktokolwiek choćby pobieżnie, z wieści lub powieści poznał dziejową przeszłość Galicyi. Bohaterami niniejszej opowieści nie są jednak ci pierwsi, awanturniczy przybysze, lecz ich potomkowie i następcy, którzy w czasie długoletnich rządów Franciszka I. spełniali z niewolniczą uległością polecenia

centralnej władzy, by po zgonie tego monarchy z tem większą bezwzględnością i zapoznawaniem najżywotniejszych spraw krajowych rządzić Galicyą, jakgdyby krajem świeżo zawojowanym, pozbawionym wszelkich praw i dziejowej tradycyi.

Rząd wiedeński, znosząc u nas w krótkim stosunkowo czasie magistratury polskie, zastąpił je nową organizacyą, w której pomieszczenie znaleźli wyłącznie cudzoziemcy. Ten żywioł obcy, oddalony od miejsca pobytu władzy naczelnej, pozostawiony sam sobie, wzrósł niebawem w silną kastę urzędniczą, odrębną od reszty społeczeństwa, czyli w tak zwaną «biurokracyę». — «Biurokracya» — jak to słusznie zauważył Aleksander hr. Fredro w swym pamiętnym memoryale z 1847 roku — «już ze swojej istoty jest nieprzyjazną nietylko obcej, ale i własnej narodowości. Z góry biorąc swoje życie, rozwijając się w dół, garnie w sobie to, co każda narodowość z dołu do góry się wznosząc osiągnąć pragnie. Tym wspólnym celem jest udział w zarządzającej władzy...

Jakoż biurokrata nie zna ojczyzny, podobnie jak obchodzi się bez jakichkolwiek przekonań moralnych lub politycznych; służyć będzie każdemu, kto mu płaci i da władzę w rękę. Prototypem biurokracyi galicyjskiej był taki Ernest Bogumił Kortum, zmarły we Lwowie w r. 1811, jako administrator tutejszych dóbr koronnych i salin. Był on podobno encyklopedyą chodzącą wszelkich umiejętności, tęgim prawnikiem, zarządcą energicznym, polyglotą niezrównanym. Ale z równą łatwością, z jaką nauczył się rozmaitych języków europejskich, zmieniał też Kortum służbę i przekonania. Urodzony w Bielsku na Szląsku, był kolejno referendarzem w Królewcu, radcą nadwornym w księstwie szlezwicko-holsztyńskiem, sekretarzem i tajnym radcą Stanisława Augusta, od którego pospieszył co rychlej do Lwowa, by przyjąć ofiarowaną sobie posadę konsyliarza gubernialnego i zwalczać następnie konstytucyjne aspiracye szlachty polskiej w wydanem przez niego w roku 1790 dziele p. t. *Magna Charta von Galizien*. Karyera urzędnicza Kortuma nie zaliczała się w owych czasach do osobliwości, gdyż podobnych

jemu, choć mniej zdolnych, znalazło się wielu w hierarchii urzędniczej w Galicyi.

Jak długo wszakże rządy państwa spoczywały w silnej dłoni Franciszka I., tak długo i biurokracya była biernem narzędziem wykonawczem w ręku władzy naczelnej. Monarcha ten bowiem, posiadający wszelkie przymioty zewnętrzne na konstytucyjnego władcę, jowialny i popularny, skarżący się przy każdej sposobności na złe rządy swego pierwszego ministra, Metternicha, stworzył był w rzeczywistości system rządowy, ściśle osobisty. Na pozór urzędnik był wszystkiem, w istocie jednak był niczem innem, jak tylko marnym pionkiem, powolnym każdemu skinieniu monarchy. Cesarz nikomu nie wierzył, nawet Metternichowi i Sedlnitzky'emu, jakkolwiek pierwszy był mu szczególniej miłym z powodu swej niechęci do wszelkich reform, drugi zaś odznaczał się policyjnym fanatyzmem, śledząc wszystkie tajniki społeczeństwa, zarówno politycznej jak prywatnej natury. Chcąc sam wszystko widzieć i działać, zatracał monarcha w ten sposób wszelkie pojęcia samoistności wśród olbrzymiej machiny biurokratycznej, której rażące braki wyszły na jaw dopiero po jego zgonie. Pozostał wówczas szemat rządowego systemu, lecz brakło mu siły poruszającej, ożywczej, a z chaosu, jaki wówczas zapanował w sferach decydujących, skorzystała biurokracya, by pochwycić corychlej w swe ręce władzę, która od lat tylu była dla niej przedmiotem marzeń niedoścignionych.

W chwili zgonu cesarza Franciszka I., w marcu 1835 r. ster spraw krajowych w Galicyi spoczywał pozornie w ręku arcyksięcia Ferdynanda d'Este, piastującego już od sierpnia 1832 roku godność cywilno-wojskowego gubernatora. Powiadamy: pozornie, gdyż stanowisko arcyksięcia, wodza mniej szczęśliwego w roku 1809, było przeważnie reprezentacyjne, podczas gdy kierunek wszystkich ważniejszych, spraw cywilnych zawisł był od barona Kriega, zamianowanego równocześnie z nominacyą arcyksięcia na gubernatora, prezydentem gubernialnym we Lwowie. Ciekawa to była postać ów baron Fran-

ciszek Krieg von Hochfelden, którego nazwisko krwawemi zgłoskami wyryło się w dziejach tego kraju. Ośmnaste z rzędu dziecko niezamożnego szlachcica, zamieszkałego w wielkiem księstwie badeńskiem, próbował zrazu szczęścia w służbie wojskowej, lecz po kampanii 1793 roku poświęcił się karyerze urzędniczej, którą rozpoczął jako skromny kancelista w biurach rachunkowych w Krakowie, a następnie we Lwowie. Uzupełniwszy swe studya egzaminami prawniczymi, szybko posuwał się naprzód w swym zawodzie, gdyż w roku 1808 był już radcą gubernialnym. Dalsze powodzenie zawdzięczał gubernatorowi Wurmserowi, który go zalecił do służby w stolicy, zkąd po kilku latach powrócił do Lwowa w charakterze szefa władzy cywilnej. Chudy, jak kościotrup, wysoki, wyniszczony życiem w najwyższym stopniu rozwiązłem, z twarzą wykrzywioną ironicznym uśmiechem, odznaczał się pan baron zarówno bezgraniczną pychą jak i nienawiścią wobec żywiołu polskiego. A ponieważ w ówczesnem społeczeństwie galicyjskiem pojęcie polskości było niemal identyczne z pojęciem szlachectwa, przeto ziemiaństwo nasze było głównym celem wrogich zamachów Kriega. Przewodnicząc z mocy swego urzędu obradom Stanowym, wymyślał tysiączne trudności formalnej natury, byle tylko udaremnić każdą akcyę, podjętą przez ludzi dobrej woli, a zmierzającą do podniesienia moralnego, czy też materyalnego rozwoju kraju. Przewłóczenie sprawy pańszczyźnianej, dwudziestoletnia mitręga w kwestyi założenia Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, wreszcie nieprzychylna postawa rządu wobec pojektowanych w roku 1841 przez krajowe konsorcyum linji kolejowych w Galicyi — jego były zasługą. Natomiast prowokacyjnie lub co najmniej drażniąco postępował Krieg wobec spisków, które począwszy od niefortunnej wyprawy Zaliwskiego nurtowały w kraju przez całe piętnastolecie. W raportach słanych do Wiednia, rozmyślnie dopuszczał się przesady w kreśleniu politycznych stosunków galicyjskich, by w niczem nie dopuścić do zmiany wrogiego wobec Polaków systemu. W razie potrzeby uciekał się do zmyślań, jak to miało miejsce we wrześniu 1839

roku, gdy przybył do Lwowa arcyksiążę Franciszek Karol, brat panującego monarchy, poprzedzony wieścią o amnestyi, wiezionej rzekomo dla politycznych przestępców. Co rychlej przeto zarządził Krieg aresztowanie obwinionego o przechowywanie wychodźców, rządcy z Zimnej Wody, Okólskiego, zaś w mieście rozpuszczono pogłoskę o knowanym przez niego zamachu na kościół katedralny, który spiskowcy zamierzali nibyto wysadzić w powietrze, podczas bytności dostojnego gościa na nabożeństwie. Wieść ta, acz z gruntu zmyślona, usposobiła jak najgorzej arcyksięcia dla Polaków. Przestano już mówić o amnestyi.

Najohydniejszą wszakże rolę odegrał Krieg w czasie rewolucyi lutowej. Już na parę miesięcy przed katastrofą we wrześniu 1845 r., ozwać się miał prezydent wobec kilku członków Stanów, ostrzegających go o rozruchach wśród ludu, iż nic w tem nie ma groźnego, gdyż w najgorszym razie zaburzenia nie potrwają dłużej nad trzy dni, poczem będzie sto lat spokoju. Krótkowidzący członkowie Stanów, uprawiający w wolnych od obrad sejmowych chwilach rzemiosło szlachetnej denuncyacyi, powtarzali z zadowoleniem dowcip swego przewodniczącego, nie wiedząc, ile krwawej ironii zawierał... Gdy w rok później *Constitutionel* powtórzył enuncyacyę rzeczoną Kriega, uznał on za stosowne zaprzeczyć jej prawdziwości w Gazecie Lwowskiej. Mimo to fakt został faktem. Krieg był też — według relacyj współczesnych — autorem projektu stłumienia za pomocą chłopskiej czerni rewolucyjnego ruchu, o którego wybuchu bardzo dobrze rząd austryacki był poinformowany przez policyę Ludwika Filipa. Potwierdza powyższą wiadomość raport jego, wysłany w dniu trzydziestym pierwszym stycznia 1846 roku do Wiednia, a zawiadamiający rząd centralny, iż jakkolwiek kraj był wzburzony i należy się obawiać wybuchu powstania, to jednak władze galicyjskie nie wymagają żadnych posiłków, gdyż rokosz zgniotą bez użycia wojska...

Jakoż i ten projekt udał się Kriegowi, który był jednym z głównych apostołów nienawiści, sianej w kraju systematycznie

między dworem, a chatą przez całe lat dziesiątki. Gdy po dniach mordu i pożogi zapełniły się galicyjskie więzienia przestępcami stanu, nie omieszkał on dodawać bodźca i tak już gorliwym władzom śledczym, byle pomnożyć liczbę osób skompromitowanych. Matki i żony obwinionych, nachodzące go z prośbami o łaskę, przyjmował brutalnie, przemawiając do nich bezdźwięcznym swym głosem, w łamanej francuzczyźnie. Wskazanie drzwi proszącym kobietom było u niego zwykłą odpowiedzią, kończącą audyencyę. Pod wpływem politycznej nienawiści zapominał nietylko o względach płci słabej przynależnych, ale nawet o zasadach logicznego myślenia. Gdy władze policyjne nie mogły wykryć miejsca pobytu ściganego przez sądy Franciszka Gordaszewskiego, kazał Krieg aresztować jego brata, Zygmunta, zaś komuś, kto stawił się za niewinnie uwięzionym, odpowiedział z najzimniejszą krwią, że skoro Franciszek Gordaszewski jest niebezpiecznym demagogiem, więc i brat jego lepszym być nie może... Klasyczna ta odpowiedź maluje najwymowniej charakter Kriega, który raz jeden jedyny zdobył się na przychylną o Galicyi opinię, choć nie życzliwość dla kraju była przyczyną jego korzystnego o naszem społeczeństwie zdania. Było to w roku 1844, po ukończeniu procesu Smolki i towarzyszy, kiedy arcyksiążę-gubernator w myśl instrukcyi otrzymanych z Wiednia, zwołał konferencyę, złożoną z szefów władz tutejszych, celem wybadania ich opinii, czy amnestya monarsza dla skazańców politycznych nie przyczyniłaby się do pozyskania sympatyi dla rządu wśród mieszkańców. Krieg utrzymywał, że spiskowcy nie mają poparcia ze strony ogółu ludności, zadowolonej z istniejącego porządku rzeczy i dla tego sprzeciwiał się jak naujsilniej amnestyi... Przegłosowano go wszakże.

Nietylko wobec Polaków pałał baron zawziętą nienawiścią. Wstrętnym mu był każdy objaw samodzielności, nawet w dziedzinie literatury czy sztuki, choćby ze strony politycznie-nieposzlakowanej osobistości, jaką był sekretarz gubernialny, Tatzauer, którego Krieg zawzięcie prześladował za słabostkę au-

torską. Prześladowany odciął się nader dowcipnie, uwieczniwszy swego szefa w wychodzącym podówczas we Lwowie tygodniku literackim niemieckim «Mnemozyne». Zamieścił w nim wierszyk pod tytułem ogólnym *Der Krieg*, w którym — według pierwotnej redakcyi — mieścić się miała następująca apostrofa:

Seht Ihr das hohe, das magere Gerippe,
Mit der blassen Wange und der grinzenden Lippe,
Dies ist der harte, der herzlose Krieg!
O dass dich du, Unhold, in Tartarus Flammen,
Die friedlichen Götter alle verdammen,
Es lebe der Frieden, es sterbe der Krieg!

Czujna zazwyczaj cenzura przeoczyła dziwnym jakimś sposobem ów ustęp i dopiero po wyjściu numeru «Mnemozyny», wyłapano poszczególne egzemplarze tego pisma, znajdujące się w lokalach publicznych, lub w posiadaniu osób prywatnych. W następnym nakładzie rzeczonej publikacyi wiersz o «Wojnie» nie mieścił już w sobie inkryminowanego ustępu.

Krieg prowadził we Lwowie dom otwarty, zajmując okazałe apartamenty w domu przy ulicy Szerokiej, (dziś Kopernika), naprzeciw pałacu hr. Potockich. Ożeniony był z Dorotą Wadowską, córką krawca, «jednak po jej użyciu się i zachowaniu nikt o tem nie myśli» — pisze w swym pamiętniku Ksawery Prek, dodając równocześnie, iż sam pan baron «z nikczemnego koncepisty dosłużył się tak wysokiej posady»... Na wieczorach u Kriegów bywała z nielicznymi wyjątkami prawie cała arystokracya miejscowa. Jedni przychodzili z musu, nie chcąc sobie narazić wszechwładnego dygnitarza, inni spieszyli tam dla przyjemności zbliżenia się do osoby arcyksięcia gubernatora, który bardzo często zaszczycał zebrania swą obecnością. Wieczory jednak u Kriegów kończyły się wcześnie, gdyż oboje gospodarstwo byli wprawdzie nader grzeczni dla zaproszonych, ale kolacyi gorącej u nich nie podawano... Prosto więc z salonów pana prezydenta spieszyła młodzież na wieczerzę do restauracyj. Zięciem Kriega był podpułkownik Benedek, smutnej pamięci bohater z pod Gdowa i Sadowy.

Na czele wojsk konsystujących w Galicyi stał feldmarszałek Fryderyk baron Langenau, ongi jenerał wojsk saskich, który w pamiętnej bitwie ludów pod Lipskiem opuścił sztandary Napoleona, oraz własnego króla, przechodząc niespodziewanie na stronę sprzymierzonych. Za ten czyn, wszedłszy do służby austryackiej, wynagrodzony został i wyższym stopniem i licznemi dekoracyami. Jakkolwiek wojskowy, słusznie zaliczał się Langenau do biurokracyi, gdyż o honorze żołnierskim dziwne podczas całej swej karyery żywił przekonania. Jego to dziełem była policya wojskowa, zorganizowana na wzór rosyjski w ten sposób, iż każdy oficer, czy też wojskowy niższego stopnia, obowiązany był do szpiegowania i denuncyowania. Langenau był również zaciekłym nieprzyjacielem Polaków; oficerów i podoficerów prześladował zawzięcie już za samo obcowanie z naszem społeczeństwem. Zarozumiały do najwyższego stopnia, nie grzeszył nawet towarzyską ogładą, skutkiem czego w salonach niejedna spotkała go konfuzya, którą wszakże najspokojniej chował do kieszeni. Tchórzliwy przytem bezgranicznie, widział nieustannie wokoło siebie spiski urojone i powstania, dzięki czemu męczył ciągle wojsko nagłymi alarmami i rozkazami wojennego pogotowia. O tchórzostwie feldmarszałka świadczył zresztą najdosadniej fakt następujący: Pewnego dnia siedział Langenau u siebie na balkonie, gdy nagle zobaczył przejeżdżającego ulicą, na dzielnym koniu, młodzieńca, przybranego w malowniczy mundur drugiego pułku ułanów byłego wojska polskiego. Młodzian ów nieznany przejechał się kilkakrotnie przed balkonem przerażonego jenerała i zniknął bez śladu w chwili, gdy zaalarmowana przez adjutantów Langenaua załoga wyruszyła z koszar na ulice miasta. Sprawcy tej zuchwałej mistyfikacyi nie zdołała, czy też — jak mówiono — nie chciała ująć policya i cała śmieszność pozostała po stronie Langenaua.

Z Kriegiem, mimo pozornej zażyłości, pozostawał Langenau na jak najgorszej stopie. Poprostu jeden denuncyował drugiego w Wiedniu. Krieg przedstawiał wobec władzy naczelnej

feldmarszałka, jako skończonego niedołęgę, który nietylko nie umie utrzymać w armii ducha lojalności, lecz nadto wymysłami swymi zdaje się oswajać wojsko z możliwością rychłej rewolucyi w kraju. Przeciwnie znów Langenau oskarżał w swych raportach szefa cywilnej władzy, jako nie dość energicznego w tłumieniu rewolucyjnych ruchów wśród ludności, których wybuchowi jedynie nadzwyczajna czujność władzy wojskowej zapobiedz może. «I tak, gdy jeden rzeczywiście widział nad swoją głową zbierające się gromy, a drugi tylko udawał, że je widzi» — słowa pamiętnika Henryka Bogdańskiego — «to jednak obaj przesadzali się w wyszukiwaniu i użyciu jak najdotkliwszych środków dla rozpędzenia tej mgły, którą nazywali gromami ciężarną chmurą, aby tylko uzyskać większe od swego współzawodnika względy»...

Ostatecznie chytry Krieg zmógł Langenaua, który niespodziewanie w październiku 1839 roku otrzymał dymisyę i w lipcu roku następnego zmarł skutkiem apopleksyi w Gracu, w owem *Pensionopolis* wojskowych austryackich. Miejsce jego we Lwowie zajął podeszły wiekiem i ociężały feldmarszałek Adam Retsey de Retsé, nie grzeszący podobno szczególniejszą bystrością umysłu. Złośliwi utrzymywali nawet, że pod względem umysłowości nie różniło się stare jeneralisko zbyt wiele od przeciętnego szeregowca... Tem większy przeto wpływ na arcyksięcia-gubernatora mógł wywierać w sprawach wojskowych zięć Kriega, a przyboczny jego adjutant, wspomniany już poprzednio Benedek.

Jeszcze za bytności Langenaua ciekawą wielce rolę w zatargu ustawicznym władz cywilno wojskowych we Lwowie odegrywał dyrektor miejscowej policyi, Leopold Sacher-Masoch de Kronenthal. Urodzony we Lwowie z ojca Jana, radcy gubernialnego, uczył się Sacher w szkołach tutejszych i wcześnie wstąpił w służbę rządową administracyjną, zaś ożeniwszy się z córką znanego lekarza, Masocha, przybrał też za zezwoleniem władzy jego nazwisko. Krieg odkrył w nim nadzwyczajne zdolności policyjne i dzięki też temu poparciu został Sacher-Masoch,

po krótkiej stosunkowo służbie, zamianowany dyrektorem policyi we Lwowie. Objąwszy swój urząd w listopadzie 1831 roku odznaczył się niebawem taką gorliwością, iż zdołał sobie zdobyć pochwały, nawet ze strony tak wymagającego szefa, jakim był naczelnik policyi państwowej, Sedlnitzky. Słusznego wzrostu, jednooki, zdawał się posiadać tysiące ócz, śledzących wszystko i wszystkich. W wolnych od zajęć policyjnych godzinach oddawał się z wielkiem zamiłowaniem muzyce, numizmatyce i studyom przyrodniczym, lecz erudycyi, nabytej w tych studyach, nie omieszkał w bardzo wielu wypadkach używać do swych zawodowych badań... Szczególniej z uwięzioną pod zarzutem zbrodni politycznych młodzieżą lubił się wdawać w dłuższe dysputy, naukowej rzekomo treści, w ciągu których wybadywał najdokładniej jej poglądy, usposobienie, a nieraz jedno niebacznie wyrzeczone słówko przez niedoświadczonego młodzieńca, dawało mu pożądaną informacyę do dalszych poszukiwań. Pozbawiony wszelkich zasad moralności i honoru, zwykł był zbliżać się też do ludzi starszych, wobec których namową, nagrodą, groźbą, obietnicą czyto osobistych korzyści, czy też narodowych koncesyi — bo zdarzali się i tacy naiwni, którzy wierzyli w ów policyjny patryotyzm — jednał sobie dobrowolnych szpiegów, o wiele mu dogodniejszych od stale płatnych, a znanych publiczności ajentów. Miał też tak zwanych «honorowych» szpiegów, bezpłatnych, którzy, omamieni przez niego, donosili mu o wszystkich, tajemnych robotach narodowych. Przystępny dla każdego, nader gładki w obejściu, nie cofał się jak prawdziwy biurokrata przed żadnym skrupułem, jeżeli tylko mógł mieć w ten sposób nadzieję zasłużenia się wobec wyższej władzy. To też i Kriegowi, któremu wiele zawdzięczał, wypłacił się jak najgorzej. Szył mu buty przy każdej sposobności, a wykonując z pewną uległością otrzymane od władzy gubernialnej rozporządzenia, umiał je, gdy chciał, tak urzeczywistnić, że ośmieszały szefa władzy cywilnej w oczach centralnego rządu.

Wobec tej trójcy dygnitarzy, reprezentujących tak fatalnie

władzę administracyjno-wojskową w Galicyi, korzystniej stosunkowo przedstawiały się: sądownictwo i zarząd skarbowy, na których czele stali rodzeni bracia: Karol i Filip Kraussowie. Synowie naczelnika lwowskiej buchalteryi, kształcili się w szkołach tutejszych, lecz podczas gdy Karol poświęcił się służbie sądowniczej, to Filip Krauss oddał się zawodowi fiskalnemu. Obaj bracia, bardzo pilni i zdolni urzędnicy, awansowali stosunkowo szybko. Karol Krauss, licząc lat czterdzieści cztery, był już prezydentem sądu szlacheckiego we Lwowie, a jakkolwiek przy każdej sposobności występował z niechętną opinią w ogóle o społeczeństwie polskiem, to jednak jako sędzia nie przekraczał nigdy granic ustawami zakreślonych. Szorstki w obejściu, nie był jednak obłudnym, a nawet popierał czasem zdolnych urzędników sądowych bez różnicy narodowości. W roku 1846 powołany do najwyższego trybunału, był później, (w latach 1851 do 1857) ministrem sprawiedliwości i prezydentem najwyższej instancyi sądowej. Na tem wysokiem stanowisku pozbył się po części niechęci wobec Polaków, a nawet pisywał listy w polskim języku.. Ale i za czasów urzędowania we Lwowie nie był Krauss powolnem narzędziem rządowego systemu. Co prawda, znalazł pod tym względem aż nadto gorliwych wyręczycieli w przewodniczących sądu karnego: Pressenie i Wittmanie, którzy z zaciekłością nieludzką znęcali się nad obwinionymi o zdradę stanu, uwięzionymi w pokarmelickim gmachu. Słówko należy się tym osobistościom, tak pamiętnym w rocznikach naszej martyrologii. Józef Pressen, starzec niskiego wzrostu, otyły, wiecznie nietrzeźwy, o inteligencyi i manierach kaprala dawnego autoramentu, usiłował brak zdolności prawniczych i kierowniczych pokryć bezwzględnem traktowaniem więźniów politycznych, z którymi obchodził się gorzej, aniżeli z pospolitymi zbrodniarzami. Najbardziej cuchnące kaźnie, o oknach na kłódkę zamkniętych i do połowy zasłoniętych drewnianymi koszami, strawa jak najgorsza, najściślejsze odosobnienie, kije i kajdany — to były środki, zastosowywane przez Pressena wobec przestępców stanu, dla przypodobania się władzy przełożonej,

Odmiennym zupełnie typem był Maurycy Wittman, radca sądowy, używany do kierowania śledztwami politycznemi i następca Pressena w godności prezydenta sądu kryminalnego. Wysoki, barczysty, brunet, o wielkich, wypukłych oczach, o twarzy, dużej, wyżółkłej, znanym był w świecie więziennym pod przydomkiem: buhaja. Wykształceniem teoretycznem prawniczem górował on nad Pressenem, ale zaufany zbytnio w swych zdolnościach nie grzeszył wcale bystrością poglądów i łatwością objęcia całości tak trudnego przedmiotu, jaki przedstawiały zawikłane procesy obwinionych o zdradę stanu. Dzięki pedantyzmowi Wittmana procesy tego rodzaju wlokły się w nieskończoność, gdyż upartym był w swych zapatrywaniach do śmieszności i niejednokrotnie mylił się co do osoby badanego, upatrzywszy w nim jakie podobieństwo do podanego w urzędowych doniesieniach rysopisu. Tak więc siłą mocą wmawiał przez czas dłuższy w Wincentego Turkiewicza, że jest Maurycym Mochnackim i dopiero wiadomość o zgonie tego ostatniego zdołała wyprowadzić z błędu zaciętego inkwirenta. Fatalnego figla wypłatał Wittmanowi Morgenbesser, którego uważając za Niemca używał do protokołowania w sprawach najbardziej poufnej natury. To też wiadomość o aresztowaniu Morgenbessera pod zarzutem zbrodni stanu wprawiła doświadczonego kryminalistę w najwyższą pasyę. Ilekroć ujrzał Wittman w gmachu więziennym nikłą postać dawnego swego pomocnika, wygrażał mu się straszliwie, krzycząc na całe gardło: *Sie Teufelsmensch!...* Bo już to taktem i grzecznością nie odznaczał się pan prezydent kryminalny ani wobec kobiet, krewnych uwięzionych, ani też tembardziej wobec więźniów, zdanych w zupełności na jego łaskę i niełaskę.

Od ponurego widoku, jaki przedstawiało sądownictwo karne w owym czasie, przejdźmy do zarządu skarbowego, na którego czele stał od roku 1847 Filip Krauss, brat rodzony prezydenta sądowego. Awansował on również bardzo szybko, gdyż w trzydziestym roku życia był już radcą gubernialnym. Następnie powołany został jako radca dworu do Wiednia, zkąd powrócił

w charakterze szefa skarbowości galicyjskiej do Lwowa. Był to typ urzędnika nowej szkoły, doby przyszłości. Giętkich przekonań politycznych, spokojny, pracowity, władał bardzo dobrze językiem polskim, co w szeregach biurokracyi ówczesnej było rzadkością i z ziemiańswem tutejszem pozostawał w bliskich stosunkach, dzięki ożenieniu się z panną Konstancyą Borowską z Świlcza. O ile Karol Krauss, którego jedyną śmiesznostką była mania posiadania olbrzymiej ilości par butów, niekrył się z swą niechęcią ku Polakom, o tyle Filip był pod względem politycznym wielce ostrożnym. Było to dowodem taktu z jego strony, którego najlepszem świadectwem okazała się późniejsza działalność Kraussa w stolicy nad modrym Dunajem. Zamianowany w kwietniu 1848 roku ministrem skarbu, wytrwał na tem stanowisku, nawet w czasie rozruchów październikowych. On też jeden z ministrów pozostał w tych groźnych dla biurokracyi chwilach w Wiedniu, gdyż zarówno z sejmem jak z kamaryllą zdołał utrzymywać przyjazne stosunki. Na nalegania rodziny, by po morderstwie Latoura opuścił Wiedeń, odpowiadał z uśmiechem: «Ministrowi skarbu nie zrobią nic złego bo innego na moje miejsce nie dostaną»... I nie omylił się w swych nadziejach. Przetrwał na fotelu ministeryalnym upadek konstytucyjnych rządów i kilka gabinetów reakcyjnych, jakie zmieniły się do roku 1851. Nazwano go nawet z tego powodu: *sempiternus minister*...

Nie tyle szczęśliwymi byli inni naczelnicy biurokracyi galicyjskiej, mimo chwilowego tryumfu, odniesionego za pomocą rzezi 1846 roku i wysokich odznaczeń, jakie ich wówczas spotkały. W ciągu niespełna roku ustąpili w ślad za arcyksięciem-gubernatorem i prezydent Krieg i jego zastępca hr. Leżański, nałogowy donżuan, przedstawiony przez Leszka Borkowskiego w «Parafiańszczyźnie» pod nazwiskiem Sztucera. Krieg przed odjazdem ze Lwowa miał wielce niemiłą przygodę. Pewnego pięknego dnia, chcąc użyć przechadzki, wyjechał na Kortumówkę, w której mieścił się wówczas mały zwierzyniec, utrzymywany przez Stanisława hr. Skarbka. Zastawszy bramę

otwartą, wszedł baron do wnętrza zwierzyńca, gdzie też niebawem spotkał kozła. Złośliwy cap, zoczywszy nieznaną figurę potrząsł groźnie brodą i rogami zaatakował Kriega. Ekscelencya w nogi, cap za nim, nie przestając tłuc go tam, gdzie się bije niegrzeczne dzieci. Dopiero na rozpaczliwe krzyki uciekającego, nadbiegli dozorcy i odpędzili rozjuszonego kozła. Krieg, przerażony i zbity, rozchorował się obłożnie, zaś po mieście krążył z ust do ust dowcip: «*Das Landespräsidium leidet an Bockstössen*»... W dniu, w którym Krieg opuszczał nasze miasto, przypadkowo, czy też umyślnie urządzono w ogrodzie pojezuickim zabawę z tańcami na cel dobroczynny. W owych czasach wypadek tego rodzaju przybierał charakter znacznej demonstracyi.

Równocześnie z Kriegem otrzymał dymisyę stary Retsèy, zamianowany drugim kapitanem węgierskiej gwardyi szlacheckiej, zaś Sacher-Masoch dosiedział we Lwowie do pamiętnych dni marcowych 1848 roku, w którym to czasie przeniesiono go w charakterze dyrektora policyi do Pragi. Sacher-Masoch był ojcem osławionego pamflecisty tegoż nazwiska, który tendencyjnem oczernianiem społeczeństwa polskiego w Galicyi zyskał sobie chwilowy rozgłos w literaturze niemieckiej, by skończyć w roku 1895 wśród pomięszania zmysłów i w nędzy. I Sacher-Masoch *senior*, już jako emeryt próbował szczęścia w literaturze, wydając w roku 1863 bezimiennie dzieło p. t. *Polnische Revolutionen*, które jest stekiem kłamstw i niedorzeczności, smutne dającym świadectwo o stanie władz umysłowych autora.

Rok czterdziesty ósmy zdawał się w ogóle zapowiadać koniec panowania butnej biurokracyi, szukającej w ucieczce ocalenia wobec słusznego odwetu polskiego żywiołu w Galicyi. Jedni z pierwszych umknęli wówczas: burmistrz lwowski, Festenburg, osobistość wielce niesympatyczna, śmieszny z powodu manii przebierania się w mundur pułkownika milicyi miejskiej, w którym zwykł był nawet w biurze urzędować, tudzież osławiony w czasie rzezi lutowej Joachim Chomiński, sekretarz

gubernialny. Obaj oparli się aż na Bukowinie. W ślad za nimi uciekli: Kronwald, prezydent sądu wyższego i wielu innych biurokratów, przerażonych kocią muzyką i gęsiorem, urządzanymi przez krewką młodzież bardziej znienawidzonym funkcyonaryuszom. Gdy z jesienią t. r. zagasło wolności słońce, pogrążone w mgłach reakcyi, powrócili i przepłoszeni dygnitarze na swe stanowiska. Dziesięcioletni okres rządów Ałeksandra Bacha przywrócił biurokracyi dawne, złote czasy. Dyrektorem policyi był Chomiński, następcą Kriega układny Kalchberg, fraternizujący z szlachtą, potrzebującą jego względów przy wypłacie indemnizacyi za zniesienie pańszczyzny, oraz z pewną koteryą arystokratyczną, nieprzychylną stojącemu na czele administracyi galicyjskiej Agenorowi hr. Gołuchowskiemu.

Jedynie dzięki nadzwyczajnej przezorności działając rozważnie, z całą świadomością wytkniętego celu, zdołał Gołuchowski utrzymać się u steru władzy, mimo wrogich zakusów Bacha i złamać potęgę biurokracyi, tyle zgubnej dla naszego kraju. Nie powiodło mu się dokonanie tego dzieła od razu. Wyniesiony w sierpniu 1859 roku do godności ministra spraw wewnętrznych, musiał Gołuchowski po zjeździe monarchów w Warszawie ustąpić z tego stanowiska. Autor październikowego dyplomu, skazany na pięcioletnią bezczynność polityczną, z boleścią i smutkiem spoglądać musiał na złowrogie skutki lutowego patentu Schmerlinga, który dla Galicyi był źródłem najsroższego ucisku. Dyplom październikowy, oddając władzę ustawodawczą w ręce ludu, był groźbą zatraty dla biurokracyi, która doszła za rządów Schmerlinga do szczytu potęgi. Głosząc hasło: iż powaga rządu winna być bezwarunkowo szanowaną, spłodziwszy konstytucyę lutową, która była wypaczeniem projektu Gołuchowskiego, deptała biurokracya wszystkie zasady i ustawy, urządziła — jak to słusznie zauważył ś. p. Zyblikiewicz — formalną rewolucyę przeciw urządzeniom konstytucyjnym. Lecz w końcu i dla nas wybiła godzina sprawiedliwości. Gołuchowski, zamianowany z końcem września 1866 roku po raz wtóry namiestnikiem Galicyi, w liczbie warunków, pod ja-

kiemi obejmował swą godność, na pierwszem miejscu położył puryfikacyę biurokracyi tutejszej. Zażądał natychmiastowego oddalenia takich polakożerców, jakimi byli Summer i Wolfarth, oraz upoważnienia do przenoszenia urzędników z miejsca na miejsce. Nadto zobowiązał się rząd centralny, iż każdą propozycyę namiestnika, dotyczącą oddalenia danej osobistości ze służby rządowej, zatwierdzi bezzwłocznie. Był to wyrok śmierci dla biurokratów, spoglądających z bezsilną zaciekłością na owacyjne przyjęcie, jakie cały kraj gotował swemu wybawcy w czasie jego przyjazdu do Lwowa.

Jeżeli kiedyś przyjdzie do skutku wzniesienie pomnika dla Agenora Gołuchowskiego, odwlekane tak długo z nieznanych powodów, to najodpowiedniejszym na podstawie monumentu byłby napis: Pogromcy biurokracyi!

* * *

A choćby męczono, smarzono cię w smole,
Nie opowiadaj, co się dzieje w szkole.

Powyższe przysłowie przez lat kilkadziesiąt z rzędu było maksymą pedagogiczną, jaką światłodawcy galicyjscy starali się wkorzenić w umysły powierzonej ich pieczy młodzieży. Dzięki wszakże niedyskrecyi pamiętnikarzy galicyjskich oraz współczesnych pism czasowych, jesteśmy w możności podania wielce charakterystycznych szczegółów, dotyczących naszych szkół elementarnych przed rokiem 1848. Obraz oświaty ludowej w Galicyi przedstawiał się w pierwszej połowie bieżącego wieku wcale niewesoło. Kasata klasztorów za Józefa II. spowodowała równocześnie zamknięcie szkół, utrzymywanych przez odnośne konwenty, w których liczbie Jezuici i Pijarzy najważniejsze zajmowali stanowisko, zaś rząd nie starał się dość szybko o usunięcie powstałych z tego powodu braków.

Ówczesny system edukacyjny w monarchii Habsburgów rozróżniał cztery kategorye szkół ludowych. Były więc szkółki parafialne, trywialne, normalne i główne. Szkółki parafialne istniały a raczej winne były istnieć w każdej wsi. Nauczycie-

lem miał być organista lub ksiądz, udzielający dzieciom wiejskim początków w czytaniu, pisaniu, liczeniu po polsku, obok nauki t. z. małego katechizmu w tymże języku. Szczupły to był zakres nauki, lecz wykonywany należycie, mógł był nieocenione pod względem oświaty ludowej przynieść korzyści. Zwracali też szczegółową uwagę na owe szkółki biskupi przemyscy: Michał Korczyński i Jan Śnigurski. Pierwszy założył w swej rezydencyi szkołę dla organistów, w której obok zawodowego wykształcenia miano ich przysposabiać do zawodu bakalarskiego. Podobny też zakład dla diaków założył w Przemyślu zmarły w r. 1847 biskup Śnigurski. Nie brakło również wśród niższego kleru światłych księży, jak ów Stanisław Morgenstern, późniejszy więzień stanu, który na swem probostwie w Lisiej Górze założył we własnem mieszkaniu szkołę dla wiejskiej dziatwy. Przeciętny wszakże ogół księży, podobnie jak i znaczna część dziedziców, wrogo były usposobione wobec szkółek wiejskich, twierdząc, że one są rozsadnikiem malkontentów i procesowiczów. A że księża i ziemianie starali się utrzymać jak najlepsze stosunki z starostami i z urzędnikami cyrkularnymi, przeto i odnośne rozporządzenia szkolne istniały jeno na papierze.

Natomiast w każdem miasteczku istniały szkółki trywialne, tak nazywane z powodu, iż prócz katechizmu uczono w nich czytania, pisania i rachunków po polsku, oraz początków języka niemieckiego z Komeniusza, książki o podwójnym tekscie, polskim i niemieckim. Szkoły trywialne były dwu i trzyklasowe. Od nauczycieli, uczących w nich żądano przynajmniej trzymiesięcznej praktyki w głównej szkole normalnej, poczem winni byli zdawać egzamin przed księdzem scholastykiem, zaś dziekan miejscowy był z urzędu wizytatorem szkół wszystkich, w jego okręgu położonych. Nauki religii udzielali wikaryusze parafialni. I ta kategorya szkół przedstawiała nader poważne braki. Co prawda, trudno było żądać nadzwyczajnych zdolności pedagogicznych od pomocnika nauczycielskiego, pobierającego czterdzieści ośm złotych m. k. rocznej płacy, podczas gdy nau-

czyciele, mający stałe posady w trywialnych szkołach pobierali od 60—150 zł m. k. pensyi na rok. Niedziw przeto, iż przedstawiony tak świetnie w wspomnieniach Powidaja, pan Karmazyn nauczyciel szkółki w Rozwadowie, poprzestawał na zadaniu lekcyj i na wyliczeniu mniej pilnym odnośnej ilości plag, pozostawiając obowiązek przesłuchiwania uczniów ustanowionym przez niego cenzorom. Ten sam profesor celującym uczniom pozwalał w godzinach szkolnych paść swą kozę, lub też spełniać inne posługi domowe, co nietylko dla malców ale i w mniemaniu ich rodziców, poczciwych łyków małomiasteczkowych, niemałym było zaszczytem. Do szkół parafialnych i trywialnych uczęszczała pospołu dziatwa płci obojga.

Lepiej, na pozór przynajmniej, zorganizowane były szkoły normalne, istniejące w dawnych miastach obwodowych. W r. 1775 jeden tylko Lwów posiadał szkołę normalną, (prócz pięciu szkół trywialnych, istniejących po przedmieściach) i dopiero w ciągu następnego dziesięciolecia powstały tej kategoryi szkoły w Zamościu, w Brodach, w Tarnowie, w Rzeszowie, w Przemyślu i w Jarosławiu. Jednym z pierwszych dyrektorów lwowskiej szkoły normalnej a zarazem kierownikiem kursów przygotowawczych dla kandydatów stanu nauczycielskiego był ks. Hoffman, zmarły jako opat żółkiewski w roku 1838. O księdzu Hoffmanie krążyła w swoim czasie następująca opowieść. Był on synem mielnika, a zamianowany przez cesarza Józefa II. kanonikiem lwowskim, nie został przez kapitułę przyjęty jako nieszlachcic. Podziękował przeto monarsze za użyczoną godność, tłómacząc się, iż piastować jej nie może. Wówczas to monarcha przesłać miał kapitule lwowskiej rozporządzenie tej treści: *Mando vobis ut clericum Hoffman suscipiatis in numerum vestrum, nam virtus et doctrina nobilant...*

Tyle o księdzu opacie.

W szkołach normalnych trzy razy tygodniowo dziatwa wolną była od nauki, (w niedzielę, we wtorek popołudniu i w czwartek), podczas gdy w szkółkach wiejskich nauka odbywała się tylko raz na dzień, zaś podczas sianokosów dzieci, zdolne do roboty,

w polu wolne były od uczęszczania do klasy. Osobne przepisy zabraniały młodzieży galicyjskiej kształcenia się w szkołach zagranicznych, a to pod grozą wykluczenia od służby rządowej, oraz grzywny, płatnej przez rodziców dziecka. Ogólne zasady wychowania publicznego określała tak zwana *Politische Schulverfassung*, która ogłoszona w roku 1805, obowiązywała z małemi zmianami do roku 1868. Szkoły normalne, osobne dla chłopców i dla dziewcząt, składały się z tak zwanej sztuby, w której, prócz sylabizowania, według przedpotopowej metody, po polsku i po niemiecku, uczono też katechizmu w języku polskim. W następnych trzech klasach plan naukowy obejmował, prócz czytania i pisania po polsku i po niemiecku, gramatykę i pisownię obu języków, cztery działania rachunkowe i naukę katechizmu. W klasie trzeciej cały wykład, nie wyłączając religii, odbywał się po niemiecku, bo też nauka tego języka była głównym, jeżeli nie jedynym celem szkoły ówczesnej. Później, w dwunastu większych miastach galicyjskich zaprowadzono czteroklasowe szkoły główne. Klasa czwarta miała być przygotowaniem do szkół gimnazyalnych lub realnych. Dlatego też uczono w niej początków łaciny, geometryi, historyi naturalnej, a nawet deklamacyi.

Ogółem Galicya posiadała w roku 1837: 31 szkół normalnych, 1718 trywialnych, tudzież 23 szkół żeńskich (razem 1772), do których uczęszczał zaledwo trzynasty procent dziatwy, obowiązanej do nauki publicznej.

Wracając do szkół normalnych, to nadmienić należy, że pomocnik nauczycielski w zakładach tej kategoryi pobierał 100 zł. m. k. rocznej pensyi, nauczyciele miewali płace od 200 do 350 zł., dyrektorowie, pełniący zarazem obowiązki nauczycielskie w klasie najwyższej, od 400—600 zł. m. k. rocznie. Jeszcze gorzej płatnemi były nauczycielki w szkołach żeńskich. Najwyższa ich płaca roczna wynosiła dwieście zł. m. k., podczas gdy pomocnice poprzestać musiały na kwocie, wynoszącej od 60—150 zł. m. k. Jakkolwiek więc ceny wiktuałów i innych potrzeb codziennych były przed pół wiekiem wielce umiarko-

wane, to jednak szczupłe te płace żadną miarą starczyć nie mogły biednym pedagogom na skromne nawet utrzymanie, dzięki czemu w szkołach kwitło w najlepsze przekupstwo... Manipulacya ta odbywała się niemal urzędownie. Przy wpisie z początkiem roku szkolnego pobierał *Kreishaupt-Schuldirektor* rozmaite datki w artykułach spożywczych, w towarach i w napojach, a za jego przykładem i poszczególni nauczyciele przymawiali się rodzicom uczniów o podarunki. Nikt nie mógł się zjawić z próżnemi rękami. Zwłaszcza rodzice, przybywający ze wsi, by oddać dziatwę do szkoły, spotykali się z reguły z stereotypowem zapytaniem z ust pana profesora:

— Cóżeście mnie tam przywieźli, bo tu w mieście wszystko drogo, a was na wsi to nic nie kosztuje?...

«Żywo stoi mi w pamięci ów straszny *Kreis-Haupt-Normal-Muster-Schul-Director* — Grossmann, długa, chuda figura — niegdyś wachmistrza w wojnach tureckich, a wówczas zawołany *Kulturträger* niemiecki!» — pisze w swych wspomnieniach Józef Nowosielecki, ongi uczeń szkół przemyskich. «Wielce komiczna była to postać. Nosił płaszczyk szafirowy, w pasie sznurkiem związany, z krótką pelerynką, a na głowie harcap, ale mimo tak komicznego wyglądu, młodzież nie śmiała się z niego, bo był to kat na uczniów i codzień kilkadziesiąt plag rozdawał. To też nie było większej radości między chłopcami, jak gdy dnia pewnego gruchnęła wieść, że Grossmann jeden z pierwszych padł ofiarą grasującej wtenczas (1831 r.) cholery».

«Niemniej hojnym był w szafowaniu takiemi karami drugi nauczyciel Rew, który chociaż był tylko nauczycielem kaligrafii we wszystkich klasach, ale gdy w ostatniej wykładał także *das Lateinlesen*, jakoby przygotowanie do gimnazyum, więc będąc dumnym z tego, kazał się nazywać panem profesorem. Mawiał on czasem «dajcie mu panną Brzezińską», co znaczyło «rózgę», a czasem: dajcie mu «stanilem», co miało znaczyć «kijem». Dosyć było mieć zawalaną skrypturkę, roześmiać się lub obejrzeć, aby zasłużyć na «przetrzepanie pluder», jak znowu trzeci nauczyciel, Kwiat, tę bolesną operacyę

nazywał. Mało komu udało się uniknąć tych bolesnych eksperymentów na sobie, a każdemu wstępującemu do gimnazyum zdawało się, że z czyśćca na świat się wydobył».

Przy wpisie składano u dyrektora dwa cwancygiery na bibliotekę, najczęściej nie istniejącą w rzeczywistości, oraz na utrzymanie tak zwanego familiasa, czyli kalefaktora. Był nim w każdej klasie najbiedniejszy uczeń, posiadający odpowiednie siły fizyczne. Musiał on bowiem zamieść izbę szkolną, zapalić w piecu i — co najważniejsza — był wykonawcą wyroków, ferowanych przez pana profesora na pewną ilość plag. Prawnie dozwoloną była cyfra pięciu plag, ale z reguły ją przekraczano, zwłaszcza w wyższych klasach. Familias za swe trudy pbierał cwancygiera miesięcznie, prócz bułek i krajcarów, ofiarowywanych od interesowanych współuczniów.

Głównem zadaniem szkoły normalnej była nauka języka niemieckiego. Uczeń, opuszczający szkołę po czteroletniej nauce, miał wprawdzie bardzo słabe pojęcie o Bogu, o cnocie, o obowiązkach wobec społeczeństwa, oraz o pojęciu przyzwoitości w ogóle, gdyż nauczyciele nie przebierali w wyrażeniach i nazywali rzecz każdą po imieniu. Nie umiał też pisać po polsku, posługując się pisownią, dziś zarzuconą nawet przez kucharki. Natomiast zdobywał sobie mechaniczną znajomość języka niemieckiego i znakomicie wyrabiał pamięć, ze szkodą, co prawda innych funkcyj umysłowych. Malec, przymuszany do wyuczenia się w pierwszej klasie dziesięciu wierszy niezrozumiałej dla niego *Sprachlehre*, doprowadzał później do tego, że w ciągu kilku godzin był w stanie wyuczenia się dosłownej treści kilkunastu kartek każdego podręcznika — nie domyślając się nawet znaczenia powtarzanych wyrazów.

Wykład szkolny w języku dla uczniów niezrozumiałym przedstawiał pewne niedogodności, gdyż chłopak najczęściej nie rozumiał i pytania i własnej odpowiedzi. Niejednokrotnie zdarzały się w izbie szkolnej tego rodzaju epizody:

— *Was sind die Engel?* — pyta katecheta zalęknionego malca.

— *Die Engel sind pure Geister* — podpowiada mu towa-

rzysz, lecz pytany przesłyszał się i wygłosił w najlepszej wierze następującą sentencyę:

— *Die Engel sind Bürgermeister* — poczem familias pełnił swą powinność.

Dla kontroli, czy uczniowie i po za obrębem gmachu szkolnego używają języka niemieckiego w rozmowie między sobą, służył t. zw. *Sprachzeichen*. Był to mały kawałek drzewa, wyciosany w formie książki. Z początkiem roku szkolnego, wręczył takowy nauczyciel pierwszemu lepszemu uczniowi, którego usłyszał mówiącego po polsku. Nieborak, obdarzony tym fantem, starał się go pozbyć jak najrychlej, gdyż każdej soboty następowały: jeneralny obrachunek i sute plagi, wymierzane przez surowego pedagoga w stosunku dłuższego lub krótszego posiadania fatalnego drewienka. W ten sposób zmuszano malców do używania języka niemieckiego i w domu a zarazem przyzwyczajano ich do podsłuchiwania i szpiegostwa. O wiele więcej wskazanym pod względem pedagogicznym środkiem były t. zw. złote i czarne księgi, *(Das Buch der Ehre — das Buch der Schande)*. Te ostatnie miały być odstraszającym przykładem dla młodzieży, nie szanującej przepisów szkolnych, gdyż nieletni winowajca musiał na kartach tej książki w pisać osnowę popełnionego przez niego przestępstwa, oraz karę, jaką otrzymał. Co prawda — najczęściej powtarzaną przewiną było uporczywe używanie języka polskiego w stosunku pozaszkolnym z kolegami, choć nie brak w tych zapiskach, dochowanych w przeważnej części szkół galicyjskich do naszych czasów i wzmianek o psich figlach studenckich i o pospolitych niestety występkach, popełnianych od czasu do czasu przez uczniów.

Sympatyczne natomiast wrażenie sprawić muszą na czytelniku zapiski, zamieszczane w «księdze złotej». Jednym z najstarszych zabytków tego rodzaju jest książka lwowskiej szkoły głównej, datująca się z roku 1795. Widnieją w niej znane w mieście naszem nazwiska: Justjanów, Longchamps'ów, Bauerów, Drechslerów i Kiselków obok Ostrowskich, Bogdanowiczów i Mochnackich. Przewracając

pożółkłe karty tej książki, znajdujemy obok spisów każdorocznych premiantów i eminentów, wielce ciekawą notatkę, umieszczoną pod rokiem 1831, zredagowaną w języku niemieckim, a dotyczącą epidemii cholerycznej, srożącej się podówczas we Lwowie. Z powodu zarazy musiano szkołę zamknąć już w dniu 3 marca t. r. bez zwykłych w takich razach uroczystości, zaś ówczesny kierownik zakładu podał ku wiecznej pamięci nazwiska tych dzielnych uczniów głównej szkoły lwowskiej, którzy nie lękając się śmierci, spieszyli w pomoc chorym, donosząc im lekarstwa i pielęgnując opuszczonych na łożu boleści. Nazwiska tych młodzieńców brzmią jak następują: Beil Józef, Bałtarowicz Konstanty, Czajkowski Piotr, Frank Jan, Korytko Władysław, Kozłowski Jan, Pfau'owie Izydor i Henryk, Szechulski Piotr i Winnicki Karol. Zuchy ci zasłużyli rzetelnie, by nazwiska ich zapisano na kartach «złotej księgi».

Odmienna, aniżeli dziś, atmosfera moralna panowała również w szkołach gimnazyalnych przed rokiem czterdziestym ósmym zaś Ludwik Powidaj w swych wybornych «Wspomnieniach szkolnych» temi słowy scharakteryzował dawnego gimnazyalistę. — «W tym wyrazie mieściła się niczem nieograniczona swoboda, wyzwolenie na zawsze od kija i rózgi, prawo rozbijania żydów i uczniów szkół normalnych bezkarnie, pretensya do tytułu «pana», nadewszystko przywilej półtrzecia dnia na tydzień do szkoły nie chodzić, a cztery i pół jak najmniej się uczyć. Gimnazyalista ze swego postępowania był tylko przed Bogiem odpowiedzialny. Gimnazya miały w swych urządzeniach coś feudalnie-scholastycznego. Każdy uczeń był rodzajem średniowiecznego barona. Jak na tamtych był *Reichskammergericht*, tak i nad nimi była jakaś władza, która więcej drażniła, jak powściągała. Jak Sickingen upadł, ale nie ugiął się pod naciskiem wyrabiającego się nowego porządku społecznego, tak i gimnazyalista wolał być wykluczonym, niż w czemkolwiek ustąpić z prerogatyw sobie przynależnych, obyczajem i tradycyą studencką uświęconych»...

Charakterystyka powyższa bardzo trafnie określała studenta dawnych szkół gimnazyalnych, które w Galicyi zaprowadzono w dniu pierwszym września 1784 roku. Na razie w całym kraju istniało zaledwie sześć gimnazyów: we Lwowie, w Stanisławowie, w Zamościu, w Przemyślu, w Rzeszowie i w Bochni, zaś organizacya zakładów tej kategoryi polegała na zasadzie planu, przedłożonego w roku 1775 przez księdza Marcyana Marxa, pijara. Od r. 1787 przyjmowano do galicyjskich gimnazyów tylko takich uczniów, którzy mogli się wykazać świadectwem z ukończonych szkół normalnych; czesne wynosiło rocznie kwotę dwunastu złotych.

Pierwotne gimnazya liczyły klas pięć, (szósta klasa przybyła dopiero w roku 1819), zwące się: *infima*, *gramatica*, *syntaxis*, *rhetorica* i *poetica*. Bezpośrednim zwierzchnikiem gimnazyum był każdoczesny starosta obwodowy, naczelnik cyrkułu, który zdawał w gubernium sprawozdania o stanie zakładu, przewodniczył na popisach publicznych, czuwał nad moralnością młodzieży i grona nauczycielskiego, podczas gdy pedagogiczno-dydaktyczne kierownictwo szkoły spoczywało w ręku prefekta, powoływanego zazwyczaj z grona duchowieństwa. Nauczyciele byli urzędnikami państwowymi, zależnymi w zupełności od starosty. Posady uzyskiwali w drodze konkursu, czyli egzaminu pisemnego i ustnego, odbywanego w obecności całego grona nauczycielskiego. Warunkiem dopuszczenia do konkursu było ukończenie studyów filozoficznych. Płaca roczna prefekta wynosiła 450 zł, płaca nauczyciela w *humaniorach*, (klasa czwarta i piąta), 400 zł., nauczyciela gramatykalnego 350 złr. Przedmiotami nauki były: religia, język łaciński wraz z nauką krasomowstwa, poezyi i starożytności rzymskiej, język grecki, geografia, historya powszechna i naturalna, tudzież początki arytmetyki, algebry oraz geometryi. Nauka odbywała się w godzinach od ósmej do dziesiątej rano i popołudniu od godziny drugiej do czwartej. We wtorek popołudniu i przez cały czwartek nie było wykładów. Po każdem półroczu następował egzamin publiczny, który miał rzekomo wykazywać postępy

uczniów w ciągu kursu poczynione. Powiadamy — rzekomo, gdyż zdarzało się bardzo często, że nauczyciel, zaniedbujący zupełnie uczniów w ciągu roku szkolnego, uprzedzał ich następnie o pytaniach, jakie im zada podczas popisu. Zdarzali się i tacy światłodawcy, którzy postępowali w ten sposób, jak to praktykował słynny w swoim czasie profesor Niemeczek w Rzeszowie. Pedagog ten, lubo doktor filozofii, traktował szkołę i uczniów przez cały kurs z najzupełniejszą apatyą. Dopiero na tydzień przed egzaminem wywoływał swych wychowańców w alfabetycznym porządku na środek klasy, poczem rozpoczynał z nimi następującą rozmowę:

— *Sind Sie pfiffig?*

— *Ja Herr Doctor.*

— *Haben Sie Lust zum Lernen?*

— *Ja Herr Doctor.*

— *Kennen Sie etwas!*

— *Nicht viel.*

— *Was für Klassen wollen Sie haben?*

— *Alle ersten.*

— *Das wäre zu wenig* — dodawał dr. Niemeczek, zwłaszcza gdy w dobrym był humorze. — Nie zawadzi eminencya z obyczajów, z historyi i z matematyki, poczem zapytywał:

— *Sind Sie zufrieden?*

— *Vollkommen Herr Doctor.*

Na to ostatnie pytanie musiała zawsze wypaść twierdząca odpowiedź. Pewnego śmiałka, któremu zachciało się lepszych stopni, ukarał pan profesor dwójką z pilności i trójką z łaciny, co starczyło za odstraszający przykład na długie lata.

Uczniom celującym rozdawano przy egzaminach, zamykających rok szkolny, medale: duże złocone, mniejsze złocone i posrebrzane, które nosili udekorowani tak długo, jak długo zachowali stopień celujący. Nadto istniały w każdej klasie *libri honoris et dedecoris.*

W roku 1819, równocześnie z zaprowadzeniem sześcioklasowych gimnazyów, usunięto z programu szkolnego naukę

historyi naturalnej i geometryi, a zarazem postanowiono, że klasa miała mieć osobnego nauczyciela, który udzielał nauki wszystkich przedmiotów z wyjątkiem religii. Nauczyciel pierwszych czterech klas prowadził swych uczniów do klasy czwartej i powracał do *infimy*. System ten obok zależności grona nauczycielskiego od władzy politycznej, oddziaływał bardzo zgubnie na profesorów, rekrutowanych w owym czasie niemal wyłącznie z Czech i z niemieckich prowincyi monarchii. Tu i owdzie trafiali się wprawdzie nauczyciele Polacy, ale ci biedacy, trwożni o swą posadę, bardziej od cudzoziemców strzegli się zdradzić z jakimkolwiek wolnomyślnym poglądem i byli powolnem narzędziem w ręku germanizatorów młodego pokolenia. Ludzie ci, zmuszeni do trzymania się niewolniczo przestarzałych podręczników, tracili zamiłowanie do swego zawodu, tetryczeli, lub co gorsza, rozpijali się na zabój. W roku 1843 jedno z gimnazyów galicyjskich liczyło w składzie grona nauczycielskiego samych pijaków nałogowych. Uposażenie nauczycieli gimnazyalnych pod względem materyalnym pozostawiało wiele do życzenia. Przed rokiem 1848 nauczyciel klas gramatykalnych pobierał czterysta, nauczyciel humaniorów sześćset złotych m. k. rocznej płacy.

Łaciny uczono w gimnazyach galicyjskich dokładnie, gdyż znajomość tego języka była potrzebną młodzieży, zamierzającej się poświęcić zawodowi prawniczemu, lub medycynie. Po łacinie uczono w humaniorach nawet algebry i w ogóle język ten odegrywał w programie gimnazyalnym tę samą rolę, co niemczyzna w szkołach normalnych. Malcy infimy tłómaczyli łacinę na niemieckie, uczniowie klasy trzeciej grekę na łacinę, niemając dość dokładnego pojęcia o tych językach. Profesor dyktował im tłómaczenie dosłowne, którego chłopcy uczyli się na pamięć, nie wiedząc bardzo często, co który wyraz oznacza. Najgorzej wszakże wykładano historyę. Nie uczono bowiem historyi powszechnej, lecz dziejów państw poszczególnych, każdego z osobna. O Polsce zawierały podręczniki

ówczesne tendencyjnie przekręconą wzmiankę w dziale historyi rosyjskiej, mieszczącą się na kilkunastu stronnicach. Fakt odsieczy wiedeńskiej Sobieskiego pomijano zupełnem milczeniem. Tak więc młodzieniec nie dowiedział się w szkole, że jest Polakiem, że Galicya jest częścią dawnej Polski.

Nauka religji, matematyki i geografii odbywała się podobnie jak wykład reszty przedmiotów, w języku niemieckim. Nawet egzorty niedzielne prawili katecheci w tej mowie i niemieckie pieśni obok nielicznych polskich śpiewała młodzież na chórze podczas nabożeństwa.

Że szkoły w ten sposób zorganizowane nie odpowiadały swemu celowi pod względem pedagogicznym, państwowym i narodowym, to nie ulegało żadnej wątpliwości. Obcy język wykładowy dla ucznia a biurokratyczny pedantyzm, krępujący każde słowo, każdą myśl nauczyciela, przedstawiały niepokonalne przeszkody dla rozwoju prawdziwej umiejętności w gimnazjach galicyjskich, a zarazem przynosiły nieobliczone straty idei narodowościowej, tak ściśle związanej z postępem naukowym. Bez oświaty nie ma narodu, nie ma też państwa w nowoczesnem tego pojęcia znaczeniu. Państwo, gnębiące oświatę narodową, postępowało wbrew swym własnym interesom, gdyż hamując rozwój umysłowy kilkumiljonowego żywiołu, którego mimo najusilniejszych zabiegów wynarodowić nie zdołało, szkodziło samemu sobie.

Młodzież, prowadzona w karbach przestarzałej rutyny, nie znajdując w szkole duchowego pokarmu, jeno suche formułki, nie odczuwając wobec cudzoziemskich pedagogów winnego szacunku, przebywała wprawdzie na ławach szkolnych, lecz nie korzystała bynajmniej z dobrodziejstwa publicznego wychowania, którego doniosłych skutków nie znał ówczesny system rządowy. To też uczeń ówczesny, albo stawał się bezdusznym manekinem, obojętnym na wszelkie, moralne objawy życiowe, albo też uważał swawolę za wolność, burzył się i szumiał, dając folgę wrodzonej krewkości. Ruchy uliczne i bójki z żydami tworzyły zwykłe urozmaicenie życia studenckiego,

zwłaszcza w gimnazyach prowincyonalnych. Celowało zwłaszcza pod względem burzliwości wychowańców gimnazyum przemyskie. Ksawery Prek w tylekroć wspomnianym swym pamiętniku opowiada szczegółowo o przebiegu bójki studentów z żydami przemyskimi w maju 1834 roku. Bójka owa przybrała w końcu tak wielkie rozmiary, iż władza dla przywrócenia porządku w mieście zawezwała pomocy wojskowej. Studenci pod grozą bagnetów umknęli z ulicy i zamknąwszy się w jednym z domów postanowili się bronić. Profesorowie, prefekt, a nawet sam starosta, wdali się w układy z młodziuchnymi buntownikami, którzy dopiero po solennem przyrzeczeniu bezkarności, opuścili swe schronienie. Nie obyło się i przy tej sposobności bez wybryków, gdyż młodzież wybiegając tłumnie z drzwi oblężonego domostwa, poturbowała rozmyślnie, czy też przypadkowo pana starostę... Obok tych wybryków butnej studenteryi, które dały powód jednemu z satyryków do wielce śmiałego twierdzenia, jakoby gimnazya galicyjskie fabrykowały tylko dwie kategoryi ludzi: — kancelistów i demagogów — nie brakło wszakże i wśród przemyskiej młodzieży umysłów bardziej poważnie usposobionych, szersze ogarniających widnokręgi. W latach 1834—1839 wielki wpływ wśród tamtejszej młodzieży wywierali słuchacze teologii: Dobrzecki, Szymański, Tałaszewicz, Kulczycki tudzież nauczyciel francuskiego języka, Demoiselle. Dostarczali oni przedewszystkiem młodzieży książek zabronionych, których sprowadzaniem trudnił się ukradkiem księgarz Jeleń. Młodzież czytywała nietylko broszurki ulotne i poezye, w jakie obfitowała literatura emigracyjna, ale wertowała pilnie stare kroniki, porzucone w nieładzie w kaplicy seminarzyckiej i wynoszone na miasto przez alumnów. Nowszych dzieł historycznych użyczał też kolegom Jan hr. Załuski, podówczas uczeń szkół przemyskich. Szare bluzy, skrojone na modę żołnierską i takież furażerki, wyróżniały studentów tamtejszych. Zimą schodziła się ta młodzież w mieszkaniach jednego z uczniów, czytała razem i deklamowała. Latem odbywała gromadne wycieczki do lasku na Lipownicy lub na Zniesienie, gdzie musztrowała

się przy odgłosie polskiej komendy i spiewała pieśni narodowe. Jednego roku urządzono majówkę na tak zwanem Błoniu, zkąd późnym wieczorem powracali studenci w wojskowym szyku, szóstkami, przy odgłosie marsza Dąbrowskiego. Doniosło się to do władzy i zaraz nastąpiły dochodzenia, protokoły a wiecznie zatabaczony i w palonych butach paradujący prefekt Jaworski nie szczędził inicyatorom zabawy wilczego paszportu, zwanego u nas *consilium abeundi*.

Burza czterdziestego ósmego roku zmieniła do gruntu ustrój gimnazyów galicyjskich. Odebrano starostom prawo dozoru nad szkołami tej kategoryi i oddano je gronu nauczycielskiemu z dyrektorem na czele. Pomyślniejsza przyszłość zdawała się zapowiadać szkolnictwu krajowemu, którego reformą zajęła się gorliwie zawiązana pod przewodnictwem światłego profesora Strońskiego rada szkolna. Język polski miał być wykładowym, ruski nadobowiązkowym przedmiotem nowego programu gimnazyalnego. Niedługo wszakże trwały owe nadzieje co do nowego kierunku wychowania publicznego. Z chwilą, gdy reakcya odzyskała przewagę w monarchii Habsburgów, język polski, jako wykładowy, ustąpić musiał miejsca ruskiemu w gimnazyach wschodnio-galicyjskich. Ponieważ jednak literacki język ruski jeszcze nie istniał a zdaniem księdza Szaszkiewicza, radcy ministeryalnego — dla uczucia narodowego Rusinów mniej był wstrętny język niemiecki niż polski, przeto też wykładać miano do czasu wyższego wykształcenia się języka ruskiego — po niemiecku. Słusznie też przezwano w owym czasie niemczyznę: *die provisorische Nationalsprache der Ruthenen*.

Zasadnicza reorganizacya ustroju gimnazyalnego nastąpiła w lipcu 1849 roku, kiedyto zniesiono tak zwane kursy filozoficzne, wprowadzając w ich miejsce siódmą i ósmą klasę. Równocześnie też zniesiono system profesorów klasowych zastępując ich nauczycielami poszczególnych przedmiotów i ustanowiono tyle straszną dla dorastającego pokolenia maturę!

Teoretyczna zmiana systemu szkolnego nie wyszła na po-

żytek młodzieży galicyjskiej, zdanej i nadal na łaskę i nie łaskę obcych pedagogów, albo też lękających się własnego cienia ziomków. Bo też centralizm biurokratyczny i militaryzm, zainaugurowane podczas dziesięciolecia absolutnych rządów Aleksandra Bacha a oparte na silnie rozgałęzionym systemie policyjnym, gniotły nas niezgorzej od systemu starego Metternicha. Rząd policyjny nakształt olbrzymiego polipa wyciągał swe liczne ramiona z stolicy ku krajom koronnym. Nie tylko po za domem strzedz się wypadało z każdem śmielszem słowem wobec snujących się wszędzie ajentów władzy bezpieczeństwa, ale wśród własnych czterech ścian nie można było być dość ostrożnym wobec służby i domowników, zdemoralizowanych w najwyższym stopniu przez ajentów policyi, podglądającej chętnie tajemnice rodzinne. Na prowincyi żandarm był panem życia i śmierci. Mógł aresztować każdego przechodnia, o każdej porze wejść do domu, zarządzić rewizyę. Od łaski lub niełaski pierwszego lepszego żandarma, lub policyanta, zależne było całe społeczeństwo polskie w Galicyi. Gołosłowne oskarżenie tych funkcyonaryuszów zniszczyć mogło byt i spokój całej rodziny.

Po wesołym gwarze czterdziestego ósmego roku, po zgaśnięciu złudnych nadziei wywołanych rewolucyą węgierską, cisza pozorna zaległa w całym kraju. Nad spokojem publicznym i lojalnością mieszkańców Lwowa, czuwał od roku 1853 Joachim Chomiński, jeden z smutnej pamięci bohaterów katastrofy 1846 roku, który wygnany w roku 1848 z Galicyi, powrócił do Lwowa w charakterze dyrektora policyi. Skrępowana wolność prasy politycznej była powodem, iż dopiero w roku 1858 obok urzędowej Gazety Lwowskiej, pojawił się Przegląd polityczny i powszechny, którego głównym filarem był Dzierżkowski. A jednak w łonie naszego społeczeństwa, zwłaszcza w kołach młodzieży, nurtowały nowe myśli, nowe prądy. Już wojna krymska zażegła zarzewie w młodocianych umysłach. «Nie pamiętam ani przedtem ani potem» — mówi sympatyczny piewca Rożyńskich w swych Wspomnieniach legendowych — «tak podniosłego nastroju, takiej czystości oby-

czajów i skromności, takiej wreszcie gorliwości w naukach wśród młodzieży, jak w owym czasie»... Nie było między młodzieżą ówczesną, jak to dziś w nią wmówić pragną niektórzy, żadnych układów z góry o rozlew krwi i wzniecanie pożogi — to były szczere wigilje w skupieniu sił i ducha spędzane, wigilje do wielkiej, świętej uroczystości narodowej, w której przypadł jej los przelać krew za prawa i godność narodu»...

To też niemałą sensacyę we Lwowie wywołała wiadomość o aresztowaniach, dokonanych w dniach, siedmnastym i ośmnastym kwietnia 1858 r. w gronie młodzieży, przebywającej w świeżo założonej bursie tutejszego instytutu stauropigialnego. Rewizye odbywały się następnie i wśród uczniów polskiego gimnazyum, t. z. dominikańskiego i w grecko-katolickiem seminaryum duchownem, lecz śledztwo prowadzone było w takiej tajemnicy, iż przez czas dłuższy nic pewnego o sprawie tej nie można się było dowiedzieć. Tem rozmaitsze przeto o spisku młodzieży krążyły baśnie. Prasa niemiecka głosiła, iż konspiracya owa miała na celu oderwanie kościoła ruskiego od unii i przyłączenia go do kościoła wschodniego, zaś korespondent lwowski Roczników Polskich, wydawanych w Paryżu, donosił w czerwcu t. r., że młodzież, przygotowująca się w bursie do stanu nauczycielskiego, zawiązała konfederacyę ludów słowiańskich celem oderwania się od Austryi. Według relacyi tegoż korespondenta, związek tajny znacznie był rozgałęziony wśród duchowieństwa parafialnego i nauczycieli wiejskich. Miano odkryć ślady porozumienia z południowymi Słowianami w monarchii, oraz odnaleść w stauropigialnej drukarni dzieła o Słowiańszczyźnie, tłoczone bez zezwolenia władzy w języku ruskim... Dopiero wszakże rozprawa jawna, sądowa wyświeciła istotny przebieg tej dziecinnej konspiracyi.

W dniu drugim sierpnia 1858 roku w tutejszym sądzie karnym rozpoczęła się przed zwykłym trybunałem rozprawa o zbrodnię zdrady stanu. Wprowadzono obwinionych. Było ich jedenastu: Aleksander Daniłowicz, Paweł Paszkowski, Robert Osuchowski, Hieronim Pożakowski, Felicyan Jackowski, Kon-

stanty Kowszewicz, Erazm Rawski, Karol Franciszek Reczyński, Antoni Rudyński, Karol Jabłoński i Antoni Niemiec. Najstarszy z nich, Daniłowicz, liczył lat dwadzieścia, najmłodszy, Jackowski, czternasty rok życia. Byli to po części uczniowie niższych klas gimnazyalnych, po części kandydaci nauczycielscy, czyli — jak mówiono wówczas — preparandziści — z wyjątkiem Osuchowskiego, terminatora krawieckiego i Jabłońskiego, statysty przy teatrze polskim we Lwowie.

Na stole przed sędziami rozłożono *corpora delicti:* dwa pistolety zepsute, kilka dobrze podniszczonych książek, kasę spiskowców mało co więcej nad jeden złoty reński gotowizny liczącą i zbutwiałe szpargały, złożone w drewnianych deszczułkach, wykopanych w lesie krzywczyckim. Były to akta spiskowe.

Jako głównego inicyatora konspiracyi wymieniał akt oskarzenia Paszkowskiego, który straciwszy ojca w roku 1848, sam musiał starać się o swe utrzymanie. W chwili uwięzienia był nauczycielem prywatnym w bursie, gdyż ze szkół wypędzony został za sprawą pewnego księdza, a zamierzając się poświęcić — jak twierdził — zawodowi wojskowemu, czytywał z szczególniejszem zamiłowaniem dzieła treści militarnej oraz historycznej i pod wpływem tej lektury, powziął myśl zorganizowania tajnego związku, mającego na celu oswobodzenie Galicyi z pod panowania austryackiego, tudzież stworzenie udzielnego państwa polsko-ruskiego, (Paszkowski był wyznania gr. kat.) Zapoznawszy się bliżej z Daniłowiczem, również uczniem preparandy, chlubiącym się, iż pochodzi ze spowinowaconego z Sobieskimi rodu, zwierzył się wobec niego z swym planem i z wiosną 1857 roku rozpoczęli wspólnemi siłami agitacyę wśród uczniów gimnazyalnych. Na razie udało się im pozyskać dla spisku: Pożakowskiego, Kowszewicza i Jackowskiego, z którymi wspólnie na schadzce w lesie krzywczyckim odbytej zawiązali tajną radę. Naczelnikiem spisku obwołano Paszkowskiego, który zamianowawszy swym zastępcą Daniłowicza, zajął się bezwłocznie ułożeniem statutów związku. Innych dygnitarzy wybrano przez losowanie, ciągnąc kartki z nazwiskami z czapki. Tak więc

Kowszewicz został sekretarzem, Pożakowski pisarzem, zaś dwaj pozostali spiskowcy tajnymi radcami. W ciągu lata przystąpili do związku: Niemiec i Reczyński, zaś Paszkowski uporał się w tymże czasie z spisaniem statutów związkowych, praw wojennych i planu przyszłej kampanii. Każdy z spiskowców zjednać miał w ciągu roku dwóch ochotników dla sprawy powstania. Tak więc w przeciągu siedmiu miesięcy organizacya liczyć miała 5.103 osób, który to hufiec, zdaniem Paszkowskiego, byłby dość silnym, by opanować Lwów i stoczyć zwycięską walkę z wojskiem rządowem. Narady spiskowców trwały do czerwca 1857 roku, zaś w jesieni t. r., po feryach szkolnych, napróżno próbowano odnowić wspólne zebrania. Nieporozumienia między Daniłowiczem a Paszkowskim spowodowały faktyczne rozwiązanie spisku i wówczas to zakopano archiwum konspiracyjne w lasku krzywczyckim.

Dopiero około Wielkiej Nocy 1858 roku postanowił Daniłowicz ponowić robotę organizacyjną i pojednawszy się z Paszkowskim, zaprosił do jego mieszkania spiskowych, których grono pomnożyli w owym czasie: Rawski i Rudyński. Przed krzyżem i wobec świec zapalonych przysięgli naprzód Daniłowicz i Paszkowski, a następnie inni spiskowcy wieczną tajemnicę według następującej roty: «Ja przysięgam na Boga itd., iż rozkazom dowódcy będę posłuszny, ojczyźnie pozostanę wierny, do śmierci zachowam ścisłą tajemnicę względem wszystkiego, co dotyczy spisku. Tak mi Panie Boże dopomóż!» — W powyższy sposób zaprzysiężeni zostali również Osuchowski i Jabłoński, najpóźniej przyjęci do konspiracji, która już po upływie kilku tygodni padła ofiarą zdrady.

Nie wyśledził jej wszakże tyle doświadczony w robotach tego rodzaju Chomiński. Nieprawdopodobną również była pogłoska, jakoby policja warszawska uprzedziła rząd krajowy o istnienia spisku, gdyż denuncjantem był jeden z bursaków, pełniący obowiązki domowego nauczyciela u pewnego radcy sądowego. Ten doniósł swemu chlebodawcy, iż w bursie kazano mu przysięgać na «konfederację« a relacya ta wywołała

natychmiastowe dochodzenie ze strony władz policyjnych i sądowych, które prowadzono tak energicznie, że w przeciągu trzech miesięcy zdołano ukończyć śledztwo.

Rozprawa rozpoczęła się, po załatwieniu zwykłych formalności, od przesłuchania Paszkowskiego, broniącego się dość zręcznie wobec zarzutów oskarżyciela publicznego. Twórca konspiracyi sprawiał wrażenie bardzo sympatyczne. Był to chłopak, obdarzony nader żywą fantazją, zdradzający nawet pewne oczytanie, lubo wykształcenie jego przedstawiało braki dość rażące. Przyszły dowódca powstania nie pogardzał bowiem zabobonem. Dla zyskania pomocy sił nadprzyrodzonych, miał się wybrać Paszkowski pewnej nocy o godzinie dwunastej na Czartowską Skałę w celu wywołania djabła. Innym znów razem, w wigilję świętego Jana, szukał w lesie kwiatu paproci... Towarzyszom spiskowym zapowiadał Paszkowski, że podczas feryj udadzą się w Karpaty dla zaprawiania się w żołnierskiem rzemiośle, podczas gdy Daniłowicz miał w tym czasie rozwinąć żarliwą agitacyę wśród ludu wiejskiego. Podobnie wybujała fantazya cechowała też konspiratorską działalność Daniłowicza, który wiekiem najstarszy, łudził młodszych od siebie uczestników związku opowiadaniem o nadzwyczajnych specyfikach, dających mu rzekomo nadludzką władzę. Za pomocą rozmaitych czarów przyrzekał on swym towarzyszom, iż otworzy im bramy arsenału, uczyni ich niewidzialnymi, a nawet da im możność zabicia przeciwnika na odległość, choćby stumilową. Ten ostatni proceder odbywać się miał za pośrednictwem szpilki, wetkniętej w coś — niezbyt wonego.

Mimo współczucia dla nieletnich oskarżonych i poważnego przedmiotu rozprawy, audytoryum od czasu do czasu wybuchało głośnym śmiechem, co nie było rzeczą dziwną, gdyż jeden z młodych konspiratorów przyznał z dziecinną naiwnością, iż przystąpiwszy do spisku sądził, że «zostanie królem, księciem, albo przynajmniej właścicielem dóbr»... Inny znów, wzorowy zresztą uczeń gimnazyalny, założył równocześnie z konspiracyą na własną rękę wśród kolegów *Freund-*

schaftsbund z statutami, zredagowanymi w języku niemieckim. Celem tego «bundu» było udzielanie sobie nawzajem zadań, podpowiadanie lekcyj, palenie cygar i pożyczanie wzajemnie sukien.

Ponieważ już w ciągu rozprawy odstąpił prokurator od oskarżenia Jackowskiego, przeto obrońcy zajęli się wyłącznie obroną pozostałych dziesięciu obwinionych, przeciw którym prokuratorya wystąpiła z wnioskiem na ukaranie. Daniłowicz, jako liczący lat przeszło dwadzieścia, miał być ukarany śmiercią, inni, według najniższego wymiaru kary, dziesięcioletniem więzieniem. W obronie podsądnych wystąpili: Maurycy Kabat, Jan Czajkowski i Rodakowski, podzieliwszy się swem zadaniem w ten sposób, iż pierwszy bronił oskarżonych ze stanowiska psychologicznego, drugi udowadniał, iż zabiegi konspiratorów były dopiero czynnościami przygotowawczemi, podczas gdy ostatni z obrońców stwierdzał brak złego zamiaru w czynach już popełnionych przez obwinionych. Świetne te przemówienia, tworzące całość nader szczęśliwie obmyślaną, wywarły potężne wrażenie wśród publiczności, przepełniającej salę rozpraw i przedsionek gmachu sądowego. W dnin piątym sierpnia trybunał wydał wyrok, skazujący Daniłowicza na karę śmierci. Reszta obwinionych otrzymała wyroki, opiewające na pięć lat ciężkiego więzienia, z wyjątkiem Jackowskiego, skazanego za zwykłe przekroczenie na piętnaście dni aresztu. Wyższe instancye złagodziły osnowę wyroków w tym sposobie, iż Paszkowski osadzony został w więzieniu na przeciąg lat czterech, Daniłowicz na dwa lata.

Paszkowski, ułaskawiony przed upływem terminu kary, brał nader czynny udział w organizacyi, przygotowującej styczniowe powstanie i rokował jak najpiękniejsze nadzieje na przyszłość. Niestety, miłość zawiedziona — jak twierdzono — była przyczyną, iż nieszczęsny młodzian otruł się w dniu ósmym października 1862 roku. Nieprzejrzane okiem tłumy publiczności odprowadziły jego zwłoki na miejsce wiecznego spoczynku. Inni uczestnicy konspiracyi rozpierzchli się po świecie.

Świtała już nowa doba dziejowa...

KONIEC.

Stanford University Libraries
3 6105 013 739 573

DB
489
S3
v.2

Stanford University Libraries
Stanford, California

Return this book on or before date due.